ZESZYTY WERBISTOWSKIE NR 11

ARNOLD JANSSEN.

OSOBA

Warszawa 1998

Za zgodą władz zakonnych

Redaktor: Józef Tyczka SVD

Korekta: Hanna Teschich
Sylwester Jabłoński

ISBN 83-7192-033

Druk i oprawa: MARBIS - Sulejówek

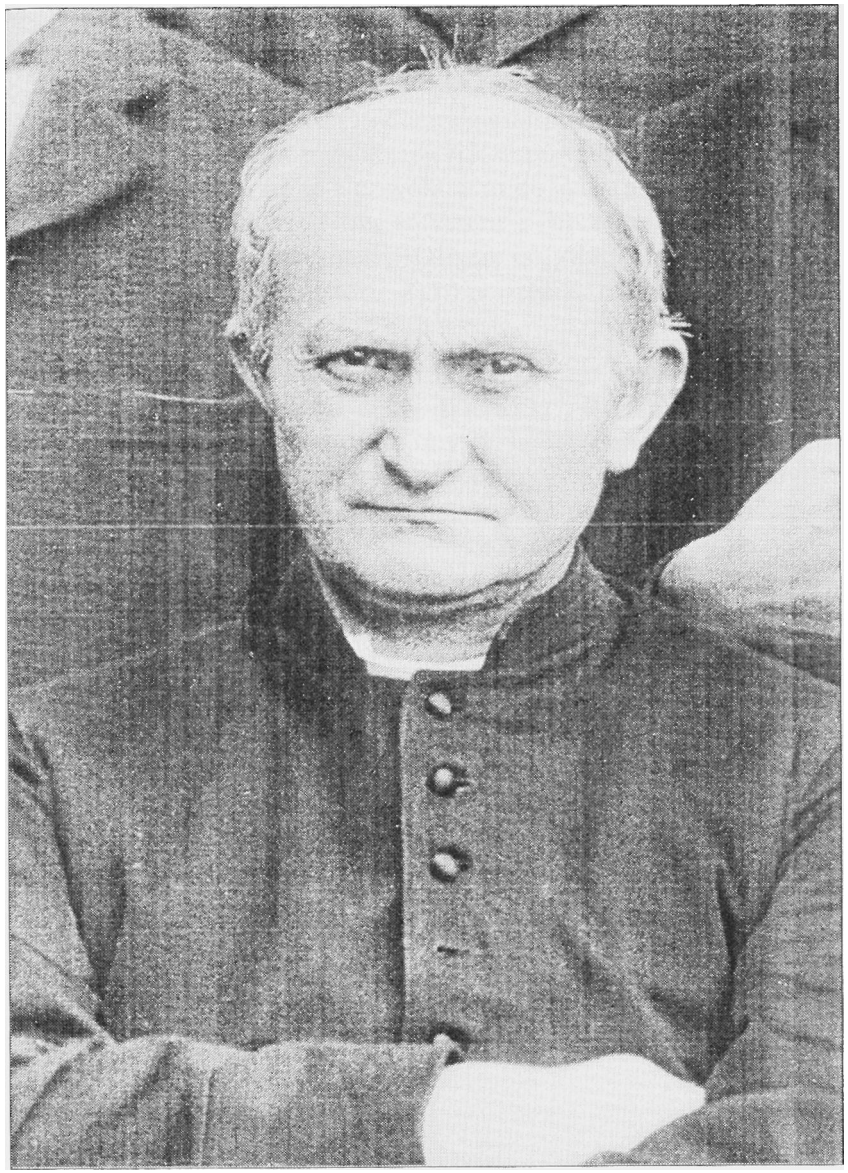

Arnold Janssen w 1896 r.

Od wydawcy

W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych naszego wieku ukazało się sporo artykułów przybliżających współczesnym osobę Arnolda Janssena. Wiązało się to z powołaniem do życia periodyków werbistowskich: „Verbum" i „Nova et Vetera". Ponieważ były to czasopisma do użytku wewnętrznego, stało się oczywiste, że sporo miejsca poświęcano w nich historii Zgromadzenia, osobie Założyciela i duchowości.

Polski Wydawca od lat zbierał interesujące go artykuły, które po przetłumaczeniu publikował w „Nurcie SVD". Były one jednak dla polskich werbistów trudno dostępne. W latach panowania wszechwładnej państwowej cenzury nie do pomyślenia było, aby mogły ukazać się drukiem. Dlatego początkowo egzemplarze „Nurtu", mozolnie pisano na maszynie, a potem - gdy cenzura trochę zelżyła - odbijano je na powielaczu. Ale technika wydawnicza - zarówno jedna, jak i druga - pozostawiała wiele do życzenia.

Obecnie - wzorem wydania hiszpańskiego i niemieckiego - publikujemy wyżej wspomniane materiały jako zwarty blok ściśle związany z osobą, dziełem i duchowością Założyciela. W wydaniach obcojęzycznych wszystkie trzy tematy ukazały się w jednym woluminie, w wydaniu polskim chcemy każdy zamknąć w osobnym tomie.

Sulejówek, w maju 1998 r.

Józef Tyczka SVD

Arnold Janssen

KRÓTKA AUTOBIOGRAFIA DO ROKU 1874

Dnia 6 maja 1899 r. Ojciec Założyciel wniósł do Kongregacji Rozkrzewiania Wiary prośbę o papieską aprobatę Konstytucji. Wśród dokumentów, wymaganych do aprobacji, należało przedstawić krótkie sprawozdanie o stanie ekonomicznym Zgromadzenia i obszerną relację w języku łacińskim o jego stanie personalnym i dyscyplinarnym. Ta druga relacja, podpisana 21 kwietnia 1899 r., obejmuje 22 strony.
Poniższy tekst jest tłumaczeniem pierwszych pięciu stron.

Zgromadzenie Słowa Bożego, przy współdziałaniu Ducha Świętego, powstało w 1875 r. A ponieważ dałem mu początek, trzeba powiedzieć coś o tym, co ma związek ze mną. Dlatego proszę mi wybaczyć, jeśli wspomnę także o moich słabościach.

Urodziłem się 5 listopada 1837 r. w Goch, w mieście należącym do diecezji Munster, w prowincji Pruska Nadrenia. Rodzice moi byli prostymi i pobożnymi rolnikami. Nie można ich nazwać ubogimi, ale nie mieli też dostatecznego bogactwa, potrzebnego do tego, aby mnie kształcić. Przyczyniły się jednak do tego z łaski Bożej inne drugorzędne okoliczności.

Kiedy miałem 10 lat, otwarto w mieście rodzinnym gimnazjum, którego rektorem był ks. Gemes. Nie zostałbym posłany do tej szkoły, ponieważ rodzice sądzili, że nie mają odpowiednich środków potrzebnych do kształcenia mnie, gdyby nie pewien bardzo pobożny wikary tego miasta, ks. Ruiter, który uczył mnie katechizmu. On to poszedł do moich rodziców, domagając się tego od nich, i upomniał, żeby sprawę mojej przyszłości złożyli ufnie w ręce Boga. I tak 2 stycz-

nia 1848 r. zacząłem chodzić do tej szkoły do pierwszej klasy, którą w Prusach nazywano sekstą.

Jesienią 1849 r. J. Eksc. Joannes Georg Muller, biskup Munster, człowiek wielkiego serca i pobożnego umysłu, pochodzący z diecezji Trewir, nie bojąc się trudności, które mogły pojawić się ze strony władz państwowych, założył w Gaesdonck, niedaleko Goch, kolegium biskupie w starym augustiańskim konwencie. Z początkiem obecnego stulecia Francuzi sprzedali to kolegium kanonikom, którzy zarządzali także parafią Goch. Dlatego też nazwane zostało kolegium augustiańskim. Było to pierwsze kolegium, jakie założył biskup katolicki w Prusach. Po kilku tygodniach zostały wydane przez państwo wprawdzie pewne ograniczenia, lecz z łaski króla Fryderyka Wilhelma IV wkrótce je cofnięto. Prosiłem zaraz o przyjęcie mnie do kolegium i rzeczywiście zostałem przyjęty razem z dwudziestoma trzema z sześćdziesięciu ubiegających się. Jednak zaraz po przyjęciu okazało się, że jestem ostatnim ze wszystkich i ze nie byłem godny przyjęcia do trzeciej klasy, która jako jedyna klasa została otwarta.

Było do dla mnie dobre: po pierwsze dlatego, że zostałem przyjęty do najlepszego kolegium, które rozwijało się coraz bardziej pod rządami dra Pergera, obecnego kanonika kościoła w Munster, wybitnego nauczyciela, pobożnego i uczonego, który potem został asystentem posła Windhorsta i któremu w Berlinie poprawiał teksty publicznych przemówień przeznaczonych do druku. Kolegium to dało Kościołowi wielu kapłanów' i trzech sławnych biskupów. Są to: Dingelstad, biskup Munster, który był ze mną na jednym kursie; Fritzen, biskup w Argentynie i Johannes Janssen, biskup w Belleville. Po drugie: było to dobre przeciw mej pysze, bo przez rok byłem prawie ostatnim ze wszystkich uczniów w zakresie znajomości łaciny. I dlatego za jedno i drugie muszę Bogu dziękować.

Kiedy zaś skończyłem naukę w Gaesdonck, ten sam bp Muller założył w swoim mieście rezydencjalnym inne kolegium, zwane Boromejskim. Przyjęty do tego kolegium, zacząłem studiować filozofię i teologię. Nie mogąc jednak zostać wyświęconym z powodu braku odpowiedniego wieku, przerwałem studia i ukończyłem matematykę

i nauki przyrodnicze na uniwersytecie w Bonn. W 1859 r. szczęśliwie zdałem egzamin uprawniający mnie do nauczania w gimnazjum i szkołach o profilu zawodowym [Realgymnasium]. Wtedy nagle przyszły mi do głowy myśli o honorach światowych, ponieważ egzamin mój wypadł bardzo dobrze i przyznano mi publiczną nagrodę uniwersytetu za to, co napisałem w pracy konkursowej na temat krzywej trzeciego stopnia.

Zwyciężywszy jednak te myśli dzięki łasce Ducha Świętego, zaraz na drugi dzień po egzaminie zapisałem się na wydział teologii na tymże uniwersytecie. Po skończeniu semestru wróciłem znów do Kolegium Boromejskiego i w święto Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, 15 sierpnia 1861 r., otrzymałem święcenia kapłańskie.

Przy pomocy bpa Mullera w Bocholt przemysłowym mieście Westfalii - w którym urodził się kard. Diepenbrock, niegdyś biskup Wrocławia, który w 1848 r. zasłużył się bardzo dla Kościoła i dla państwa - założono progimnazjum [gimnazjum zastępcze - przyp. tłum.] z klasami o programie szkół zawodowych (Realgymnasium). Nauczycielami mieli być tam kapłani, którzy mieli zwykłe beneficja parafialne. Do tego gimnazjum byłem posłany jesienią 1861 r. przez mego biskupa; przez dwanaście lat uczyłem w tej szkole prawie wszystkich przedmiotów, głównie jednak matematyki i nauk przyrodniczych. Pomagałem tez w pracy parafialnej przez głoszenie kazań, słuchanie spowiedzi i odwiedzanie chorych. Zawsze jednak pragnąłem poświęcić się dziełom religijnym i pracować nad rozszerzaniem wiary i miłości Bożej na świecie. W tym celu kilka razy prosiłem ks. Johannesa Bernardusa Brinkmanna, wikariusza generalnego, aby pozwolił mi zrezygnować z urzędu nauczyciela, lecz ten mi odpowiedział: „wracaj do Bocholt; jesteś na tym miejscu, na którym Bóg chce cię mieć". Po śmierci bpa Mullera został on w 1871 r. wybrany biskupem. W 1873 r. pozwoli! mi jednak zrezygnować z mojej pracy. Nie bardzo się to podobało proboszczowi ani innym kapłanom i nauczycielom, ale osobiście uradowany, złożyłem rezygnację jesienią 1873 r., zrzekając się tym samym niemałego wynagrodzenia.

Za zgodą mojego biskupa przyjąłem urząd rektora u sióstr św. Urszuli w mieście Kempen, niedaleko Crefeld, które szczyci się tym, że jest ojczyzną czcigodnego Tomasza a Kempis. Nie miałem pieniędzy, a jedynie mieszkanie i jedzenie, miałem jednak prawie cały czas wolny, czego bardzo pragnąłem i mogłem go poświęcić na to, co postanowiłem.

W styczniu 1874 r. zacząłem redagować miesięcznik misyjny, który nazwałem „Małym Posłańcem Serca Jezusowego". Wydawany był przez drukarnię św. Bonifacego w Paderborn (później w Steyl). Miałem zamiar popierać w ten sposób dzieło misyjne, a przede wszystkim chciałem współdziałać przy założeniu seminarium lub kolegium misyjnego dla Niemiec. Mówiłem bowiem sobie: We Francji jest bardzo mało rodzin prawdziwie chrześcijańskich, ponieważ większość ludzi albo całkowicie zaprzecza istnieniu Boga albo się nie modli, ani do kościoła nie chodzi, i nie przyjmuje sakramentów; a przecież te wspaniałe dobre rodziny dają tylu kapłanów ojczyźnie i misjom. W Niemczech natomiast i w Austrii jest wiele bardzo dobrych rodzin chrześcijańskich, dlatego powinny one więcej niż do tej pory udzielać się dla misji. Dlatego należało głównie w tym kierunku pracować, ponieważ w Prusach i w Księstwie Badeńskim nie pozwala się kapłanom na objęcie obowiązków duszpasterskich.

Nigdy nic przyszło mi do głowy, by samemu założyć takie kolegium. Ponieważ jednak me znaleźli się inni, zostałem przez monsignora Raimondiego, prefekta apostolskiego w Hongkongu i założyciela seminarium w Mediolanie, do tego zachęcony. Spotkałem go w Neuwerk, gdzie osobiście przybył zobaczyć się ze mną i upomnieć, aby rozpocząć to dzieło. Początkowo nie chciałem wcale o tym słyszeć, potem jednak coraz bardziej przekonany o woli Bożej, rozpocząłem pracować nad tym dziełem.

(Za: *„Verbum"* 1967, s. 213-215).

Tłumaczył Włodzimierz Gorgon SVD

Karl Josef Rivinius SVD

ARNOLD JANSSEN I SYTUACJA RELIGIJNA JEGO CZASÓW

Karl Josef Rwinius urodził się w 1936 roku w Bous (Saar), nowicjat rozpoczął w 1962 w St. Augustin, święcenia kapłańskie otrzymał w 1969 roku. Po ukończeniu studiów z zakresu historii Kościoła, przede wszystkim w Munster, jest od 1976 roku profesorem historii Kościoła w St. Augustin. Poza licznymi artykułami w fachowych periodykach i w ,}Jerbum SVD" obszernie publikuje z zakresu historii misyjnej Chin.

Słowo wstępne

W poniższym artykule naszkicowano obraz sytuacji religijnej w czasach Arnolda Janssena. Dla lepszego zrozumienia tego okresu należy wziąć pod uwagę kilka spraw. Przede wszystkim trzeba pamiętać, że Arnold Janssen był typowym przedstawicielem swojej epoki, zarówno z uwagi na środowisko, jak i „ducha". Był drobnomieszczaninem z małego miasteczka, autorytatywnie określającym swoje poglądy i postawę. Żył w dobie monarchii. W jego świadomości wytworzyły się pewne schematy myślowe dotyczące spraw polityczno-historycznych, ukształtowały wię wzorce zachowań, przez które z trudem przebijały się demokratyczne „reguły gry". Był całkowicie związany ze współczesnym sobie światem wyobrażeń i przeżyć. Cechowała go właściwa dla tamtych czasów mentalność katolicyzmu zepchniętego do getta. Jego modlitwa wyrażała się w niezmiennych i niepodważalnych od pokoleń formach. Religijność i życie wewnętrzne zamykało się w ramach pobożności ówczesnego okresu; sprowadzało się do drobiazgowego liczenia i podsumowywania. Powszechnie znana jest gorliwość Ojca Arnolda w odprawianiu prywat-

nych i wspólnych modlitw. Zarówno jego życie modlitewne, jak i pobożność ma znamiona subiektywno-indywidualistyczne.

Należy ponadto zwrócić uwagę, że ze względu na wielość oraz różnorodność zdarzeń w czasach, w których żył nasz Założyciel, me można wyczerpująco przedstawić sytuacji tamtego okresu w tak krótkim opracowaniu. Ograniczono się zatem do niektórych tylko spraw. Brak miejsca i czasu nie pozwala sięgnąć do bardziej zróżnicowanych i źródłowych badań, prześledzić subtelne analizy, zająć się przyczynowymi wyjaśnieniami i krytyczną oceną. Wiele akcji i reakcji, sposobów zachowania i wyrażania się, patrzenia na życie, poglądów na świat i człowieka, wtedy dopiero staje się zrozumiałe, kiedy się je uporządkuje i rozważa w świetle historycznych uwarunkowań. Wszelkie więc społeczno-ekonomiczne, jak i społeczno-kulturowe symptomy, czy też kościelno-polityczne, historyczne, duchowo-historyczne fakty tworzą, jako strukturowe determinanty, związek przyczynowy, w którym przejawia się odrębna, konkretna religijność. Długoletnia tradycja Kościoła uzależniona jest od społeczno-kulturowych, gospodarczych, społecznych i ideowych wydarzeń danego czasu.

Religijność me będzie tu traktowana w aspekcie życia wewnętrznego, ale jako kościelny i zarazem społeczny fenomen, przedstawiający się jako empiryczna, dająca się opisać wielkość. Głównym tematem rozważań będą (oprócz wywodów przedstawiających starania Kościoła o swą niezależność w połowie XIX wieku) lata założenia Zgromadzenia Słowa Bożego, a zwłaszcza okres Kulturkampfu, i początkowa faza aktywnej polityki kolonialnej Rzeszy. Nie będę się w poniższym artykule zajmował religijnością Arnolda Janssena i jego Zgromadzenia, gdyz była ona już omawiana w wielu innych opracowaniach. Religijność tę ujmowano różnorako i przedstawiano na podstawie wielu źródeł. Była to religijność, która wyrażała się w typowych formach, w specyficznym sposobie i rodzajach ćwiczeń modlitewnych, czci świętych i relikwii, czci Serca Jezusowego i Niepokalanego Poczęcia, w odpustach i procesjach, w modlitewnikach i śpiewnikach, przepisach ascetycznych, nastawieniu duchowym czy w Konstytucjach, itd.

Badanie nasze posiada pewną funkcję gnozeologiczną - na ile przytoczone daty i fakty pozwalają wejrzeć w wiarę, w egzystencję i rozumienie samych siebie przez ówczesnych ludzi, względnie pozwalają dotrzeć do ich wnętrza. Poza tym, być może, ułatwi udzielenie odpowiedzi na pytania egzystencjalne nurtujące ludzi tamtego okresu, jak też przyczyni się do wyjaśnienia zmian historycznych w zakresie religijności i pobożności w XIX wieku.

I. Rozwój niemieckiego katolicyzmu w latach 1848-1870

1. Zmaganie Kościoła o wolność[1]

Podstawowym celem wyzwalającego się spod ucisku dzięki „wypadkom kolońskim" katolicyzmu niemieckiego (zwłaszcza w krajach Nadrenii) była wolność i niezależność Kościoła od państwa. W atmosferze wolności, którą niosła rewolucja 1848 roku, pokładano nadzieję na uzyskanie dla Kościoła większej swobody. Znalazło to wyraz w powołaniu do życia licznych stowarzyszeń. Już w 1848 r. odbył się w Moguncji pierwszy zjazd katolików niemieckich. Był to wyraźny znak, ze niemiecki katolicyzm potrafi szybko zająć stanowisko wobec wydarzeń marcowych. Polityczne wzburzenie, żądanie radykalnych reform obejmujących wszystkie warstwy społeczne pozwalały oczekiwać nowych układów pomiędzy Kościołem a państwem, w związku z zapowiedzianymi obradami nad Konstytucją. W tym powstającym „ruchu katolickim", czołowe miejsce zajął Josef Górres. Jedni chcieli uciskające „okowy" Kościoła państwowego rozluźnić, a nawet, jeśli to możliwe, i odrzucić z uwagi na jego konser-

[1] Tłumacz pominął obficie cytowaną przez autora literaturę w języku niemieckim, ograniczając się jedynie do literatury podstawowej (przede wszystkim werbistowskiej). *Die Kirche in der Gegenwart,* w: *Handbuch der Kircbengeschichte,* tom 6/1: *Die Kirche zwischen Reuolution und Restauration,* wyd. Jedin, Freiburg-Basel-Wien 1971; ks. Witold Klimkiewicz, *Kardynał Ledóchowski na tle swe] epoki.* Opracował, wstępem opatrzył i podał do druku ks. Zygmunt Zieliński, Poznań 1987, tom III, s. 174-182.

watywno-chrześcijańską postawę. Drudzy zaś, „liberalni katolicy", byli przekonani, że w walce z szerzącymi się od czasu rewolucji francuskiej (1789) ideami, jedynie wolny Kościół zdolny jest odkryć tożsamość chrześcijaństwa narodowi stanowiącemu o sobie, a naród z kolei zdobyć dla Kościoła albo na nowo pozyskać. Zarówno Episkopat, jak i postępowy laikat katolicki dorzucały radykalne rozwiązania, które zmierzały do zupełnego rozdziału Kościoła od państwa. Głównym tematem obrad nad Konstytucją we Frankfurcie nad Menem i w Berlinie była: „Niezależność Kościoła od państwa", a nie rozdział. Dewiza abpa Geissela z Kolonii, znanego przywódcy niemieckiego episkopatu, brzmiała: „Wolność dla Kościoła, pokój dla państwa".

Jak rozumiano „niezależny Kościół", określono i skonkretyzowano w odezwie wyborczej (do niemieckiego parlamentu) katolików z Kolonii. Prześledźmy, co zawierała owa odezwa. „Zniesienie państwowego *placet* na kościelne rozporządzenia; rezygnowanie z wpływu państwowego na wybory do wszystkich urzędów kościelnych, zwłaszcza biskupów; zrezygnowanie z państwowych praw patronackich z czasów sekularyzacji oraz z rekursu *ab abusu;* swobodne kontaktowanie się biskupów z papieżem; specjalną gwarancję dla prawa zrzeszania się dla wszystkich korporacji religijnych"[2]. Aby wywalczyć Kościołowi taką niezależność, ukonstytuował się w Zgromadzeniu Narodowym we Frankfurcie „Klub katolicki". Ale ani postanowienia w Paulskirche, ani jedność Niemiec nie mogły stać się historyczną rzeczywistością.

Dla ustalenia programowych celów kościelno-politycznych ważne było ich precyzyjne określenie przez autorytet kościelny podczas trwającej w Wiirzburgu (22 października - 16 listopada 1848 r.) Konferencji Biskupów. W tym czasie również we Frankfurcie toczyła się na ten temat debata. Episkopat Niemiec obradował nad bieżącymi sprawami kościelnymi, chciał też opracować wspólny program pracy nad nową koncepcją Konstytucji. Dzięki memoriałowi, który

[2] H. Jedin, *Freiheit und Aufstieg des dentschen Katholizismus zwischen 1848 wid 1870,* w: *Die Kirche in der Gesellschaft,* wyd. B. Hanssler, Paderborn 1961, 12.

rozesłano do wszystkich niemieckich landów, biskupi stali się szermierzami kościelnych ruchów wolnościowych. Sformułowane tam kościelno-polityczne roszczenia określały stosunki między Kościołem a państwem. Myślą przewodnią tego ważnego dokumentu była *„libertas ecclesiae",* motyw, który bardzo dobrze odpowiadał na mieszczańsko-polityczne oczekiwania wolnościowe roku rewolucji. Konferencja nie ograniczyła się jedynie do ustalenia celów kościelno-politycznych. Biskupi podjęli próbę zlikwidowania przepaści pomiędzy Kościołem a nowoczesnym społeczeństwem. Skutkiem społecznych i kulturowych zmian, Kościół - jak to słusznie rozpoznał teolog Johann Baptist Hirscher - może na tyle zaznaczyć swoją obecność, odnowić swoją wewnętrzną religijną siłę i zdobyć zewnętrzny wpływ, na ile silniej niż dotąd zakorzeniony będzie w narodzie, na ile zaktywizuje duszpasterzy oraz lud Boży, i posługiwać się będzie w duszpasterstwie nowoczesnymi środkami przekazu.

2. Kościelno-religijne wysiłki reformistyczne

Charakterystyczną cechą kościelno-politycznej sytuacji po rewolucji 1848/49 była ogólnokościelna i religijna odnowa, zwiększenie obecności w wydarzeniach politycznych, a także ogólna polityczna aktywność. U jej podłoża leżały wszędzie te same motywy. Wierni solidaryzowali się z papieżem jako głową Kościoła. Represyjne pociągnięcia państwa skierowane przeciw tradycjom Kościoła sprowadzały raczej ludzi do niego, rodziły nowe spojrzenie na sprawy kościelne, ukazywały nowe możliwości dla katolicyzmu. Niemiecki Ruch Katolicki ogarnął powoli wszystkie dziedziny działalności kościelnej. Mimo pewnych wewnętrznych i zewnętrznych przeszkód, życie religijne poczęło na nowo kwitnąć. Stare zakony i zgromadzenia zaczęły przyciągać do siebie młodych ludzi. Zakładano też nowe, które oferowały prawdziwe możliwości realizowania się. Angażowano się w pracy w szkolnictwie, w pielęgnowaniu chorych, w działalności społecznej oraz na misjach. Wielu wiernych dostrzegało potrzeby bliźnich i troszczyło się o ich zaspokojenie. Szybko postępujące uprzemysłowienie kraju pogłębiało nierówności klasowe, następstwem czego było m.in. zubożenie znacznej grupy ludzi. Miłosierdzie

i wzajemną pomoc, to niewątpliwie pozytywne przejawy, niezależnie od tego - pomijając nieliczne wyjątki - że chrześcijanie nie rozpoznali konieczności zmian strukturalnych oraz związku pomiędzy procesem produkcyjnym a pracą. Zbyt silnie bowiem związani byli ze schematami myślowymi przeszłości i społeczno-ekonomicznymi strukturami minionego okresu.

Jednakże popierano odnowę życia religijnego. Głównymi animatorami tego były osoby spośród kleru i laikatu, z ośrodków intelektualnych Monachium, Tibingi i Moguncji. Im zatem należy przypisać znaczny udział w katolickiej i kościelnej odnowie. W dziedzinie pastoralnej oświecenie niemieckie przygotowało wartościowe prace wstępne, chociaż romantycy odrzucali jednostronny racjonalizm minionej epoki. Reformy pastoralne znalazły jednak jedynie w małym zakresie oddźwięk. Np. propozycja wikariusza generalnego z Konstancji, Ignaza von Wesenberga (1777-1860), który chciał doskonalić intelektualnie kler oraz angażował się w sprawowanie liturgii według nowych form, w języku ojczystym. Zakładano i rozwijano wydawnictwa katolickich czasopism i gazet. Miało to duże znaczenie nie tylko dla formacji politycznego katolicyzmu. Dzięki powstaniu katolickiej prasy, myśl katolicka docierała do obszarów, które przedtem uznawano za neutralne. Pisma katolickie przyczyniły się bardzo do pobudzenia kościelno-religijnej świadomości i do zaktywizowania wiernych. Zjazdy katolików były owym forum wymiany myśli i doświadczeń duszpasterzy i apostolatu świeckiego. Spotkania te pomagały w rozwoju apostolatu. Nieocenioną rolę w aktywizowaniu i pogłębieniu życia religijnego odegrały powstałe w tym czasie liczne stowarzyszenia. Wyrosły one ze współpracy kleru i laikatu. Przede wszystkim przytoczyć tu trzeba liczne związki Piusa (od Piusa IX) i Związek św. Bonifacego.

II. Sytuacja kościelno-polityczna w okresie zakładania Zgromadzenia Słowa Bożego

1. Era Kulturkampfu

Ruch katolicki miał możliwości rozwoju i oparcie zarówno na wsi, gdzie mieszkało dwie trzecie ludności, jak i wśród małomiasteczkowego mieszczaństwa[3]. Religijność mieszkających tam ludzi mimo przemian dziejowych prawie nie poniosła żadnego uszczerbku. Rozwój kościelno-polityczny, a także wewnątrz samego Kościoła przebiegał zrazu według wzorów, jakie osiągnięto w połowie stulecia. Dzięki nawiązaniu przez Piusa IX do metod kościelnych jego poprzednika Grzegorza XVI i zdecydowanemu zwrotowi na teren religijny, odnowa religijna miała możliwości umocnienia się. Pius IX oraz jego współpracownicy - tak w Rzymie, jak poza nim - przekonani byli, że tylko monolityczny Kościół może stawić czoło „duchowi czasu", takiemu jak racjonalizm, materializm, laicyzm i liberalizm. Wypowiedzieli om wojnę szerzącym się błędom, stąd gwałtowne wewnątrzkatolickie rozprawy oraz walka o kierunki koncepcyjne (w okresie od 1850 do 1870, zwłaszcza w czasie Soboru Watykańskiego I (1869/70). Spór głównie dotyczył opowiedzenia się ultramontańskich sił za nieograniczoną i uniwersalną władzą biskupią papieża oraz żądania całkowitej niezależności Kościoła w sprawach politycznych. Nie wszyscy jednak katolicy podzielali ten pogląd i przez to część znalazła się w opozycji do Kuni. Wyniknęły spory, doszło do ścierania się sił integralnych i liberalnych, które zjednoczyły się w walce z Kościołem państwowym (w 1848 r.), z drugiej strony, jak wspominaliśmy już wcześniej, hasła i postulaty wewnętrznokościelne zawierały w sobie walkę z państwem. Miała ona początek w Kulturkampfie.

Od lat sześćdziesiątych XIX Kościół katolicki w Niemczech był coraz bardziej wrogo nastawiony do rządzących aktualnie sił liberal-

[3] Tto Kulturkampfu i sytuację religijno-kościelną dobrze oddaje artykuł ks. Jana Drozda SDS, O. *Franciszek od Krzyża Jordan (1848-1918), założyciel Zgromadzenia Księży Salwatorianów,* w: „Nurt SVD", nr 22(1976), s. 1-41.

nych, które czuły się sprowokowane przede wszystkim przez *Syllabus* (1864), „wzywający do walki z nowoczesną cywilizacją", i przez głoszoną definicję nieomylności. Rządy państw widziały w radykalnym określeniu swojej pozycji przez Kościół Katolicki i jego Głowę (której ranga dzięki dogmatowi z 18 lipca 1870 r. niebywale wzrosła) poważne niebezpieczeństwo i silnego konkurenta, zagrażającego ich egzystencji i uniemożliwiającego konieczną integrację katolików, jako obywateli państwa i społeczeństwa.

W latach siedemdziesiątych ub. stulecia, stanowisko Kościoła katolickiego i liberałów w rządzie ówczesnych Niemiec było wyraźnie kontrowersyjne. Główna walka ideologiczna toczyła się w Rzeszy, konkretnie w Prusach. Okres Kulturkampfu był najtrudniejszy w dziejach Kościoła Europy środkowej. Najgorzalszy przeciwnik polityczny katolicyzmu, kanclerz powstałej w 1871 r. Rzeszy i premier Prus - Otto von Bismarck, był przekonany, że wszyscy wewnętrzni wrogowie nowo utworzonego państwa wywodzili się z ukonstytuowanej w 1870 r. partii Centrum, (którą niesłusznie zresztą posądzał o wrogość do ojczyzny). Pod wpływem ultramontańskiej hierarchii katolickiej przekształcali religię i politykę w tajną opozycję. Kanclerz Rzeszy „uprawiał" swoją politykę z ukrycia. Publicznie działał w jego imieniu przede wszystkim minister ds. wyznań, Falk.

Kulturkampf ma długą historię i można go słusznie odczytać jako walkę między Kościołem a państwem. Podłożem tej walki były kościelno-polityczne rozbieżności. Do przeciwieństw polityczno-światopoglądowych dołączyły również, wskutek uprzemysłowienia, napięcia społeczno-gospodarcze. Nie chodziło więc tylko o rozbieżności pomiędzy katolicyzmem a protestantyzmem - mimo że Kulturkampf w Niemczech miał niekiedy „zabarwienie" wyznaniowe. Nie chodziło ostatecznie o walkę między wyznaniami, a raczej o zadawniony spór dotyczący świeckiej i duchownej władzy oraz jej rozgraniczenie. Źródła tego konfliktu były bardzo złożone. Niemożliwa jest więc jednoznaczna ocena, tym bardziej że Kulturkampf w poszczególnych niemieckich państewkach był prowadzony z różnym natężeniem.

Prawie we wszystkich niemieckich państewkach promulgowano oraz stosowano (w latach siedemdziesiątych) w duchu Kulturkampfu antykościelne i ogólnopaństwowe prawa i zarządzenia. Skutkiem tego Kościół i jego wierni, a przede wszystkim biskupi i kler mieli ograniczoną swobodę poruszania się i działania. Często działalność ta była wręcz niemożliwa. Biskupi i kapłani działający niezgodnie z prawami Kulturkampfu narażali się na ciężkie kary, np. aż pięciu (z jedenastu) pruskich biskupów było przez wiele miesięcy więzionych (w latach 1874/75). Arcybiskup Ledóchowski przez dwa lata osadzony był w więzieniu. W 1874 r. rząd liczył, że uda się mu złamać opór katolików przez zaostrzenie praw majowych. Okazało się to jednak iluzją.

Ostatnie zaostrzenie ustaw Kulturkampfu miało miejsce po oświadczeniu niemieckiego Episkopatu w lutym 1875 r. (w związku z ujawnieniem tekstu depeszy kanclerza Rzeszy w maju 1872 r. „z okazji wyboru papieża") oraz po ogłoszeniu encykliki *„Quod nunquam"* (5 luty 1875 r.). Encyklika kwestionowała prawa majowe, które stały w sprzeczności z boskim ustanowieniem Kościoła, i rzucała ekskomunikę na wszystkich, którzy brali czynny udział w ich powstawaniu i realizowaniu.

Prusy odpowiedziały na to szeregiem dyskryminacji i ustanowieniem nowych surowych praw karnych. Szczególnie boleśnie dotknęło społeczność katolicką ogłoszone 31 maja 1875 r. prawo dotyczące zakonów. Cofnęło ono pozwolenia zamieszkiwania na ziemiach pruskich wszystkim katolickim zakonom i zgromadzeniom. Istniejące placówki nie miały prawa przyjmować nowych członków i w ciągu pół roku miały być rozwiązane. Placówkom zakonnym, których członkowie pracowali w zawodzie nauczycielskim, prawo pobytu przedłużono do czterech lat. Represje te nie dotyczyły jedynie zakonów, które opiekowały się chorymi. Placówki te podlegały kontroli państwowej i mogły być w każdej chwili zlikwidowane. Te zarządzenia zahamowały w XIX w. odbudowę życia zakonnego w Niemczech. Pracujący w duszpasterstwie zakonnicy, których nie dotyczyło prawo wydane przeciw jezuitom 4 lipca 1872, powędrowali częścio-

w o do USA, a częściowo do Belgii i Holandii, skąd mogli utrzymywać kontakty z dawną ojczyzną.

Na podstawie tych wielorakich zewnętrznych zagrożeń katolicy wywodzące się z wszystkich warstw społecznych szykowali się do walki obronnej. Jednoczyli się wokół Episkopatu i Centrum, które w tych latach walki mogło znacznie zwiększyć ilość swoich mandatów parlamentarnych. Pod wodzą Ludwika Windhorsta Centrum stało się głównym przeciwnikiem parlamentarnym kanclerza Rzeszy, Bismarcka. W oparciu o argumentację państwowo-prawną i konstytucyjną, Centrum domagało się praw i wolności dla Kościoła. Było przy tym wyraźnie wspierane przez Watykan.

Z początkiem roku 1877 walka poczęła przygasać. Mimo ze organizacja kościelna w Prusach była rozbita - ponad tysiąc parafii pozbawionych było duszpasterzy - to jednak społeczność katolicka stawiała opór. Jej „trzymanie się" hierarchii i kleru, jak i aktywny opór ze strony Centrum, były nie do pokonania. Przegrana rządu stawała się coraz bardziej oczywista. Powody były różnorakie częściowo spowodowane tym, ze Bismarckowi nie udało się wciągnąć w politykę Kulturkampfu państw spoza Rzeszy. Znamienne mogą tu być słowa Rudolfa Lilia: „Kulturkampf w latach siedemdziesiątych okazał się niewypałem. Ideologizowame liberałów, jak i bezkrytyczna perfekcja biurokracji nadawały Kulturkampfowi niezamierzoną przez Bismarcka ostrość, która wstrząsnęła wewnętrznym poko]em i zamknęła - ze szkodą dla Rzeszy - katolików i inne mniejszości wyznaniowe w getcie. Wałka z Kościołem katolickim sprzyjała dechrystianizacji społeczeństwa, które nie pasowało do autorytatywnych koncepcji Bismarcka'- to właśnie w tym społeczeństwie, na skutek sprzyjających okoliczności wynikłych z Kulturkampfu, wyrósł nowy niebezpieczny wróg: socjaldemokracja. Ostrzeżenie cesarzowej, zastrzeżenia cesarza i niektórych konserwatystów znalazły potwierdzenie. Do tego Prusy straciły, podwójnie cenne, imię państwa tolerancyjnego; uwięzienie i wygnanie biskupów, duchownych i zakonników wzbudziło poza Rzeszą, nawet w kołach antyklerykalnych, nieufność do Bismarcka, którą wywołały napoleońskie metody »zakładania Rzeszy od góry«.

2. Założenie Domu Misyjnego w Steyl[4]

W tej obfitującej w konflikty kościelne i religijne wrogiej atmosferze Kulturkampfu dojrzewała w Arnoldzie Jansseme myśl uczynienia czegoś ważnego dla misji. Inspirowały go w dużej mierze lektury podróżnicze z różnych czasopism geograficznych oraz artykuły misjonarzy. Pasjonowały go również dzieje przedstawiane przez historię misyjną. Począwszy od roku 1866 jako oficjalny zelator Apostolstwa (od 1861 r. rozwijało się ono poza granicami Niemiec, w 1865 r. poznał je A. Janssen), z wielkim zapałem werbował do niego członków. W następnych latach niezmordowanie prowadził dalej tę akcję. Szerzył Apostolstwo chodząc od domu do domu, od cłrzwi do drzwi. Propagował jego idee na Zjazdach Katolików i w licznych broszurach, zachęcał do gorliwej modlitwy w intencjach Kościoła. Wkrótce działalność ta została rozszerzona. W 1873 r. zrezygnowawszy (po dwunastu latach) z pracy szkolnej w Bocholt, wikariusz Janssen przeniósł się do sióstr Urszulanek. W roku 1874 zaczął wydawać miesięcznik „Kłemer-Herz-Jesu-Botc", w którym - jak pisał redaktor w drugim numerze - „będzie się starał rozbudzić zainteresowanie głównie misjami Kościoła Katolickiego wśród pogan", gdyż dzieło misyjne jest takim zadaniem, „że dobry katolik zainteresuje się nim"[5]. W odniesieniu do Kulturkampfu pisze dalej: „Tak jak powinniśmy wykazać zainteresowanie dziełem misyjnym Kościoła w Niemczech, tak w większym jeszcze stopniu, działalnością misyjną Kościoła w krajach pogańskich, zwłaszcza w dzisiejszej sytuacji. Z zrządzenia Bożego wielu niemieckich kapłanów udaje się za granicę. Z drugiej strony normalna praca na terenach objętych działalnością Związku św. Bonifacego nie jest możliwa. To wszystko jest dla nas, Niemców, palcem Bożym. Ponieważ słowo Pańskie „Idźcie na cały świat"

[4] H. auf der Heide, *Die Missionsgenossenschaft von Steyl. Em Bild der ersten 25]ahre ibres Bestebens, Jubilaumsausgabe zum 8 September 1900,* Steyl 1900; F. Schwager, *Arnold Janssen, Stifter und erster General der Steyler Missionsgesellschaft* (Frankfurter Zeitgemasse Broschiiren, NF, Bd 30, Hamm 1911, 1-52; F. Bornemann, *Arnold Janssen, założyciel dzieła misyjnego ze Steyl 1837 - 1909,* Warszawa 1996.

[5] *Kleiner Herzjesu Bote* (1874), nr 2, 17.

odnoszące się do przepowiadania wiary, zostało tak skromnie - w porównaniu z Francją - zrealizowane... Niechaj na podstawie rozważań o obecnych czasach, ukazanie się tego czasopisma misyjnego... będzie szczęśliwą zapowiedzią lepszej przyszłości"[6].

Arnold Janssen wytyczył więc konkretne cele. Niemieccy kapłani, zakonnicy, mężczyźni i kobiety powinni w większej mierze poświęcić się nawracaniu niechrześcijan w misjach . W obliczu wrogich życiu zakonnemu ustaw Kulturkampfu do misji powinny się zgłaszać nawet całe wspólnoty zakonne. „Oby nadeszły czasy, kiedy katolickie Niemcy wyjdą w szlachetną rywalizację z Francją w sprawie misji wśród pogan... Nie mówmy: mamy w Niemczech dość pola do pracy misyjnej. Pan przecież powiedział: »„Idźcie do wszystkich narodów!« Chociaż słowa te nie są upomnieniem dla kogoś konkretnego, to jednak są skierowane do wielkich narodów katolickich". Musimy „uprosić laskę powołania misyjnego choćby dla niektórych spośród naszego narodu"". Celem pisma było początkowo werbowanie sił i środków na rzecz powstania niemieckiego Domu Misyjnego w tzw. „bezpiecznym miejscu". Za takie uznano Roermond, w holenderskiej diecezji przygranicznej, gdzie już niektóre niemieckie wspólnoty zakonne znalazły nową ojczyznę. Arnold Janssen nie miał jednak zamiaru sam takiego seminarium zakładać; chciał jedynie pośredniczyć i według własnych możliwości ideę tę wspomagać.

Gdy jednak kolejne próby utworzenia takiego ośrodka nie powiodły się innym, Janssen zdecydował, że sam założy Dom Misyjny. Zdecydowanie i konsekwentnie zmierzał do wytyczonego celu „mimo wielkich trudności i sytuacji wprost bez wyjścia, nie ustępował w dążeniu do urzeczywistnienia planu. Dostrzegał w tym wolę Bożą. Poprzez swoje czasopismo werbował kler i odpowiednich ludzi oraz wypraszał finansowe wsparcie. Listopadowy numer „Małego Posłańca Serca Jezusowego" (dotychczasowy podtytuł „Pismo misyjne dla ludu katolickiego" zmieniono na „Miesięcznik Rozkrzewiania Wiary") przynosił artykuł napisany przez Arnolda Janssena pt. „Założenie niemieckiego Domu dla Misji Zagranicznych". Autor dowodził w nim, że powstanie takiego ośrodka jest coraz bardziej konieczne. Słowo Pańskie „Idźcie i nauczajcie wszystkie narody!" - nie dotyczy wprawdzie każdego w sposób bezpośredni, ale na pewno jest to zadanie narodu katolickiego. Niemcy nie wypełniają dotychczas dostatecznie swojej powinności w tym zakresie. Powinni zakrzątnąć się bardziej wokół misji zagranicznych, by nie pozostawać w tyle za innymi narodami. Obecnie wielu duchownych wyjeżdża za granicę. Stąd założenie Seminarium Misyjnego... staje się nieuniknioną koniecznością... To święte dzieło wydaje się być łatwe do zrealizowania, o ile w sposób zdecydowany przystąpi się do niego. Najbliższą i największą trudnością jest sprawa pieniędzy... Muszą się więc znaleźć pobożni dobroczyńcy... Praca nad zbawieniem dusz jest przedsięwzięciem najświętszym, boskim. Z dziełem tym związane jest zbawienie, nie tylko tego, który już jest chrześcijaninem, i który, jeśli nie przez nas, to przez innych będzie uratowany, ale zbawienie tysięcy ludzi, pozostających jeszcze w mrokach pogaństwa, albo - myśląc o następnych pokoleniach - zbawienie milionów ludzi. Im świętsze jest dzieło, tym na większe zazwyczaj napotyka trudności... Ale pierwsze poważniejsze trudności zwykle znikają, gdy okaże się, ze wielu interesuje się tą sprawą i chętnie ponosi w tym celu znaczne ofiary. Kto szybko daje, daje podwójnie i potrójnie... być pobożnym oznacza nie tylko pobożnie się modlić, ale także według otrzymanego talentu pobożnie pracować i pobożnie ofiarować, o ile warunki na to pozwalają"[8].

Arnold Janssen nie ograniczył się jedynie do apeiu. Wśród wielu inicjatyw mających na uwadze realizację celu, podjął również podróż werbującą do biskupów Holandii, Niemiec i Austrii. Prosił ich 0 wsparcie i błogosławieństwo dla Seminarium Misyjnego oraz związanego z nim gimnazjum z internatem. W latach 1874 i 1875 otrzymał takie wsparcie od 32 biskupów holenderskich, niemieckich 1 austriackich, którzy poparli jego plan bez zastrzeżeń. Wielu biskupów dostrzegło w tym przedsięwzięciu działającą Opatrzność Bożą

[6] Tamże.

[7] F. Bornemann, *Arnold Janssen,* 48.

[8] *Kleiner Herz Jesu Bote* (1874), nr 11, 83 nn.

w czasie, w którym Kościół - z dopuszczenia wszechwiedzącego Boga - wstrząsany był do samych fundamentów[9] i gdy aktualnie warunki w Niemczech „nie sprzyjały materialnej stronie tego szlachetnego i wielkiego dzieła"[10]. Wielu z nich wyrażało nadzieję, ze te doraźne trudności zachęcą dzielnych ludzi do całkowitego poświęcenia się tej sprawie albo, jak to sformułował bp z Linzu, że może podoba się Bogu wykorzystać „atak na Kościół w Niemczech dla sprawy misji zagranicznych, tak jak posłużył się prześladowaniem młodego chrześcijaństwa po śmierci Szczepana w Jerozolimie". Natomiast bp Riiss pisał: „To, co Kościół Katolicki obecnie czyni dla nawrócenia narodów pogańskich, będzie nam w przyszłości stokrotnie wynagrodzone, jeśli się w Europie i gdziekolwiek indziej położy tamę racjonalizmowi i prześladowaniu prawdy chrześcijańskiej".

Po gruntownym przygotowaniu i w stosunkowo krótkim czasie udało się Arnoldowi Janssenowi dokonać dzieła swego życia. W dniu <S września 1875 r. założył w Steyl Dom Misyjny św. Michała[11]. W trzy i pół roku później mógł juz wysłać dwóch pierwszych misjonarzy do Chin. Byli nimi Tyrolczyk, Josef Freinademetz, i Bawarczyk, Johann Anzer, który w 1886 r. mianowany został biskupem misyjnym w Południowym Szantungu. Szybko i pomyślnie rozwijał się Dom macierzysty w Steyl, mimo ze nie udało się Założycielowi (tak jak to pierwotnie zamyślał) zatrudnić w seminarium księży i misjonarzy, którzy utracili stanowiska w związku z polityką Kulturkampfu. W połowie lat siedemdziesiątych walki Kulturkampfu nieco ustały. Sytuacja kościelno-polityczna powoli się stabilizowała. Decydującym

[9] Iak Kardynał Książę Arcybiskup Maximilian Joseph Tarnoczy z Salzburga, Prymas Niemiec, w swoim piśmie polecającym, w: Hermann aut der Heide, *Die Missionsgenossenschaft von Steyl,* s. 596n.

[10] Bp Matthias Eberhardt z Trewiru, jak wyżej, 593.

[11] Na temat katolickiego przebudzenia, jego duchowej i religijnej witalności, która przejawiała się przy zakładaniu zgromadzeń zakonnych zeszłego stulecia: W Henkel, *Gestalinahme von Bekehrungsvorstellungen bei Ordensgrundungen im 19. Jahrhundert,* w: *Mission: Prasenz-Verkiindigung-Bekehrung?* wyd. przez H. Rzepkowskiego, St. Augustin 1974, 102-114; por. nadto: V Conzemius, *Strateg Królestwa Bożego,* zob. s. 49-55 niniejszego tomu; Karl Miillller, *Gesellschaft des Góttltchen Wortes 1875-1975,* w: j.w.

czynnikiem dla niespodziewanego rozwoju Domu był znaczny wzrost powołań, znak nowo obudzonej religijności Kościoła i jego wiernych w Niemczech (mimo ogólnie ciężkiej sytuacji). Zainteresowanie nawracaniem społeczeństw niechrześcijańskich wzrastało również skutkiem rozwoju kolonializmu i narastającego powoli imperializmu.

3. Pierwsza placówka werbistów w Państwie Pruskim[12]

W krotce potem, kiedy Dom macierzysty w Steyl wysłał do Chin pierwszych misjonarzy, Rzesza przystąpiła do realizowania swojej polityki kolonialnej. Determinowały ją dwie sprawy: przesadnie rozwinięte poczucie narodowościowe kierującej warstwy społecznej (która swoje stanowisko zdecydowanie podkreślała w narodowej prasie), oraz nacisk społeczno-ekonomiczny. Kanclerz Rzeszy, Bismarck, długo traktował interesy zewnętrzno-polityczne państwa jako pierwszoplanowe, dążąc przede wszystkim do zdobywania zamorskich posiadłości. Dopiero biorąc pod uwagę przyczyny pragmatyczne i okoliczności .- Anglia znalazła się w izolacji w stosunku do Francji (z powodu Sudanu), a w stosunku do Rosji z powodu terenów granicznych z Afganistanem - uległ naciskowi Reichstagu i określonych grup społecznych. Początkowo w Niemczech tylko małe grupy społeczeństwa odnosiły się z entuzjamem do kolonii, ogól nie wyrażał zainteresowania. Zmieniło się to w latach 1890-1914, kiedy nastąpił okres wzmożonej kolomalno-pohtycznej aktywności. Sytuacja ta miała również pozytywy: katolicka idea misyjna otrzymała w ten sposób „błogosławieństwo chwili", choć inspirowały ją odmienne motywy religijne. Arnold Janssen wykorzystał nadarzającą się sposobność.

Oprócz pertraktacji w sprawie przyjęcia niemieckiego protektoratu dla misji w Szantungu i objęcia pracy misyjnej w Togo (jakie prowadził z biskupem - księciem Koppem z Wrocławia i rządem Rze-

[12] Por. H. auf der Heide, *Missionsgenossenschaft von Steyl,* 181-195; F. Bornemann, *Arnold Janssen,* 264-281.

szy), nie szczędził starań o założenie Domu Misyjnego w Prusach. Mieli się w nim kształcić misjonarze i przygotowywać do pracy w krajach zamorskich. W styczniu 1891 r. werbiści dostali od rządu pozwolenie na otwarcie pierwszego Domu Misyjnego na ziemi pruskiej, z zastrzeżeniem jednak, że ma to być szkoła przygotowawcza, a nie placówka zgromadzenia zakonnego, ponieważ na taką me zezwalała kościelno-polityczna nowelizacja prawa z roku 1887. Minęło jeszcze półtora roku nim wreszcie 20 lipca 1892 r. pruski minister wyznań i minister spraw wewnętrznych udzielili przełożonemu generalnemu Arnoldowi Janssenowi zezwolenie na otwarcie placówki w Średniej Wsi koło Nysy (Neuland bei Neisse) „celem kształcenia niemieckich misjonarzy dla misji pogańskich, i to w niemieckich koloniach... Innej działalności prócz tej członkowie placówki me mogą bez wyraźnego zezwolenia podejmować"[13].

Interesujące jest pismo Arnolda Janssena z sierpnia 1892 r. do niemieckiego ambasadora w Pekinie, w którym dzieli się refleksjami odnośnie do tych spraw. Świadczy to z jednej strony o jego lojalności i patriotyzmie (bez popadania w służalczość), z drugiej, o jego niezależności i krytycznym dystansie do państwowej administracji. Czytamy tam m.in. „Miałem nadzieję, ze urzędnicy i przedstawiciele Jego Cesarskiej Mości, Wilhelma II, potraktują te sprawy w stosunku do katolickich poddanych trochę inaczej niz to miało miejsce niegdyś. Jako katolicy Rzeszy nie jesteśmy jej wrogami, ale raczej podporami tronu. Jesteśmy gotowi przyczynić się do umocnienia Rzeszy i podniesienia jej prestiżu tak w kraju, jak i za granicą. Stać nas na to, jeśli zamiast obrażania potraktuje się nas życzliwie. Co się zaś tyczy naszego Zgromadzenia, to jest ono w Niemczech bardzo popularne i z radością przyjęto do wiadomości, że przyjęliśmy pracę w niemieckim Togo, i że otrzymaliśmy zezwolenie rządowe na placówkę w Niemczech (Neuland k. Nysy na Śląsku). To ostatnie otrzymaliśmy

[13] Minister ds. wewnętrznych, Herrfurth, i minister ds. kultu, oświaty i medycyny, w jego zastępstwie, Weyrauch, do królewskiego prezydenta rządowego Prowincji w Opolu, dr von Bittera, Berlin, 20 VII 1892; przedruk w: Politisches Archiv des Auswartigen Amtes in Bonn). Preussen nr 2, nr la, t. 5.

po długim czekaniu i z budzącym zdziwienie zastrzeżeniem, którego na pewno nie stosuje się w odniesieniu do protestanckich domów misyjnych"[14].

III. Refleksje końcowe

Mam nadzieję, ze przedstawiona w tym artykule (chociaż szkicowo) sytuacja społeczno-polityczna ówczesnych Niemiec pomoże zrozumieć, w jakich czasach zył Arnold Janssen, jak je interpretował i jak, zgodnie ze swoją pełną wiary postawą, starał się odpowiadać na ich wyzwanie. Wykorzystywał każdorazowy *kairos* jako opatrznościowe zrządzenie. Oceniając z kolei jego szeroką działalność (wiele przykładów pominięto, a zasługiwałyby chociażby na wzmiankę), to widzimy Arnolda Janssena jako człowieka przepojonego głęboką wiarą, chrześcijańską nadzieją i miłością Boga. Pozwolił się Bogu wykorzystać jako narzędzie Opatrzności dla zbudowania Jego dzieła, które w przeszłości przyniosło Kościołowi dużo dobrego. Mimo wielu trudności Janssen poświęcił całe swoje życie na nieustanne działanie i uświęcanie ludzi. Niezmiennie, konsekwentnie, wiernie i nieugięcie trwał przy swej idei, swoim dziele misyjnym, które założył, poznawszy wolę Bożą. Szybki rozwój Zgromadzenia da się po części wytłumaczyć mądrością Założyciela i Jego roztropnym planowaniem. Umiał bowiem posługiwać się wszystkimi legalnymi i moralnie dozwolonymi środkami. Umiał właśnie korzystać z wszystkich danych mu przez naturę zalet. Otwartość jego spojrzenia i serca stały się miarą działania jego Zgromadzenia. Stanowią one jeszcze i dzisiaj odpowiednią do naszych czasów bazę dla misji.

Każda nowość w Kościele traci swoją rację bytu, jeżeli sprzeniewierzy się powierzonemu przez Chrystusa posłannictwu. Arnold Janssen był zawsze gotowy i otwarty na przynaglenie Ducha Bożego. Szczególnie w czasie, kiedy społeczeństwo niemieckie ulegało

[14] Arnold Janssen do Maximiliana von Brandta, Steyl, 25 sierpnia 1892; odpis jako załącznik do sprawozdania Brandta do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Pekin, 13 października 1892, w: jak wyże).

głębokim przemianom, a przekazane chrześcijańskie wzorce i wartości zaczęły się chwiać. Mimo takiej sytuacji dziejowej szedł zdecydowanie drogą, którą uznał za słuszną.

(Za: *yerbum" SVD* 1981, s. 207-225).

Tłumaczył o. J. Tyczka SVD

August Arand SVD

MOJE SPOJRZENIE NA OJCA ARNOLDA

August Arand urodził się w 1868 r. Do Steyl wstąpił w 1884 r. z zamiarem zostania bratem zakonnym. Pozwolono mu jednak studiować i w 1895 r. został wyświęcony na kapłana w St. Gabriel. Skierowanie misyjne otrzymał do Togo. Był tam krótko z powodu choroby. Wrócił i otrzymał nominację na wykładowcę w Steyl. Był znanym misjonarzem ludowym i publicystą. W czasie drugiej wojny światowej publicznie wyrażona troska i współczucie dla narodu żydowskiego spowodowały, że zmuszony byl ukrywać się w Belgii. Zmarł w 1955 r. Niniejszy artykuł napisał w 1937 r.

W pewnym czasopiśmie przeczytałem następujące zdanie: „Jeszcze nigdy nie ganiono tych, którzy chcieli się dowiedzieć, jak wyglądali ci, których oni czczą jako wielkich". Nasz czcigodny Ojciec Założyciel już od wielu lat nie żyje. Jego synowie i córki duchowe znają go w większości jedynie z fotografii. Opierając się na cytowanym zdaniu, spróbujmy jak najwierniej opisać fizjonomię naszego Ojca.

„Niech mnie Pan takiego namaluje, jaki jestem. Jeżeli Pan opuści choćby jedną bliznę czy zmarszczkę, nie zapłacę Panu ani szylinga" - powiedział stary Cromwell do artysty malarza. Nie życzył sobie, aby zmieniono charakterystyczne rysy jego fizjonomii, wyżłobione przez lata wojny, nieprzespane noce, zmartwienia. Może nawet nie chciał, by przypisywano mu regularne, gładkie rysy i promienny uśmiech, tak charakterystyczny dla karierowiczów dworu królewskiego.

Sądzę, że i Ojciec Założyciel zapewne pragnąłby być przedstawionym tak, jak go zapamiętali jego najbliżsi - wiernie i naturalnie. Od kandydatów starających się o przyjęcie do seminarium, żądał zdjęć

bez retuszu, bo tylko takie „oddają wiernie rysy". Zapewne więc też życzyłby sobie, aby i jego „obraz" był bez retuszu.

Co w niniejszych notatkach jest błędne, proszę sprostować i poprawić; co zaś za mało wyraźne, proszę dokładniej opisać. Jeśli ktoś ma wierniejsze spostrzeżenia, niech je przekaże. Dużo oczu widzi więcej niż oczy jednego człowieka.

Będzie to chyba ostatnia próba przekazania przyszłym pokoleniom prawdziwego portretu Ojca Założyciela, w każdym razie jeśli chodzi o jego zewnętrzne rysy. Setna rocznica urodzin wymaga tej prezentacji. Współbracia, którzy go osobiście znali, juz odchodzą.

Słowa „zewnętrzne rysy" - należy rozumieć w szerokim znaczeniu. Zawiera się bowiem w tym określeniu wszystko, co dotyczy jego osoby i postępowania. Wszystko - co dostrzegaliśmy, gdy Ojciec Arnold był z nami, i czego jeszcze me próbowano scharakteryzować przy innych okazjach.

Ostateczna biografia Ojca Założyciela - to zapewnie jeszcze dość daleka przyszłość. Każde nawet drobne spostrzeżenie ma więc swoją wartość. O Don Bosco, który żył w tym samym czasie, co Ojciec Arnold, uczniowie napisali aż 23 grube tomy, nasycając je najróżniejszymi spostrzeżeniami. Spróbujmy dziś ostatecznie określić obraz naszego Ojca Założyciela.

Rysy twarzy miał po matce. Potwierdza to konfrontacja z jej fotografiami. Każdego roku 15 sierpnia matka przyjeżdżała do Steyl, gdyż w tym dniu przypadała rocznica święceń kapłańskich Ojca Arnolda. Nigdy zaś me widziano jej na uroczystościach pożegnania misjonarzy. W Steyl zatrzymywała się w pokoju gościnnym lub na korytarzu. Do pokoju Założyciela nigdy nie wchodziła. Nocowała poza domem. Ubierała się zawsze w te same suknie i na pozór w ogóle się nie zmieniała. Zmarła w 1891 roku. Na uroczystość pogrzebową do Goch przyjechali z własnej woli uczniowie najstarszej klasy. Ojciec Arnold miał wtedy 54 lata. W tym czasie oprócz Domu w Steyl podjęto już fundację St. Gabriel. Ojciec Arnold był niższy od swego brata - Johannesa. Johannes był wysoki i szczupły. Zmarł na gruźlicę,

gdy miał 45 lat. Ojciec Arnold był także niższy od swojego brata Wilhelma - kapucyna, który go przeżył. Przeżyli go również bracia Gerhard i Peter. Gerhard osiadł na ojcowiźnie w Goch. Peter ożenił się i również tam pozostał. Rzadko zjawiali się w Steyl. Jeszcze rzadziej zjawiała się tam jego siostra, Gertruda, panna, która mieszkała w Kempen.

Ojciec Arnold nigdy publicznie nie wspominał swoich rodziców, ani też miasta rodzinnego.

Miał skłonności do zapadania na zapalenie płuc, nie stwierdzono jednak po kim to odziedziczył. Obawiano się, że zapalenie płuc będzie kiedyś powodem jego śmierci.

Podczas silnego ataku choroby w 1884/85 r., dodano do modlitw wieczornych jedno „Ojcze nasz" w Jego intencji. Przetrwało to aż do ostatecznego przeredagowania modlitw wieczornych. Ojciec Arnold z naciskiem zaznaczał, że nie on był „projektantem" owego uzupełnienia. „Włączono ją" - powiedział kiedyś i dziękował.

Jako młody chłopiec Ojciec Arnold był dobrze wyrośnięty, niezbyt muskularny i nieotyły. Gdyby nawet swoim charakterem i zewnętrznym wyglądem potrafił zwrócić na siebie uwagę płci pięknej, to jego spojrzenie odstraszyłoby każdą dziewczynę. Podobnie patrzył jego brat Johannes. Z czasem spojrzenie to złagodniało ale zawsze było poważne. Kiedy był wśród obcych przymykał powieki. Przymknięte oczy pomagały mu zachować spokój.

Jasne rzęsy i brwi ocieniały jego ciemne oczy. Od 1886 r. zauważalna jest zmiana w jego wyglądzie. Jego twarz się poszerzyła. Prawe oko zmniejszyło się i jakby zwężyło, owal twarzy stał się nieregularny. Zjawisko to pogłębiało się w miarę starzenia. Jedna część twarzy stawała się znacznie większa od drugiej. Jest to nie w pełni zrozumiałe, gdyż nigdy nie wspominano o jakiejkolwiek chorobie, która mogłaby porazić jego twarz.

Na fotografiach z młodych lat ma wygląd profesora, o badawczym spojrzeniu. Z wiekiem jednak jego twarz złagodniała, stała się ojcowsko dobrotliwa i życzliwa. Na starość jego spojrzenie można

było słusznie określić - jako uduchowione. Szkoda, ze nie wykonano zdjęcia Ojca Arnolda w najpiękniejszym momencie - gdy chwalono jego dzieło. Urzekał postawą pełną skromności. Ciekawy byłby również profil Ojca Arnolda. Az do pięćdziesiątki nie nosił okularów. Później potrzebne mu były do patrzenia w dal. Jego okulary miały owalne szkła i prostą stalową oprawkę. Na pewno i dzisiaj nie nosiłby innych.

Ojciec Arnold miał wąskie wargi znamionujące powagę i wytrwałość. Dwaj jego następcy charakteryzowali się podobnymi cechami, opanowaniem i bystrością umysłu. W dyskusjach wciągał nieco dolną wargę. Jego powściągliwy uśmiech - to „promieniowanie duszy". Ojciec Arnold śmiał się otwierając usta, ale robił to cicho i kulturalnie. Śmiał się mało, nie potrafił rozbawiać mnych, ale szczerze się cieszył, gdy inni serdecznie się śmiali. Zawsze pamiętano o jego imieninach, które były okazją do filuternych dowcipów. Ojciec Arnold aprobował ten rodzaj wesołości.

Ręce miał krótkie, miękkie i pulchne, w przeciwieństwie do kościstych rąk jego brata Johannesa. Chociaż dużo pisał zwykłym piórem i atramentem, ręce miał zawsze czyste. Charakter jego pisma był raczej nieładny. Dziwne, że nazwisko swoje pisywał przez „I" zamiast „J". Grafolog, który próbowałby na podstawie pisma określić osobowość Ojca Arnolda, miałby wiele trudności. W czasach szkolnych i w okresie wyższych studiów hołdował panującej wówczas modzie - pisania tekstów maleńkimi literami. Pismo „najdrobniejsze" uważano bowiem za najpiękniejsze.

Ojciec Arnold nigdy nie miał za wiele włosów. Był blondynem o skromnej czuprynie, która w drugiej połowie życia jeszcze się przerzedziła. Włosy miał krótko przystrzyżone, jak to było w zwyczaju Zgromadzenia. Od 1897 r. fryzjerami Ojca Arnolda byli wychowankowie: Jerzy Ahlefeld, Honorat Eichleitner i Ludwik Koster. Po nich brat Philo Maier, który pełnił tę funkcję do końca swego życia. Brat Pluło kilka razy wspomniał, że włosy, które ściął Ojcu Arnoldowi, moznaby zachować jako relikwie na przyszłość. Byłaby to miła pamiątka dla nas, tym bardziej że Ojciec Arnold może kiedyś być uznany za świętego. Dlaczego brat Philo tego nie zrobił ? Czy nie jest to jeszcze jedna z licznych „zaprzepaszczonych okazji" w SVD?

Za czasów Owidiusza wydatny nos uważano za oznakę pożądliwości. Rzecz całkiem niewinna, pożądliwość wiązano po prostu z silnie rozwiniętym zmysłem węchu. Ojciec Arnold miał duży nos, który w starszym wieku go szpecił. Nie można tez powiedzieć, żeby dzielił mu symetrycznie twarz, w której uderzał brak harmonii. Przypominał bardzo świętego Wincentego a Paulo. Gdyby Ojciec Założyciel zapuścił sobie brodę, na pewno imponowałby nią na równi ze świętym Wincentym.

Gdy miał sześćdziesiąt lat, za radą współbraci, zdecydował się na protezę dentystyczną; oczywiście bez złota. Proteza jednak niewiele mu pomogła. Nie potrafił rozgryźć skórek chleba, które bardzo lubił. Mógł tylko moczyć je w kawie. Nie używał przy tym łyżeczki. Wystarczył mu nóż. Po pewnym czasie przestano mu podawać łyżeczkę.

Przy posiłkach kładł sobie na stole wielką czerwoną chusteczkę. Raziło nas to. Dlatego obok filiżanki kładliśmy serwatkę. Nic nie mówił, ale z serwetki nie skorzystał. Zrozumieliśmy, że chciał przez to powiedzieć: „dziękuję wam za dobrą wolę, ale pozwólcie mi pozostać przy starych nawykach". W lecie słońce świeciło wprost na jego miejsce przy stole, przy którym jadł podwieczorek. Zaciągano więc firany, aby mógł siedzieć w cieniu. „Pozwólcie słońcu zajrzeć do nas" - mówił i cieszył się, kiedy mógł posiedzieć przez kilka minut w jego promieniach. Słońce przez dwadzieścia lat nie zaglądało do jego pokoju.

Cera Ojca Arnolda harmonizowała z jasnymi włosami. Jego przeciwieństwem był ojciec Blum, który przez cale życie był blady, a bladość tę podkreślały jeszcze ciemne włosy. Ojciec Arnold, mimo że wyglądał zdrowo, niewiele przebywał na świeżym powietrzu. Odżywiał się skromnie i z umiarem.

Jadł szybko. Nigdy me zaakceptował angielskiego sposobu posługiwania się nożem i widelcem. Jedząc na ogół nie rozmawiał, nie roz-

glądał się, ale zawsze pamiętał o sąsiadach. Na stole miał szklankę z wodą. Nie używał wykałaczki.

Kiedy w latach osiemdziesiątych narzekano na zbyt wysokie rachunki za masło, których można by uniknąć, jedząc suchy chleb, powiedział w czasie konferencji: „Młodzi ludzie potrzebują tłuszczu, dlatego będziemy jadać chleb z masłem". Ojciec Blum około 1900 r. wyliczył, że rachunek za samo masło wynosi 40 000 marek. Innym razem Ojciec Założyciel wyjaśnił: „W naszej kuchni zużywamy dużo cukru ze względu na zdrowie, ponieważ rzeczy słodkie są bardzo pożywne".

Teraz kilka słów na temat brzmienia głosu Ojca Arnolda. *On a toujours la uoix de son esprit* - taki ma się jego głos, jaki jest charakter człowieka. Ojciec Założycie! nie wyróżniał się swoim głosem. Nie był to ani bas, który często imponuje spokojem i działa na bojaźliwych, ani metaliczny tenor, który ma właściwości kojące. Trudno go określić. Nie było w nim nut gwałtownych. W chwilach spokoju był łagodny, w momentach uniesienia nigdy nie był twardy ani ordynarny. Podobnie jak jego brat, Gerard, odziedziczył po matce wysoki tenor głosu. Do końca życia zachował typowy akcent swego rodzinnego miasteczka Goch. Na przykład „a" było u niego bardzo długie. Niektóre sylaby wymawiał nieco inaczej, jakby gwarowo, odbiegały od przyjętej normy. Wydawało się, że jego głos miał uczuciowe zabarwienie. Nie przypominam sobie, aby kiedyś był zachrypnięty. Rzadko używał określeń, typu „nieprawda", jeszcze rzadziej mocnych słów. Gdy wyrażał podziw, słyszeliśmy najczęściej: „O Boże". Nigdy nie był mówcą z prawdziwego zdarzenia. Na konferencjach rozmawiał z nami, jak ojciec z dziećmi. O życiu mówił bez patosu i bez sentymentalizmu. Kiedy zabrakło mu odpowiednich wyrazów, me maskował bezradności ani się nie usprawiedliwiał. Wiedział, ze nie jest dobrym mówcą i przyznawał się do tego. W czasie konferencji w niedzielę powiedział na temat pokory i skromności: „Pan Bóg każdemu daje coś, co powinno utrzymać go w pokorze, jakąś plamę, której nie da się usunąć". Ponieważ mówił także o sobie, od razu pomyśleliśmy i o jego plamie. Jednomyślnie wskazaliśmy na „talent mówcy".

Często zwracał kapłanom uwagę, aby korzystali z mądrości innych. Mawiał: „Inni też mają dobre pomysły".

Od 1884 r. nigdy me śpiewał „lekcji", ewangelii oraz *„Ite missa est". Zgadza!* się jedynie na sumy, w których brał udział tylko w asyście. Jego zdolności muzyczne nie przewyższały jego talentu retorycznego. Był tego w pełni świadom. W 1884 lub 1887 r. zakazał śpiewania litanii do Matki Boskiej z przepiękną melodią Witta; rzekomo przeszkadzało mu to w odmawianiu brewiarza. Nie przyłączał się też do wspólnego śpiewania pieśni; zbyt był zajęty brewiarzem lub różańcem. W latach sześćdziesiątych pamięć jego nieco osłabła. W czasie konferencji częściej niż zwykle następowały przerwy. W takich momentach zamykał usta, a potem krótko i głośno dwa razy wciągał powietrze. Przyzwyczaliśmy się do tego. Często miewał ataki kichania. Usta miał wówczas zamknięte. W ogóle mimikę miał bardzo opanowaną. Pod tym względem różnił się od swego brata Johannesa, który podczas Mszy św. i udzielania błogosławieństwa Przenajświętszym Sakramentem czynił różne grymasy.

Ojciec Arnold nie wprowadził specjalnego stroju dla przełożonego generalnego. Ubierał się bardzo skromnie. Do sześćdziesiątego roku życia, a może nawet dłużej, nie używał w Steyl płaszcza. Płaszcz i kapelusz nazywał strojem podróżnym. Nie zapinał drugiego i trzeciego guzika przy sutannie, aby łatwiej mógł wydobyć z niej zegarek, ołówek lub białą chusteczkę, którą chował tam tylko na niedzielę i święta. Ten brzydki zwyczaj przyjęli od niego inni. Nawet ojciec Wegener. Denerwowało to tych, którzy niegdyś służyli w wojsku. Uważali, że guziki są po to, aby były zapięte, i podkreślały sylwetkę. Dużo czasu upłynęło jednak zanim pewien brat umieścił na sutannie małą kieszonkę na zegarek i bilet podróżny...

Ojciec Arnold me nosił zegarka na łańcuszku. W swoim pokoju, a także podczas egzaminów kładł go na stole. W 1886 r. w Steyl wśród młodszych ojców i uczniów klas starszych stał się modny tak zwany łańcuszek Piotra. Starsza generacja me przyjęła jednak tej mody.

Az do 1886 r. nikt nie nosił biretu poza kościołem. W tym roku neoprezbiter, Nagler, odstąpił od tego zwyczaju. Nie wpłynęło to jednak szczególnie na jego pobożność. Ojcu Arnoldowi nie było do twarzy w birecie. Nakładał go, gdy mówił kazanie w komży. Wygląda! wtedy trochę odstraszająco. Jego tania piuska podkreślała szerokie czoło. Zdejmował ją podczas modlitw kwadransowych (ale się nią nie bawił).

Nosiły długie czarne pończochy i półbuty bez sprzączki. Takie wówczas nosili księża.

W Kolonii pokazywano niegdyś wśród relikwii także buty Św. Kanizego. Czy po Ojcu Założycielu została chociaż ostatnia para?

Tylko jeden raz w czasie swego pobytu w Steyl Ojciec Arnold wybrał się do ministerstwa w stroju księdza diecezjalnego, „na krótko", w sutanelli. Tym strojem wzbudził w nas litość. Ale skończyło się na tej jednej próbie. Jakiś berliński chuligan zawołał za mm: „Spódnica księdzu spada". *De facto* płaszcz był o kilka centymetrów krótszy od sutanelli. Kiedy później z jakiejś okazji rząd zaprosił przełożonych zgromadzeń misyjnych do Berlina, zaznaczono, że należy się stawić w stroju zakonnym.

Jego przywiązanie do wielkiej czerwonej chusteczki - 70 x 65 cm - wywodzi się ze starego regionalnego zwyczaju. Czystej chusteczki używano do przenoszenia zakupów. Biała chusteczka (65 x 65 cm) była używana zwyczajowo dopiero od 1884 r. Ojciec Założyciel do końca życia pozostał wierny dużej, czerwonej.

Okna jego pokoju przysłonięte były białymi prostymi zasłonami (do zrolowania). W pokoju znajdowało się jedynie kilka modlitewników, wydanych m.in. przez własne wydawnictwo, którymi obdarowywał opuszczających Zgromadzenie. Przez długie lata słońce zaglądało do jego pokoju jedynie w porze zimowej, i to tyłko przez godzinę. Mimo wszystko czuł się tam dobrze. Przez okna pokoju mógł patrzeć na dach drukarni, dzisiejszej auli.

Chód miał nierówny. Prawą nogę stawiał trochę mocniej i przez to wydawało się, że kuleje. W sposobie chodzenia nie miał nic z pewności żołnierza, ani ze sztywnego dostojeństwa. Jego chód i postawa przypominały prostego wieśniaka.

Idąc, nic wymachiwał rękami, zwisały mu swobodnie wzdłuż ciała. Patrzył mniej więcej na trzy kroki przed siebie. W czasie miesięcznej procesji w kościele, składał ręce na piersiach tak wysoko, że przy lekko pochylonej głowie dotykał kciukiem brody.

Był wolny od dziwactw, jakich nie brak często ludziom wielkim. Ojciec Blum zdradzał stany lękowe podczas burzy. Ojciec Arnold nigdy nie okazywał bojaźhwości.

Ojciec Wegener, podczas dyskusji, był przeciwny, instalowaniu piorunochronów na wysokich dachach. Twierdził, że należy zaufać Bożej Opatrzności. Wiele kościołów przez stulecia było pozbawionych jakiegokolwiek zabezpieczenia. Ojciec Arnold sprzeciwił się temu: „Nasze posiadłości musimy uważać jako dane nam w opiekę przez Pana Boga. Bóg chce, abyśmy chronili je ludzkimi środkami". Dzięki Niemu wieże nad Mozą ściągnęły w ciągu 50 lat niejeden piorun.

W sprawach higieny me zabierał głosu i nikomu nie narzucał się z natrętnymi radami. Sam przestrzegał je na tyle, na ile pozwalały warunki mieszkaniowe.

Z reguły nikogo nie przywoływał po imieniu..Używał krótkiego - pst! pst! Jeżeli mówił do kogoś lub o kimś, używał pełnego nazwiska, np. ojciec Schafer, ojciec Górlich, etc. Do Braci zwracał się imieniem zakonnym. Do Ojców mówił przez „Ojcze", a do Braci przez „ty".

Braci zakonnych określał według reguły jako braci laików. Mówił zwykle o „dobrych braciach".

Nie można mu zarzucić, że był ciekawy.

Nie wiadomo czy lubił specjalnie jakiś kolor lub kwiat.

Z języków nowożytnych znał francuski.

Ojciec Arnold nie lubił skrótów, zwalczał je w listach. Nawet datę pisał w pełnym brzmieniu. Korespondencja zajmowała mu wiele

czasu, gdyż nic używał maszyny, a w dodatku ze wszystkich listów sporządzał duplikaty.

Obcych przyjmował tylko przy furcie. Często korzystał z zastępcy. Przyjmując gościa, wskazywał mu lepiej oświetlone miejsce.

W czasie rekreacji po posiłkach czytywał prasę. Ten zwyczaj przejęli później inni Ojcowie. Artykuły wybierał sam i raczej pomijał te, które sugerowano, aby przeczytał.

Profesorowie są na ogół roztargnieni. Tego nie można było mu zarzucić. Ani w jego postawie, ani w ubiorze nie dostrzeżono nigdy niedbalstwa. Piuskę miał zawsze czystą. Czasem tylko z jego kieszeni zwisał róg dużej, czerwonej chusteczki. Nigdy nie zakładał nogi na nogę. Na ćwiczenia i posiłki przychodził punktualnie. W razie spóźnienia, me usprawiedliwiał się przesadnie.

(Za: *„Verbum"* 1962,109-116).

Tłumaczył Adam Krawiec SVD

Karl Bude SVD

MAŁY PRZYCZYNEK DO UHONOROWANIA NASZEGO ZAŁOŻYCIELA

Ojciec Karl Bude urodził się w 1889 r. w Opolu. W 190 > r. wstąpił do Domu Misyjnego Świętego Krzyża w Nysie. Tamteż został z początkiem pierwszej wojny światowej wyświęcony na kapłana. Przez całe swoje życie był misjonarzem ludowym lub pracował w duszpasterstwie nadzwyczajnym. Zmarł w 1975 r. w St. Augustin. Przyczynek poniższy napisał w 1965 r.

Było to latem 1930 r. Do Generalatu należała wtedy grupa wybitnych mężów, takich jak np. ojciec Gier, ojciec Josef Grendel, ojciec Teodor Kost, ojcowie Herman Fischer i Michael Colling. Współbracia dyskutowali nieraz na temat: czy Zgromadzenie wydało kogoś wybitniejszego od Ojca Założyciela? Zapytano kiedyś o zdanie ojca Damiana Kreichgauera. Założyciel często się z nim spotykał, lubił dyskutować. Ojciec Kreichgauer znany był ze swego powściągliwego sądu.

Ojciec Damian zareagował jednak w niezwykły sposób. Akcentując pewne słowa powiedział: „Drogi *współbracie,* nie ma o czym *mówić.* Wiedz, że żaden z tych ojców, którzy się *dziś* znajdują tam na szczycie, absolutnie mu nie dorównuje".

Słyszałem za życia Założyciela od moich wychowawców i nauczycieli słowa największej czci pod adresem Przełożonego Generalnego. W czasie mojej pracy duszpasterskiej słyszałem od niejednego księdza, zwłaszcza nad Dolnym Renem, słowa wielkiego uznania. Wielu z nich twierdziło, ze Założyciel był inicjatorem niejednego ruchu czy prądu w Kościele.

Po śmierci *Założyciel* bardziej przeszedł do wspomnień niż do historii. (Podobny los spotka! jego fotografie). Retuszowanie uchodziło wtedy za artyzm. Usiłowano więc nie tylko pousuwać zmarszczki i cienie, ale i uwypuklić jego rysy. W ten sposób zniekształcono to, co było w nim charakterystyczne. Wielu nic chciało więc zaakceptować tego rodzaju portretu. Mówi się, ze obraz w sali konferencyjnej w St. Gabriel jest dość wiernym odbiciem Założyciela. Namalował go ojciec Biittgens z pamięci na podstawie własnych wspomnień. To samo można powiedzieć o obrazie „Arnold Janssen podczas adoracji" brata Łukasza Kolzema. Za najwierniejszy jednak portret uważa się ten w St. Wendel, malowany przez Gottwalda z nieretuszowanych fotografii. Potwierdzają to ojciec Jan Valerius i siostra Apollinaria SSpS, którzy go dobrze znali. Najlepszą reprodukcję tego portretu drukuje się w Steyl.

Życiorys Założyciela „Arnold Janssen", pióra Hermana Fischera, krytyka katolicka powitała jako przełom w hagiografii: przejście z formy legendarnej do realistycznej. Można śmiało powiedzieć, ze nie było wtedy w Niemczech seminarium duchownego, w którym by przynajmniej raz nie czytano życiorysu Ojca Arnolda.

Ustny przekaz na temat jego życia nie miał w Zgromadzeniu takiego sukcesu. W tym czasie, kiedy wśród młodzieży zanikała cześć do osoby św. Alojzego z powodu barokowego przedstawiania Świętego, niektórzy czciciele Ojca Założyciela pragnęli właśnie w tym stylu go zaprezentować. Wmawiano nawet jednemu z zelatorów: „Musimy przedstawić Ojca Założyciela nie takim, jakim był, ale takim, jakim powinien być". Zabieg taki byłby pogrzebaniem postaci Arnolda i jego znaczenia dla historii. Dlatego chciałbym w tym krótkim szkicu wskazać konieczność godnego oceniania wielkości naszego Założyciela i pobudzić naszych historyków, do przyznania wartości historycznej, jaka mu się należy. Jest to zadanie przede wszystkim dla nas samych.

Ojciec Kreichgauer udowadniał kiedyś, że wielkość osoby nie zależy od tego, czy oznaczała się wielkimi myślami, bowiem prawie każda idea została juz raz wymyślona w takiej czy innej formie, ale raczej od tego, czy postawione zadanie zostało zrealizowane i to wspósób systematyczny, wytrwały i efektywny. Zgodnie z tym należałoby naszym zdaniem - chcąc rzetelnie ocenić Założyciela - sprawdzić, jakie miał cele i zadania, a potem zbadać, w jaki sposób je zrealizował.

Wielkie zadania, jakie przed nim stanęły, były następujące: Cel dalszy: wciągnąć niemieckich katolików do dzieła misyjnego Kościoła. Cel bliższy: wykształcić w pierwszym Domu Misyjnym grupę misjonarzy, która byłaby silna i skuteczna, udowadniając możliwości misyjne niemieckich katolików, to znaczy stworzyć awangardę, budzącą innych z misyjnego letargu i zachęcającą do zainicjowania ruchu misyjnego.

Do wykonania drugiego zadania - celu bliższego - me znalazł Założyciel tak sprzyjających warunków, jak niegdyś św. Ignacy przy zakładaniu swego zakonu. Św. Ignacemu - rekolekcjoniście, obeznanemu z życiem dworskim i poważanemu oficerowi, łatwiej było przeprowadzić werbunek wśród żywej i pełnej ciekawości młodzieży uniwersyteckiej i zarazić ich swoim duchem.

Arnold Janssen rozpoczynał pracę z bardzo zróżnicowaną grupą kleryków. Miał przed sobą typ kapłana, którego poglądom rzadko się sprzeciwiano, i który - skutkiem tego - skłonny był do absolutyzowania swego zdania. Miał przed sobą kleryków z różnych stron kraju, którzy nieskorzy byli do przystosowywania się do innych, a odmienne zdanie czy opinię traktowali jako atak wymierzony przeciw nim. Poglądy ich na dzieło misyjne i ascezę, jako warunek dobrej pracy, były bardzo różne. Arnold Janssen uważał, ze szkoły apostolskie i wspólne wychowanie nie gwarantują jeszcze właściwej pracy misyjnej. Dopiero specjalne przygotowanie do posłuszeństwa i włączenie się w zakon gwarantują wspólnocie potrzebną aktywność i powodzenie. Współpracownicy Ojca Arnolda myśleli jednak tylko o wspólnocie księży świeckich i me zamierzali zrezygnować z osobistej wolności. Charakteryzując ich krótko: to indywidualności bez liku, ale bez wspólnego mianownika! Ojciec Arnold sytuację w Domu przedstawił następująco: „Z początku nie było jeszcze żadnej reguły, żadnej tradycji, żadnych podstaw zaufania". Mimo to Założyciel

uformował ducha jedności, ducha misyjnego i zakonnego przez prawdziwą ascezę i aktywność misyjną. Powodzenia tego me osiągną} tanią retoryką, emocjami i ekscentrycznością, która stworzyłaby opozycji tylko okazję do zarzutów. Wydaje się, ze Arnold Janssen po mistrzowsku poradził sobie z zastrzeżeniami, które przy tego rodzaju sytuacji mogły się wielokroć pojawiać. Najpierw sam gruntownie przestudiował każdy problem. Następnie spotykał się z fachowcami z innych zakonów, zgromadzeń misyjnych, biskupami, założycielami zakonów i tym podobnymi osobistościami. A wtedy było juz stosunkowo łatwiej rozwikłać palące problemy, przedstawić najlepsze rozwiązania, a to co jeszcze pozostało do załatwienia, oprzeć na doświadczeniach innych.

Argumenty, którymi posługiwał się podczas konferencji, były spokojne, obiektywne, rzeczowe i dobrze uzasadnione. Uważał bowiem, ze jest to najlepszy sposób, by pouczyć i przekonać swoich duchowych synów. Są tacy, którzy twierdzą, że „nie był żadnym mówcą", ja uważam, ze należy tu wnieść poprawkę: na pewno magia słowa była mu me znana. Nie uciekał się do wielkiej retoryki.

Uważam jednak, ze odznaczał się często potoczystością mowy, taką np. jaką spotykamy w „Małym Posłańcu Serca Jezusowego", czy 0 jakiej się mówi z okazji wielkich uroczystości misyjnych w Steyl. Silną stroną jego wypowiedzi była rzeczowość, obiektywizm. Przemówienie z okazji Bożego Narodzenia czy innych uroczystości przemieniało się w przemówienie prorocze, za którym stał człowiek z całym swoim przekonaniem i wiarą, który porywał podwładnych, 1 umiał się bronić przed każdym zarzutem: silny wiarą w wartość przedstawionych celów, silny ofiarnością i głęboką pobożnością. W ten sposób Ojciec Arnold formował ducha steylowskiegok

Ale „dobry duch steylowski" musiał być żywy, musiał żyć w ludziach, których liczba wciąż się powiększała. Do pierwszego Domu Misyjnego dołączyły wnet cztery inne. Misje w znacznej mierze musiały być utrzymywane przez Steyl. Steylowskie dzieło misyjne potrzebowało solidnej bazy gospodarczej.

Por. H. Krins, *Wie ich Arnold Janssen erlebte,* „Verbum" 1964, s. 186.

Wyobrażenia wiernych o misjach wśród pogan i związana z tym ofiarność, oceniając dzisiaj z perspektywy czasu, były bardzo niedoskonałe. Wyjechać na misje znaczyło po prostu „iść do dzikich". Taka opinia była me tylko wśród ludzi prostych. W czasie naszych studiów w gimnazjum na początku tego stulecia nierzadko się zdarzało, ze w czasie wakacji miejscowy proboszcz zagadnął któregoś z nas: „Taki inteligentny chłopak, jak ty, nie musi przecież »iść do dzikich«. Mozę się uczyć w gimnazjum i tutaj przyjąć święcenia, gdzie tak bardzo brak kapłanów, zarówno w diasporze, jak i na terenach przemysłowych".

Msgr Henninghaus opowiadał w 1907 r. o pewnym wysokim urzędniku, któremu towarzyszył w podróży przez Południowy Szantung, ze na widok uprawionych przez Chińczyków pól i racjonalnego wykorzystania ziemi, raz po raz wykrzykiwał: „Co za kultura!".

Zycie misyjne na początku dzieła steylowskiego traktowano jako pobożną robinsonadę. Powszechnie uważano, ze misjonarzowi potrzebny jest przede wszystkim dobry karabin myśliwski i ostry nóż, aby mógł żyć w dziewiczej dżungli.

A jałmużna misyjna! Niejeden poczciwina przekonany byt, że jest przyjacielem misji, gdy zbiera odzynki od cygar, by w misjach móc je sprzedać jako tytoń do fajek (co w Steyl rzeczywiście miało miejsce) albo kiedy pozwolono dzieciom zbierać staniol po czekoladzie czy zużyte stalówki!

Arnold Janssen nie kapitulował także wtedy. Nie gardził żadnymi darami. Nasi wychowawcy pouczali nas, że me należy raptownie zmieniać istniejącego poglądu na misje, lecz roszerzać go, opowiadając życzliwie ofiarodawcom o prawdziwych potrzebach. Przypominali, ze oszczędne użytkowanie przedmiotów należących do Domu jest także popieraniem dzieła misyjnego i to często o wiele wydajniejszym niż robią to darczyńcy.

Arnold Janssen od początku swego dzieła musiał liczyć tylko na siebie. Zrezygnował z posady nauczyciela, a zadowolił się posadą kapelana domowego sióstr Urszulanek w Kempen, aby móc wydawać

„Posłańca Serca Jezusowego" i werbować przezeń przyjaciół swego planu, zbierać fundusze na założenie pierwszego Domu Misyjnego i znajdywać pomocne grono dobrodziejów. Z trudem starczało to na początek. Przyszłości także nie można było na tym budować. Z pomocą przyszedł przypadek i ukazał możliwość rozszerzenia wydawnictw misyjnych. Zaczęto wydawać „Kalendarz św. Michała" i „Miasto Boże". Ich redaktora nazwano żywicielem Zgromadzenia. „Mały Posłaniec Serca Jezusowego" został zamieniony na „Posłańca Misyjnego". Prasa misyjna miała wiernie służyć ojczyźnie, „Miasto Boże" zaś pomyślane było jako interesujące i pożyteczne czasopismo rodzinne.

W związku z tymi zmianami powstała konieczność rozbudowania instytucji kolportażu przez braci misyjnych i organizacji zelatorów na całe Niemcy i Austrię, powołanie do życia wydawnictwa, a w końcu prokury misyjnej jako centrali reklamowej, przedstawicielstwa handlowego i prawnego.

Inicjatywy te były długo zwalczane przez ośrodki katolickie. Ogólna ignorancja w sprawach misji sprawiła bowiem, że nie sposób było wydać o nich właściwy osąd. Dlatego niektóre wydawnictwa nazywały ową „samopomoc" nieuczciwą konkurencją. Inni zarzucali Zgromadzeniu chciwość. Jeszcze latem 1907 r. bp Henninghaus zapewniał w Świętym Krzyżu, że 75 procent jego wydatków pokrywa Steyl. Ta wielkoduszna, ekonomiczna „samopomoc" była wynikiem błogosławieństwa Ducha Świętego, któremu przypisywało się rozwój misji.

Rozwijając tę misyjną „samopomoc" ojciec Arnold Janssen pokazał nowy pociągający obraz brata misyjnego tak, ze za jego czasów liczba braci-profesów w Zgromadzeniu przewyższyła liczbę ojców i kleryków.

Z czasem prawie wszystkie zakony, a nawet Papieskie Dzieła, przejęły steylowski sposób propagandy i finansowania. Arnolda Janssena można śmiało uznać za inicjatora niemieckiego ruchu misyjnego, wychowania społecznego, sposobu werbowania powołań i organizacji. Dzieła *„Mtsereor"* i *„Adveniat"* mogły budować na fundamencie położonym przez naszego Założyciela.

Arnold Janssen bardzo ostrożnie przystąpił do zakładania zgromadzenia sióstr misyjnych. Prawdopodobnie miał w pamięci doświadczenia św. Franciszka Salezego z siostrami Nawiedzenia. Jako wzór dla zgromadzenia sióstr misyjnych dał św. Wincentego a Paulo, człowieka czułego na nędzę duchową i cielesną, którego też wybrał jako przykład dla własnej kapłańskiej działalności. Z szacunku dla niego, a także z przekonania o konieczności modlitwy w intencji spełnienia pragnień Serca Jezusowego, ten były dyrektor Apostolstwa Modlitwy przydzielił zgromadzeniu sióstr od wieczystej adoracji takie miejsce, które w normalnej pracy misyjnej było nie do przeprowadzenia.

Jeżeli jednak *militia orans* i czynny udział w *acies Domini* nie dały się pogodzić w jednym Zgromadzeniu równocześnie, wtedy musiały powstać dwa zgromadzenia. Za osobisty obowiązek uważał przepoić oba zgromadzenia swoim duchem i każde uformować do właściwych sobie zadań. A z jakim skutkiem? - Arcybiskup Paderborn, kardynał Jager, kiedy w 1961 r. odwiedził klasztor Świętej Trójcy w Driburgu, powiedział do towarzyszących mu osób: „To jest naprawdę nowoczesny klasztor klauzurowy". Także Siostry Misyjne juz po usamodzielnieniu się na podstawie papieskiej aprobaty, wiernie strzegły ducha Założyciela i podnosiły swoje kwalifikacje.

Arnold Janssen przystąpił do realizacji wielkiego dzieła misyjnego mając 37 lat, ponieważ doszedł do wniosku: Bóg chce tego ode mnie. Tym samym uznał, że Bóg albo mu już dał, albo da konieczne do tego kwalifikacje: potrzebne siły fizyczne mimo słabej kondycji, zdolności naukowe, potwierdzone przez uniwersytet w Bonn, gdzie zdał wyśmienicie egzamin państwowy z sześciu przedmiotów. Praca dla Apostolstwa Modlitwy, wysiłki na rzecz ekumenii i starania o uczestnictwo niemieckich katolików w dziele misyjnym stały się dla niego szkołą i przysposobieniem do przyszłego zadania życiowego. Dzięki nim znalazł odwagę, aby wyjść naprzeciw życzeniom swoich przyjaciół misyjnych i wziąć odpowiedzialność za założenie pierwszego niemieckiego Domu Misyjnego i jego rozbudowę.

Pochłonięty dziełerh misyjnym zachował jednak żywe zainteresowanie sprawami religijnymi własnej ojczyzny. Jego prasa misyjna

miała umacniać wiarę w ojczyźnie. Księży swoich angażował, na ile to było możliwe, do pracy duszpasterskiej. Domy Zgromadzenia otworzył dla kursów rekolekcyjnych, które w Niemczech były wtedy mało znane.

Jego gorliwość o zbawienie dusz obejmowała cały świat. Ponieważ potrzeby Kościoła w Ameryce Południowej były bardzo wielkie, gotów był - 75 lat przed Janem XXIII i dziełem „Adveniat" - zrezygnować z głównego celu Zgromadzenia, aby móc energicznie pomagać Kościołowi.

Nowoczesną teologię wyprzedził swoją trynitarną pobożnością. Dopiero po drugiej wojnie światowej ożywiło się zainteresowanie tym problemem w literaturze teologicznej.

Siedząc jego życie i pracę, widzimy, że Ojciec Arnold pozostał skromny i wdzięczny Bogu, jak wszycy prawdziwie wielcy, którzy mimo odnoszonych sukcesów, znają granice ludzkiej wiedzy i możliwości.

Czy można o tym wszystkim mówić współczesnej młodzieży? Nasza młodzież, czeka na to. Tęskni za tym, jak każda młodzież, i z całych sił walczyć będzie o najwyższe cele. Pragnie poznać wypróbowanych mistrzów tej walki, ale chce też, aby jej dążenia brać poważnie. Nie zadowoli się egzaltacją i fałszywymi ocenami, ma wyrobione poczucie rzeczywistości, zwłaszcza jeśli dotyczy to bohatera jej własnego powołania. Jeżeli będzie On jej przedstawiony w sposób wiarogodny, wtedy będzie go podziwiała, będzie nań spoglądała z uznaniem i razem z jego pierwszymi współtowarzyszami powie: Arnold Janssen, nasz Ojciec, Wódz i Założyciel.

Kto napisze książkę odpowiadającą współczesności, książkę, na którą naprawdę czekamy: Arnold Janssen na tle epoki?

(Za: *„Verbum", 1966,* s. 64-70).

Tłumaczył Jan Kilian SVD

Victor Conzemius

STRATEG KRÓLESTWA BOŻEGO

Victor Conzemius, ur. się w 1929 r. w Echternach (Luksemburg); w 1955 r. wyświęcony na kapłana; 1965-68 profesor historii nowożytnej w Dublinie, 1970-1980 profesor historii Kościoła w Luzem. Znawca XIX i XX wieku. Oprócz fachowych publikacji opracował biografie katolickich osobistości czasów nowożytnych. Artykuł o Arnoldzie janssenie ukazał się w „Christ und Kultur", jako dodatek do wielu katolickich czasopism w Szwajcarii. Małe błędy autora świadomie pozostawiono: Arnold janssen studiował nie filologię, ale matematykę, „Stadt Gottes" nie wyrosło z „Małego Posłańca Serca Jezusowego". Na ogół jest to rzeczowa i dobra ocena postaci i działalności Arnolda Janssena.

Zycie Ojca-Janssena nie było opromienione blaskiem niezwykłych uzdolnień. Nie wyróżniał się ani specjalnymi osiągnięciami pisarskimi, nadzwyczajnym męczeństwem, szczególnym krasomówstwem, czy też niezwykłą charyzmą. Był indywidualnością rzetelną, przeciętną, o silnej woli i wytrwałości, a także gorliwości w działaniu.

Arnold Janssen, wiejski chłopak, wychował się w środowisku znanym z pobożności, nad dolnym Renem, w małej miejscowości Goch. Chodził do szkoły prowadzonej przez duchownych. Chciał zostać księdzem i chyba to było zawsze jego pragnieniem. Oprócz matematyki i nauk przyrodniczych studiował także filologię.

Po ukończeniu dwuletniego kursu teologii osiągnął 15 sierpnia 1861 r. - me ukończywszy jeszcze 24 lat - swój cel i przyjął święcenia kapłańskie. Można sądzić, że był to wstępny etap do drobnomieszczańskiej bezpiecznej egzystencji życiowej nauczyciela w średniej szkole miejskiej w westfalskim Bocholt. Jego studenci, którzy go nazywali „profesorem", mieli słuszność. Dla tego nauczyciela z mu-

su, który nigdy me został opiekunem klasy i któremu kontakt z młodzieżą nie przychodził łatwo, pozostawała rola kujona, zgodnie z jego naturą. Był tez pedantycznie dokładny w poprawianiu prac uczniowskich.

Arnold Janssen, matematyk, który umiał wszystko mądrze obliczyć, potrafił tez odłożyć znaczną sumkę na przyszłość, mimo hojności okazywanej bratu (finansował mu studia) i misjom.

Pociągnięcie matematyczno dodatnie

Rachunkowość. Zmysł matematyczny widoczny jest nawet w jego pobożności. W Apostolstwie Modlitwy, którym się zajął jako młody wikary i które propagował za pomocą ulotek, wielką rolę odgrywały odpusty. Uzyskać je można było przez udział w Apostolstwie. Czy była to rekompensata za brak szkolnych wyników? Dlaczego poświęcił się tej pochodzącej z Francji formie pobożności, w której dwa nabożeństwa: do Serca Jezusowego i Niepokalanego Poczęcia stanowiły jądro wzrastającej pobożności ludowej także w krajach niemieckojęzycznych? Nie wiemy. Faktem jest, ze ten przeciętny nauczyciel gimnazjalny występuje teraz po raz pierwszy. Angażuje proboszczów i życzliwych ludzi świeckich na rzecz braterskiej modlitwy, podsuwa tę myśl podczas Zjazdów Katolickich (Katholikentage), wprowadza ferment. Jego sukcesy przerywa przegrany spór z kierownictwem szkoły; nie pozwolono mu na postawienie figury Matki Boskiej. Otrząsnął więc ze swoich stóp kurz miasteczka Bocholt i został przez dwa lata kapelanem sióstr urszulanek w Kempen. Ma w tym okresie więcej wolnego czasu. Przystępuje do redagowania popularnoinformacyjnego czasopisma „Mały Posłaniec Serca Jezusowego", z którego później powstaje „Stadt Gottes", pismo Zgromadzenia Słowa Bożego. Potem podejmuje plan założenia Domu Misyjnego dla krzewienia Królestwa Bożego wśród narodów niechrześcijańskich.

Wiedza książkowa o dalekich kulturach

Kształtowanie się tych planów i ich realizacja przez Arnolda Janssena przypomina opowieści z książek Karola Maya. Zarówno tam,

jak i tu - olbrzymie znaczenie miała wiedza teoretyczna o dalekich kulturach zapoczątkowana lekturą opisów podróży w czasopismach geograficznych. Nigdy bowiem ani jeden, ani drugi me dotknął swoją stopą krajów misyjnych. Ale od tego momentu zaczynają się różnice. Podczas gdy fantazja Karola Maya porywa czytelników nieprawdopodobnymi ekscesami, u Janssena siła misyjnych idei schodzi dyskretnie na drugi plan, aby zrobić miejsce rozsądkowi, skierowanemu na konkretne cele. W jego czasopiśmie misyjnym dominuje zasada rzeczowości. Po krótkim początkowym okresie niepewności stara się wzbudzić głównie „zainteresowanie misjami zagranicznymi Kościoła katolickiego wśród pogan". Wolny od iluzji, ma przed oczyma realny cel: pozyskanie sojuszników dla tego zadania. Podczas gdy niektórzy marzą na przemian w jednej godzinie, by zostać kartuzami, umrzeć jako męczennicy w Chinach bądź tez stać się ofiarą niemieckiego Kulturkampfu, „prywatny duchowny" koncentruje swoje wysiłki na ośrodkach szkoleniowych dla przyszłych misjonarzy.

Konsekwencja prowadzi do sukcesu.

W konsekwentnym dążenia do celu lezy, jak można sądzić, siła powodzenia jego idei. Tu, w tym sukcesie, jeszcze raz przypomina Karola Maya. Wprawdzie me udało mu się, jak to początkowo zamierzał, zwerbować zwolnionych ze stanowisk kapłanów przez ustawy Kalturkampfu. Ale szkoła holenderska, blisko granicy niemieckiej, kształciła przez gimnazjum i kursy teologiczne w swoim studium domowym przyszłych misjonarzy. Z biegiem jednak lat, z tych niepozornych początków, wyrastała wielka duchowa rodzina, Zgromadzenie Słowa Bożego. Obok kapłanów-misjonarzy wyrastają dobrze zawodowo wyszkoleni bracia misyjni. Żeńska gałąź dzieli się na siostry misyjne (1889) i siostry klauzurowe od Wieczystej Adoracji (1896). W ostatnich latach życia Janssena Zgromadzenie, które w tym czasie uzyskało papieską aprobatę, może co roku wysyłać około 50 kapłanów i tyleż braci i sióstr do głoszenia Królestwa Bożego (liczba członków trzech zgromadzeń wynosiła ponad 10 000).

W tym niezwykle szybkim rozwoju nie trzeba od razu widzieć palca Bożego. Sukces niekoniecznie jest znakiem od Boga. Może on wynikać z czysto ludzkich powodów. W czasie prześladowania Kościoła (Kulturkampf) wśród katolików niemieckich rosła pewność siebie i poczucie solidarności. Tradycyjny szacunek dla kapłanów został na prowincji w czasach prześladowań jeszcze bardziej pogłębiony. Wielodzietność w katolickich rodzinach wieśniaczych i robotniczych była nie do wyczerpania; wielu młodych katolików widziało w powołaniu zakonnym nie tylko zapewnienie sobie egzystencji, ale także określony prestiż społeczny. To, co rozpoczęło się przed czterdziestu czy pięćdziesiąciu laty we Francji, dokonywało się w niemieckim katolicyzmie w latach 1870-1900. Trzeba nadto pamiętać: Rzesza dopiero w tym czasie zdobywa kolonie zagraniczne; o wiele głębsza i pochodząca z innych źródeł katolicka idea misyjna otrzymuje po prostu błogosławieństwo od ducha czasu.

Rozsądek Założyciela

Co jeszcze bardziej eliminuje „cudowny" rozwój Zgromadzenia i sprowadza go do ludzkich wymiarów, to dobre planowanie i rozsądek Założyciela. Wprawdzie opuściło go dwóch spośród trzech pierwszych współpracowników: jednak w tej nieco zaimprowizowanej szkole średniej i studium teologicznym, mieszczących się w dawnej karczmie na brzegu Mozy w wiosce Steyl, nie było kolejnych kryzysów. Pertraktacje z władzami kościelnymi, diecezjalnymi i rzymskimi, o których zgodę Ojciec Janssen troskliwie zabiegał, przebiegały w zasadzie bez komplikacji; małe niesnaski, jakie miały miejsce w diecezji wrocławskiej - gdzie bp Kopp obawiał się, że ofiary pieniężne na rzecz Zgromadzenia mogą się niekorzystnie odbić na ofiarności jego diecezjan - mieściły się w ramach zwykłej rywalizacji między klerem diecezjalnym i zakonnym. Nieporozumienia i złośliwe napaści nie opóźniały rozwoju Zgromadzenia. Założyciel potrafił właściwie wykorzystać wszystkie talenty, jakimi obdarzyła go natura. Jego cierpliwość rozciąga się od szukania poparcia dla Zgromadzenia - w zasadzie bardzo formalnego u Ojca Świętego - poprzez umiejętne przejęcie obcych inicjatyw, w wyborze odpowiednich współpracowników, w finansowym zabezpieczeniu swoich projektów aż do uporczywej walki o przyznanie własnego terytorium misyjnego w Chinach.

Wszystkie jego działania wynikały bardziej z mądrej kalkulacji niż z ewangelicznej pasji. Dlatego możnaby zadać pytanie: czy ten człowiek nie umiałby ze swoją wytrwałością i uporem w pokonywaniu przeciwności zrobić kariery gdzie indziej? Nie można o tym wątpić. Arnold Janssen - „het Pruisische Manneke", pruski człowieczek, jak go nazywali mieszkańcy Steyl - zrobiłby na pewno karierę bogatego kupca albo odnoszącego sukcesy przemysłowca, gdyby nie była mu przeznaczona droga kapłaństwa. Ale nie jest to żaden argument przeciw niemu, ani dowód na to, że nie miał innych możliwości rozwoju syvoich zdolności, jak tylko na tym wąskim odcinku. Szanse takie były, ale czyhały także nań o wiele większe pokusy przeciętności, jak: użalanie się nad sobą z powodu Kulturkampfu, popadniecie w rutynę zawodu nauczycielskiego, pogoń za lepszą posadą, kult małych form literackich, skostnienie w formach pobożnościowych swego czasu.

Dokształcanie ludzi świeckich i etnologia

Arnold Janssen uniknął wspomnianych niebezpieczeństw. Widzimy to w drobnych, codziennych sprawach, przede wszystkim w jego stosunku do ludzi. Wprawdzie napotykamy też wyraźne granice - np. z księgarni musiano wycofać książkę Janssena o małżeństwie z powodu jego rygorystycznych poglądów - ale są to granice otwarte w stronę człowieka. Mimo całej surowości w pojmowaniu posłuszeństwa, nie wywierał na nikogo, kto był podporządkowany jego duchowemu kierownictwu, przymusu. Zmuszony do przeciwstawienia się komuś, nie obrażał ludzi, brał pod uwagę różnorodność ich duchowych predyspozycji i dawał im szanse w swoim Zgromadzeniu. Bardzo yvcześnie zrozumiał potrzebę religijnego dokształcania ludzi świeckich i dla tych celów stawiał Dom w Steyl do ich dyspozycji. Od Ojca Arnolda, a nie dopiero od jego następców, wyszła idea popierania etnologii. Przyniosło to Zgromadzeniu pionierskie sukce-

sy w zakresie międzynarodowych badań, wychodzące daleko poza ramy katolicyzmu. To on zachęci! Wilhelma Schmidta, znanego lingwistę, do studiowania w Berlinie etnologii i do wydawania naukowego czasopisma etnologicznego „Anthropos". Jego szerokim horyzontom zawdzięczamy, że oddai do dyspozycji bardzo zdolnego pedagoga Heinricha Giese, by ten poświęcił się kształceniu nauczycieli w Austrii. Taka szerokość poglądów nie jest u ludzi pobożnych rzeczą zwykłą. W młodym Zgromadzeniu Misyjnym stworzył podwaliny, które w pracy misyjnej są nadal solidne i aktualne.

Jego kontakt}' z władzami świeckimi, np. z niemieckim zarządem kolonialnym albo belgijskim królem Leopoldem II, odznaczały się wielką kulturą i taktem. Przy całej żarliwości, aby wynegocjować dla misji możliwie jak najlepsze warunki, nigdy nie tracił z oczu niezależności swoich misjonarzy, i nie popadł też w scrwilizm wobec władzy.

Tajemnica osobowości Janssena

Musimy teraz postawić ostatnie i najważniejsze pytanie: ku czemu zdążała jego strategia i z jakich źródeł czerpała silę i moc? Tu wkraczamy w tajemnicę jego osobowości, która wymyka się naszej dociekliwości. Albo jest ona tak związana z jego dziełem, że nie starczyło mu czasu, aby o sobie coś powiedzieć, albo też ukryła się w formach pobożności tamtych czasów. Możemy tylko się domyślać, co sprawiło, że ten trzydziestopięcioletni nauczyciel wyrzekł się ustabilizowanej egzystencji, aby jak „szalony" - za którego go uważano - za swoje zaoszczędzone grosze założyć nędzną szkołę prywatną. Samemu stanąć w cieniu, innych przygotowywać, by stali się głosicielami „Dobrej Nowiny" o wcieleniu i zbawieniu przez Jezusa Chrystusa? Tak na zewnątrz można określić jego odwagę. Ukrywa się w tym wiara, która mimo upływu czasu pozwala dojrzeć źródło, człowieka, który choć posiada talent organizacyjny i jest przedsiębiorczy, nie staje się rachmistrzem, ale pozostaje dzieckiem, ufny w Bożą obietnicę daną człowiekowi i w Jego troskę o niego. Teologia odwiecznych prawd wiary: stworzenie przez Boga, objawienie się w Jezusie Chrystusie, powrót całego stworzenia do Niego. Tak, prosta teologia, ale wiara niezgłębiona. Prawdy katechizmowe, które nie pozostały abstrakcja, ale zakorzeniły się w przeciętne) osobowości Arnolda Janssena Z tego właśnie drobnego człowieka - przez jego czasy i związanie się ze środowiskiem - przebija coś, co wskazuje na o wiele większą'tajemnicę, aniżeli tajemnica przeciętnego życia. Co było jednak jego wkładem? To cierpliwość, otwarta na to, co wielkie.
(Za: *Arnold Janssen gestem und heute,* Romae 1989, 42-27)

Tłumaczył Bronisław Skóra SVD

Anton Hilger SVD

PIĘĆDZIESIĘCIOLECIE ZGROMADZENIA SŁOWA BOŻEGO

Ojciec Anton Hilger urodził się 1879 r. w Beckum w diec. Munster, w 1893 r. wstąpił do Steyl, a w 1897 r. rozpoczął studia w St. Gabriel. Święcenia kapłańskie otrzymał w 1903 r. Po ukończeniu studiów w Rzymie Założyciel mianował go swym prywatnym sekretarzem (1905-1907). W latach 1910-1916 wykładał filozofię w St. Gabriel, a w latach 1930-1936 w St. Augustin. „Dowcipny, pełen humoru, dobry narrator, prostolinijny i stanowczy, usłużny, wzorowy kapłan" (Bomemann). Od 1936 r. pracował na rzecz uniwersytetu Fu-Jen w Pekinie i planowanej katolickiej encyklopedii chińskiej. Zmarł w 1949 r. w St. Augustin.

Jubileuszowa uroczystość założenia Zgromadzenia skłania do refleksji o Założycielu; wielkość bowiem naszego Zgromadzenia zawdzięczamy jemu, którego Bóg w swej łaskawości wybrał do współpracy ze Sobą. Jego charakterystyczna osobowość nadała Zgromadzeniu właściwą nam specyfikę i formę. Kiedy dziecko jedynie w zarysie przypomina ojca, a w młodzieńczych latach podobieństwo to prawie zanika, to wiek dojrzały naszego Zgromadzenia najbardziej uwydatni cechy Założyciela. We wszystkich fazach wiekowych Zgromadzenia jego ciuch drzemie, walczy i rozwija się.

Przedmioty, których wielcy Zmarli codziennie używali, są troskliwie i z wielką czcią przechowywane; wspomina się chętnie ich właścicieli i ubolewa nad tym, ze nie mogą nam o nich nic powiedzieć. A ileż ciekawostek mogłyby nam wyjawić! Przez dwa i pół roku współpracowałem z naszym czcigodnym Ojcem Założycielem; i chociaż me roszczę sobie z tego powodu pretensji do czci, to przynajmniej chciałbym mieć prawo, aby o nim opowiedzieć.

Jest to z mej strony wielka odwaga, że właśnie ja spośród wielu mogących tu stanąć, zamierzam na naszej podniosłej uroczystości jubileuszowej przedstawić swe wspomnienia. Czynię to po pierwsze dlatego, ponieważ prosił mnie o to ojciec Rektor; po drugie zaś, ponieważ lata, w których byłem sekretarzem naszego czcigodnego Założyciela, były najciekawsze w jego życiu - jak mnie sam o tym bardzo często zapewniał; a po trzecie, chciałbym w ten sposób zadośćuczynić niejednemu z mej strony uchybieniu, które zdarzyło mi się wobec tego Męża Bożego popełnić.

Nie chcę być ani krytykującym historykiem, ani histerycznym krytykiem. Będę mówił jak wiernie oddany syn o swym wielce czcigodnym Ojcu i, aby to od razu powiedzieć, ze świadomą dumą, iz nasz czcigodny Założyciel może być zaliczony do wielkich świętych założycieli zakonów. Im więcej upływa czasu, tym bardziej widzę go wśród wielkich świętych. Jestem pewien, że będzie on jedną z najjaśniejszych gwiazd wśród świętych Kościoła. Mozę te słowa wydadzą się komuś przesadne, ale jestem o tym całkowicie przekonany. Jeżeli świętość polega na świadomym i nieustannym zjednoczeniu z Bogiem, to nie wiem, czy któryś ze świętych czynił to lepiej od niego.

1. Duchowość naszego Założyciela

Jeżeli postawimy sobie pytanie, czym nasz czcigodny Założyciel najbardziej zasłużył na szacunek, to muszę niezwłocznie odpowiedzieć: posiadał on na wskroś nadprzyrodzony sposób myślenia przez całe życie. Wszystko o czym myślał, mówił i czynił, służyło zdecydowanie nadprzyrodzonemu dobru: własnemu i bliźnich. W każdym swoim zadaniu akcentował chwalę i błogosławieństwo Boże. Nawet w sprawach finansowych me dal się zwieść ponętnymi korzyściami, lecz kierował się pragnieniem pozyskania błogosławieństwa Bożego dla swego dzieła. W czasie jednej z podróży, w której mu towarzyszyłem, zaproponowałem aby wstąpić do pewnego bardzo zamożnego katolika i poprosić o ofiarę na misje. Ojciec Arnold tak mniej więcej

odpowiedział: „Zostawmy to. Nie warto prosić bogatych o jałmużnę, bo to, co om ofiarują, jest błotem w porównaniu z ich majątkiem, i dlatego brak tym darom błogosławieństwa. Szukajmy jałmużny raczej u mniej zamożnych; oni to bardziej odczuwają i dlatego ponoszą prawdziwe ofiary. Na ich wdowim groszu spoczywa błogosławieństwo Boże, a tego potrzebuje dzieło misyjne". Oto jak głęboko miał zakorzeniony zmysł nadprzyrodzoności! On, który dla swego wielkiego dzieła potrzebował setek tysięcy, ze względu na błogosławieństwo Boże zabiegał jedynie o przysłowiowy „wdowi grosz".

Dojrzałym owocem jego nadprzyrodzonego nastawienia była głęboka pobożność i stałe zjednoczenie z Bogiem. Przy licznych zajęciach, nie mógł pozwolić sobie na ściśle określone godziny modlitw, ale całe jego życie i praca były modlitwą. Stale był zanurzony w modlitewnej atmosferze. Nie jest to jednak czczy frazes, ale silne, stałe i głębokie przekonanie, do którego doszedłem w okresie długiego przebywania z nim, a tego nie da się zapomnieć. - Gdy w trakcie dyktowania korespondencji urwał mu się tok myśli, zauważyłem, że jego wargi poruszają się: modlił się, aby znaleźć odpowiednie słowo. Często prosił mnie, abym razem z nim uklęknął i odmówił *Veni Sancte Spiritus* w celu właściwego zredagowania listu. Stwierdziłem, że po odmówieniu modlitwy umysł jego rozjaśnia! się, a styl nabierał lekkości. „Widzi ojciec - mówił wtedy - Duch Święty pomógł". - Nigdy me zapomnę wrażenia w przeddzień uroczystości Trójcy Przenajświętszej, jego ulubionego święta. Poszliśmy do bazyliki św. Piotra w Rzymie i czując na sobie cały jej ogrom, odmówiliśmy wspólnie pierwsze nieszpory świąteczne. Tego nie da się ująć w słowa, z jakim przejęciem przewodniczył odmawianiu psalmów, a szczególnie podniosłych antyfon. Rozkoszował się wspaniałością tej cudownej Tajemnicy, a jego bystre i jasne oczy płonęły radością i szczęściem; gdy zamknął brewiarz, powiedział: „Jakiż urok zawiera się w tej uroczystości". Potem zatopił się w rozważaniu tej świętej Tajemnicy wiary, w imię której poganie przyjmują chrzest. Tam pod wznoszącym się ku górze obeliskiem, który jak potężne ramię podtrzymuje wysoko nad całym światem krzyż, widnieją nieśmiertelne słowa: *„Ecce crucem Domini! Fugite Partes aduersae! Yicit Leo de tri-ku Juda!* Oto krzyż Chrystusa! Pierzchajcie złe moce! Zwyciężył Lew z pokolenia Judy! Chrystus Wodzem, Chrystus Panem, Chrystus Władcą"! Tam u grobu księcia Apostołów klęczał skromnie on, Ojciec Arnold, który jak żaden inny człowiek naszych czasów przyczyni) się do tego, ze krzyż Chrystusowy obnoszony jest triumfalnie pośród narodów, i niezauważony przez przechodzących, odmawiał oficjum o Trójcy Przenajświętszej. Ilez łask mógł wyprosić wtedy dla nawrócenia pogan?

2. Świadomy swego powołania

Arnold Janssen był tak zjednoczony z Bogiem, że szukał tylko chwały Bożej i wypełnienia Jego najświętszej woli. Niczego się nie podejmował, zanim me nabrał przekonania, ze wypełnia przez to wolę Bozą. To stamtąd bierze swój początek jego wielka stanowczość, która pozwoliła mu trwać w raz powziętych postanowieniach. Kiedy w głębokiej modlitwie decyzje dojrzały do wykonania i zostały ogłoszone, jego najbliżsi doradcy byli nieraz zaskoczeni i kiwali głowami. Ale na mc się to zdało. Wszystkie uwagi były daremne. Rzadko udawało się odpowiednio silnymi argumentami wpłynąć na zmianę jego decyzji. Jak sam często podkreślał, decyzje podejmował w czasie modlitwy. Szczególnie jednak był przekonany o ich słuszności, gdy powziął je bezpośrednio po Mszy św. Mówił mi często, że takie pomysły okazywały się zawsze słuszne. Przyznaję chętnie, że dla niego, który Mszę św. odprawiał z nadzwyczajnym skupieniem, a dziękczynienie po mej traktował tak poważnie, chwile te były właśnie najbardziej owocne. Decyzji wówczas podjętych nie zmieniał, a ogólny sprzeciw raczej go w nich utwierdzał. Nieraz mi mówił: „Właśnie, gdy wbrew wszelkim poglądom przeprowadziłem swoją ideę, przekonywałem się, że miałem rację". Mamy tu wyraźnie do czynienia z upartością świętych. Jego sukcesy przyczyniły się do tego, że czuł się osobą coraz bardziej kompetentną. Uświadamiał sobie coraz bardziej, ze jest mężem opatrznościowym, i z całą skromnością stawał w szeregach wielkich założycieli zakonów. Nie miał pretensji do ich świętości. Ale szedł drogą ich powołania i gorliwie ich naśladował. Radość sprawiało mu wertowanie życiorysów wielkich założycieli za-

konów. „Niewielu osiągnęło mój wiek - zwykł był mawiać - Franciszek umarł jako młody człowiek. Dominik również się nie zestarzał, dożył tylko 51 lat. Ignacy umarł w 65 roku życia. Alfons Liguori osiągnął wprawdzie wiek 91 lat, ale me pozostał na czele Zgromadzenia; w 66 roku życia musiał przekazać kierownictwo. Józef Kalasanty dożył 92 lat, ale i on został wcześnie odsunięty od kierowania zakonem". Był wyraźnie zadowolony z własnej drogi życiowej.

Był urodzonym władcą i chętnie rządził. Byłby to oczywiście niezdrowy objaw, gdyby nie miał ku temu chęci i potrzeby. A miał ku temu wszelkie predyspozycje. Cechą powołania jest oprócz zdolności także posiadanie chęci i zamiłowania. Jak może przełożony energicznie i skutecznie działać, jeżeli me lubi swojej funkcji? Z jego skłonności do rządzenia wynika także, dlaczego w czasie swoich konferencji tak często podkreślał motyw wierności regułom: Kto nie przestrzega wiernie naszych Konstytucji, me może być przełożonym. Nie zamierzał tym samym pochwalać kanerowiczostwa, lecz zwracał uwagę tym, którzy mieli skłonności do rządzenia, na obowiązkowość, by przez sumienne przestrzeganie reguł, nabyli również kwalifikacji do pełnienie wyższych stanowisk.

3. Omnis sanctus pertinax (Każdy święty jest uparty)

Oczywiste jest to, że jako człowiek, który prawie we wszystkich działaniach był pionierem, musiał być niezwykle odporny psychicznie, kiedy zwracano mu uwagę na własne błędy. Przy jego cnocie, nie było to zbyt trudne. Niekiedy jednak było zabawne obserwować go, jak powoli i stanowczo reagował. Pewnego razu był na audiencji u papieża Piusa X. Celem audiencji było poinformowanie Papieża o zastrzeżeniach wobec nowych Konstytucji. Założyciel zredagował odpowiedź na piśmie w języku łacińskim i chciał ją odczytać w czasie audiencji. Miałem tę odpowiedź przepisać na maszynie. Na pytanie, czy to jest dobra łacina - jemu się bowiem wydawało, że jest całkiem dobra i zrozumiała - czułem się zobowiązany powiedzieć, ze Papież na pewno wszystko zrozumie oprócz jednego wyrażenia, które dla Włocha me będzie jasne, ponieważ jest dosłownym tłumaczeniem idiomu używanego tylko w języku niemieckim. Ojciec Janssen poczuł się widocznie urażony i rzekł: „Ale gdzież tam, Papież to zrozumie". Omówiwszy ze mną różne inne sprawy, zapytał wprost: „Jakby ojciec wyraził tę myśl w języku łacińskim"? Podpowiedziałem mu moim zdaniem właściwy wyraz, który jednak odrzucił. Powiedział: „Wcale tak nie jest. Moje wyrażenie Jego Świątobliwość równie dobrze zrozumie". Pojechaliśmy do Watykanu. W drodze zapytał mnie ponownie: „Czy rzeczywiście Ojciec myśli, że Papież tego wyrażenia nie zrozumie"? Potwierdziłem stanowczo, że na pewno nie zrozumie. Po chwili powiedział: „Ja także uczyłem się łaciny i odkąd jako uczeń 3 klasy nauczyłem się na pamięć mowy Cycerona, znam dosyć dobrze zwroty łacińskie, o czym swego czasu zapewnił mnie mój wychowawca klasy ku swemu wielkiemu zadowoleniu. Zostawię to określenie". W przedpokoju Ojca Świętego musieliśmy czekać około 40 minut. Siedziałem dosyć daleko od niego. Nagle usłyszałem dobrze znane „Pst"!, któremu towarzyszył energiczny ruch wskazującego palca. Podbiegłem do niego. „Niech mi Ojciec jeszcze raz podpowie to wyrażenie, którego by Ojciec użył". Zapisał go w swoim skrypcie, i mówił: „Na wszelki wypadek zanotuję go sobie, choć wątpię, czy go użyję". Nie powiedział mi też nigdy, czy w czasie audiencji je użył, gdyż ja wszedłem dopiero na koniec. Oczywiście było mu ciężko przyznać mnie, młokosowi, rację.

Chciałbym jeszcze chwilę pozostać przy interesującej nas charakterystyce. W czasie pobytu w St. Gabriel - rektorem był wtedy ojciec Wegener - Założyciel zajęty był sprawą dopuszczenia do liceum naszych absolwentów studiów humanistycznych. W papierach jednego z kandydatów znalazł uwagę o nieprawidłowości, która wymagała przed święceniami kapłańskimi dyspensy Stolicy Apostolskiej. Ojciec Arnold był jednak przeciwny takim dyspensom i absolutnie nie chciał przyjmować takich aspirantów. Posłał mnie więc do rektora Wegenera, aby podpisał decyzję o niedopuszczeniu kandydata. Ojciec Wegener odpowiedział zupełnie spokojnie: „O tym zastrzeżeniu wiedzieliśmy, gdyśmy go parę lat temu przyjmowali i nie robiliśmy mu żadnych dotąd trudności. Teraz nie możemy odmówić mu przyjęcia do St. Gabriel". Z taką odpowiedzią wróciłem do Przełożonego Gene-

ralnego. Spojrzał na mmc ze zdziwieniem i rzek! niechętnie: „Znowu te okropne skrupuły ojca Wegenera. Proszę mu powiedzieć, ze muszę mieć jego podpis". Kiedy powtórzyłem to ojcu Wegenerowi, ten spojrzał na mnie zdumiony i powiedział: „Jak może Przełożony Generalny żądać ode mnie podpisu, jeśli nie jest to zgodne z moim sumieniem. Postąpiłbym nieuczciwie, gdybym dał mój podpis. Nie mogę tego uczynić". Rozbawiony tą sprawą szybko wróciłem do Ojca Janssena. Ten wziął ode mnie pismo i zrobił przy tym uwagę „Ach, te okropne skrupuły. Sam pójdę do niego" - I poszedł. Trwało długo nim wrócił, potem całkiem zrezygnowany powiedział: „Nie podpisze! To jest dobry człowiek, ale skrupulant. Chcąc nie chcąc musimy tego kandydata przyjąć"! Dzisiaj ojciec ten pracuje, o ile się orientuję, bardzo owocnie na misjach.

Nasz Założyciel używał wszelkich środków, aby myślących inaczej pozyskać dla siebie; nawet osoby poważne, które usiłowały wyprowadzić go w pole, starał się wszelkimi sposobami przekonać, aż w końcu przyznawały mu rację. Dom St. Rupert, który sprawił mu wiele kłopotów, był bardzo drogi jego sercu. Na rozległej wschodniej skarpie chciał założyć plantację drzew owocowych. Nadleśniczy z Bischofshofen uważał, ze teren ten absolutnie nic nadaje się na sad. Faktycznie, w okolicy nigdzie nie było sadów. Ojciec Janssen nie chciał zrezygnować ze swego planu i w czasie odwiedzin w St. Rupert poprosił nadleśniczego o spotkanie. Długo przekonywał go o swojej słuszności, az wreszcie tamten przyznał, ze być mozę uda się na wschodniej skarpie plantacja drzew owocowych.

Innych podobnych przykładów nie chciałbym tu przytaczać, ponieważ zainteresowane osoby jeszcze żyją.

Czasami czynił wszystko, by zrealizować swoje idee. Przeważnie to się udawało, dzięki jego wielkiemu autorytetowi. Jego pewność siebie i niezależność sprawiały, ze czuł się nieskrępowany wobec otoczenia. Mało zasięgał rad u innych. Przejawiało się to w sposób dość zabawny. Gdy na przykład w czasie podróży - czekając dłużej na połączenie - wszedł na dworcu do poczekalni dla kobiet, aby tam spokojnie dyktować mi listy, prosił bezceremonialnie wchodzące panie,

aby sobie gdzie indziej poszukały miejsca, ponieważ chce mieć spokój. Jego postawa wzbudzała tak wielki respekt, że nie spotykał żadnego sprzeciwu.

W pociągu bezceremonialnie rozkładał zabrany na drogę prowiant. Jadł z wielkim apetytem, nie krępując się podróżnych zapełniających przedział, i popijał mlekiem prosto z butelki. Wkładał swoją używaną, czerwoną chusteczkę do nosa za koloratkę, ukrywając skrzętnie w fałdach ślady jej używania...! Szczególnie nie znosił, kiedy coś zwisało i kołysało się. Pewnego razu, znad swego brewiarza, zawołał bardzo głośno do siedzącego naprzeciw pasażera: „To się kołysze! Niech pan to usunie"! - wskazując brewiarzem do góry. Podróżny nie zrozumiał, o co chodzi. Sekretarz zauważył jednak, że tasiemka parasola tego pana zwisała przez siatkę, i się kołysała. O to chodziło! To wyjaśnienie pomogło pechowemu podróżnemu. Podskoczył do góry i usunął przeszkadzający przedmiot. Uprzejmym „dziękuję" i uniesieniem piuski Założyciel skwitował tę „usługę".

Kiedyś w Rzymie Przełożony Generalny zaproponował mi przejażdżkę na Pincio, gdzie rzymska elita przechadza się po plantach pagórka, napawając się widokiem Wiecznego Miasta. Ojciec Janssen wyjął brewiarz i prosił mnie, abym wspólnie z nim odmówił oficjum. Nie zwracając uwagi na licznych spacerowiczów, odmawialiśmy razem nieszpory i kompletę. Co chwila z pewnym zażenowaniem zerkałem na przechodniów, którzy patrzyli na nas ze zdziwieniem. Ale epilog miał dopiero nastąpić. Ku memu przerażeniu nasz świątobliwy Założyciel skierował się ku jednej z wielu marmurowych ławek, na których często siadali spacerowicze, ukląkł na niej, ręce oparł o poręcz i kiwnął na mnie, abym ukląkł obok niego i odmówił z nim *Sacrosanctae"*. Było to ponad moje siły. Daję słowo honoru, jeżeli dotąd nigdy w moim życiu się nie zarumieniłem, to stało się to w tym momencie. Powstałem z ławki czerwony jak tulipan, a przechodzący

* Chodzi o pierwsze słowa modlitwy do Trójcy Świętej, jaką odmawiało się po zakończeniu brewiarza celem zadośćuczynienia za niedociągnięcia popełnione w czasie modlitwy brewiarzowej. Modlitwa ta wprowadzona została przez Leona X (1513-1521) i przetrwała do czasów Soboru Watykańskiego II. Informację tę uzyskałem od ojca Labuddy - J. T.

śmiejąc się, pokazywali ukradkiem na nas. Założyciel wcale nie dostrzegł tej komicznej sytuacji. Powiedział spokojnie: „Tu w Rzymie każde miejsce jest święte i stosowne do modlitwy".

4. Cnota miłości bliźniego

Czy powinienem jeszcze mówić o miłości Ojca Janssena? Jest zupełnie oczywiste, że wypełniając jak najideałniej przykazanie miłości Boga, musiał też posiąść cnotę miłości bliźniego. Ile trudów kosztowało go zdobycie cnoty miłości bliźniego, mogą powiedzieć tylko ci, którzy będąc z nim w bliższym kontakcie, mogli obserwować, jak walczył o opanowanie szorstkości i bezwzględności. Jego serdeczna uprzejmość i delikatność wobec każdego, nawet wobec tego, który sprawił mu wielką przykrość, nie była naturalną cechą jego charakteru, lecz cnotą zdobytą. Dlatego jego cnotę miłości bliźniego trzeba uznać za bohaterstwo, która jaśnieć będzie jak wspaniały klejnot w jego niebiańskiej koronie. Jak wiele pracował nad sobą, można wnioskować z następującego przykładu: Pewien współbrat znalazł się na trudnej placówce, przy tym podlegał przełożonemu kościelnemu, który był dlań na wskroś niesympatyczny, tak że czuł się zupełnie opuszczony i bezradny. W tej sytuacji zwrócił się do naszego Założyciela, który go pocieszył i zapewnił, że nie jest opuszczony. On, Janssen, osobiście będzie mu troskliwym ojcem gotowym go wspomagać, ilekroć zwróci się do niego. Po pewnym czasie ów współbrat, który znów doznał różnych przykrości, napisał list do Założyciela, w którym bez ogródek dał upust swoim bolączkom. Przełożonemu Generalnemu nie spodobał się ten list z powodu jego gwałtownego tonu i podyktował mi odpowiedź, która była dość ostra. Jeszcze raz kazał mi przeczytać list i zapytał: „Co Ojciec sądzi o nim sądzi"? Odpowiedziałem: „Ponieważ Ojciec mnie pyta, to na pewno nie weźmie mi za złe, jeżeli przypomnę uprzednią korespondencję, w której Ojciec sam zaofiarował się bezradnemu współbratu jako przyjaciel. W tym natomiast liście wyczuwam zupełny brak ojcowskiej serdeczności". Na to Ojciec Janssen zabrał mi stenogram, podarł go, podziękował uprzejmie za uwagę i powiedział: „Niech mi Ojciec zwraca uwagę, jeżeli zauważy coś niestosownego w moich listach. Tik długo jestem na

kierowniczym stanowisku, ze trudno mi się wczuć w położenie ws półbraci i ocenić skutki jakichś nagan". Po czym podyktował mi nadzwyczaj serdeczny list, w którym wypominał mu jego gwałtow- n0 ść w bardzo delikatny sposób, zachęcił do wytrwania, i zakończył uwagą, w której zapewnił o szczególnym wobec mego zaufaniu.

5. Miłość na co dzień

Założyciel z natury był skłonny do szorstkości i dlatego początkowo bardzo ostry w osądzaniu. Jednak cnota pokonała tę ostrość. Miłość bliźniego traktował bardzo poważnie. Nie znosił kpin. Nawet gdy przekomarzano się delikatnie. Sprzeciwiał się temu zaraz. Nawet dobry ojciec Wegener, który z predylekcją żartował, często otrzymywał naganę za takie postępowanie w obecności innych. Sam często obrywałem szturchańca od Założyciela. Ale dziwne, nie dostrzegał tego, gdy ze mnie żartowano. Nawet gdy będąc przez niego upomniany, twierdziłem, że dopiero co współbracia nabijali się ze mnie, nie przyznawał mi racji. Potem powiedział filuternie: „To jest coś innego. Ojciec może to jeszcze znieść".

Lubił przebywać w towarzystwie i był towarzyski. W czasie rozmów zawsze wprowadzał miłą atmosferę. Można było podziwiać, jaki bywał pomysłowy w wynajdywaniu powodów, aby można było pozwolić na kolokwium przy śniadaniu. Potrafił wtedy miło gawędzić i po kolei wciągać wszystkich do rozmowy, tak że nikomu się nie nudziło. Przy takich okazjach przeciągał śniadanie nieraz do godziny. Pierwszymi słowami przy rannym kolokwium było zwykle: „Myślę, żeście się dobrze wyspali". Niektórych potem pytał: „Jak się spało"? Należał do tych, którzy umieli się serdecznie śmiać; często widziałem, jak śmiał się aż do łez. Bardzo lubi! dobry zart, ale tylko taki, który nie raził nikogo!

Jego miłość do krewnych była głęboka i serdeczna. Często mówił mi o swoicli braciach z wielkim przywiązaniem. Szczególnie budujące były odwiedziny jego bratanka, mającego odbyć służbę wojskową. Poświęcił mu wtedy dwa pełne dni. Osobno z nim jadł, spacerował i okazywał mu pod każdym względem najdelikatniejsze uszano-

wanie. Jak mi później powiedział, zajął się tym młodym człowiekiem dlatego, aby mu wpoić dobre zasady na niełatwy okres służby wojskowej.

Pięknym gestem serdecznego zaangażowania było również jego zainteresowanie się tymi, którzy opuścili Zgromadzenie; niezależnie czy byli członkami SVD, albo zmierzali dopiero do celu. Dowiadywał się o losie każdego z nich i był bardzo zadowolony, że wszyscy, z małymi wyjątkami, obrali właściwą drogę życia.

Jeżeli Ojciec Arnold Janssen tak serdecznie interesował się ekswerbistami, to o ileż bardziej bliskie było mu Zgromadzenie, jego członkowie i wszyscy powierzeni opiece Zgromadzenia! Była to bardzo szczera, nadprzyrodzona i pełna odpowiedzialności miłość do każdego. Nie bez wzruszenia i głębokiego uczucia podziwiano go dla ogromnej troski o współbraci. Widziałem go często, jak w milczeniu błogosławił listy, które wysyłał do współbraci w kłopotliwych sprawach. Zawsze poważnie traktował skierowania do pracy współbrata. Dla każdego chciał jak najlepiej, chciał, aby każdy był szczęśliwy. Nieustannie prosił o światło Ducha Świętego, by każdemu dać to, co mu odpowiada.

6. Zakres jego miłości

Ogromna była jego miłość do dusz czyśćcowych. Jego gorące współczucie dla zmarłych, bezprzykładna troska o ich wybawienie. Znamy wszyscy „Port zbawienia" dotyczący dusz czyśćcowych. Nawet najpilniejsze sprawy nie mogły być przeszkodzą, aby w listopadzie nie zająć się ich rozpowszechnianiem. Podczas konferencji, w listach czy w czasie rozmów, przypominał o duszach czyśćcowych i zachęcał do modlitwy za nie. Miłość ta, która sięgała poza grób, najlepiej świadczy o jego wspaniałomyślności. Miłość zdobyta w twardej walce z samym sobą, kieruje się zawsze rozumem. Dlatego jest wielkoduszna. Nie ogranicza się do wąskiego grona, jak miłość naturalna, kierująca się uczuciem. Miłość Ojca Janssena obejmowała wszystko, co godne jest miłości: sięgała aż po krańce ziemi, do najodleglejszych zakątków dziewiczych lasów, do zakamarków czyść-

ca, czerpiąc swoją siłę z najdalszych niebieskich wyżyn. Nie miał żadnej intymnej przyjaźni, ale mało kto interesował się tak przyjacielem, jak on troszczył się o wszystkich ludzi.

7. Podsumowanie

Nie wspomnę o innych cechach jego charakteru; przemilczę wielką bezinteresowność i osobistą skromność, niezmordowaną gorliwość do pracy, samokrytykę, sposoby odnoszenia się do podwładnych i mówienia o nich, jego stosunek do pewnej instytucji rzymskiej i niektóre inne sprawy. Ale pozwólcie mi na koniec postawić pytanie, które już dawno noszę w sercu, skierowane do naszego przebywające w niebie Założyciela! Kto umiał tak, jak on, tkwić w ludzkiej doczesności, pracować, i być przy tym nieustannie zjednoczony z Bogiem; kto tak jak on umiał swój szorstki charakter, siebie samego, żelazną energią i nieubłaganym przezwyciężaniem zmienić w zrównoważonego, miłego męża Bożego; kto tak jak on, nie zważając na wszelkie ludzkie względy, pragnął pełnić tylko wolę Bożą i podobać się Bogu; kto tak jak on w dniach pomyślności i przeciwności pozostał niewzruszony, i z równą gorliwością całował rękę Boga, która dawała, jak i odbierała, ten będzie też mógł, tak jak on, być pewien wiecznego zbawienia, i cieszyć się z dziecięcą ufnością z zapewnionego szczęścia w niebie. Jak często przedstawiał w rozmowach szczęście w niebie. Z jakim błyskiem w oczach mówił o radościach, jakich tam razem z. nim zażywać będziemy. Bardzo często musiałem w ciągu tych 16 lat, które upłynęły od jego śmierci, wracać do tych rozmów. Umiejmy naśladować go w gorliwości, abyśmy mogli kiedyś uczestniczyć w radościach niebieskich. Oby każdy z nas, gdziekolwiek pracuje, żył tak życiem nadprzyrodzonego, tak szukał woli Bożej jako zasady swego postępowania, aby przez to pomógł Zgromadzeniu w dojściu do pełni wieku i ukazał tym samym pełny obraz naszego czcigodnego Założyciela. A wtedy uzna on nas za swoich wiernych synów, a po śmierci zaprowadzi z dumą do tronu Bożego.

(Za: *„Newa et Vetera", 1960,* s. 205-213).

Tłumaczył Wincenty Podbiel SVD

Anton Hilger SVD

W STULECIE URODZIN ARNOLDA JANSSENA (1937)

Krótki biogram A. Hilgera, zob. poprzedni artykuł Dwanaście lat później, w 1937 r., niżej zamieszczony referat wygłosił w St. Wendel. Przytaczamy go z małymi skrótami.

Nie byłoby mnie tutaj dzisiaj, gdybym nie byt sekretarzem śp. Arnolda Janssena: nie jestem bowiem mówcą! Ograniczę się więc jedynie do takiej formy wypowiedzi, która zezwala na wykazanie luźnych związków przyczynowych.

W procesie związanym z przyszłą beatyfikacją Ojca Arnolda byłem przesłuchiwany pod przysięgą przez 14 godzin - jestem więc przywykły do mówienia prawdy i z pełnym zaufaniem można się przysłuchiwać temu, co zamierzam teraz opowiedzieć. Pod koniec przesłuchania sędzia, franciszkanin, zadał mi pytanie: „Jeszcze jedno, czy modlił się Ojciec kiedykolwiek do Arnolda Janssena"? Na to odpowiedziałem: „Nie przyszło mi to nigdy na myśl. Jedynie teraz, kiedy zostałem tutaj zaproszony jako świadek, modliłem się do Arnolda Janssena, aby mi dopomógł, bym skromnie i zgodnie z prawdą o nim świadczył". Na to sędzia: „Mogę Ojca zapewnić, że Założyciel w pełni Ojca wysłuchał".

Kiedy przed dwudziestoma ośmioma laty dotarła do St. Rupert, gdzie akurat przebywałem, telegraficzna wiadomość o śmierci śp. Arnolda, ojciec Bucking, ówczesny rektor i późniejszy radca generalny, powiadomił o tym całą zgromadzoną wspólnotę domową, sam bardzo tym poruszony. Niewiele wtedy powiedział. Ale pamiętam dokładnie końcowe słowa jego krótkiego przemówienia, wypowiedziane po wojskowemu zgodnie z jego charakterem: „Oczekuję dzisiaj od was takiego zachowania, które będzie świadczyło o stracie waszego

duchowego Ojca"! I krótki rozkaz: „spocznij"! Nie bardzo to mi wówczas trafiło do przekonania. Nie odczuwałem bowiem tej śmierci jako wielkiej straty, ponieyyaż w oczach Bożych była ona czymś cennym, ale dla nas me stanowiła żadnego nieszczęścia: to co Arnold Janssen miał przekazać swemu Zgromadzeniu, to wiernie przekazał, *i* właśnie jego śmierć w całej pełni to ukazała. - Wkrótce potem rektor Bucking przyszedł do mnie i zapytał: „Co Ojciec o tym sądzi"? Odparłem: *Si autem mortuum fuerit, multum fructum affert.* (Jeżeli ziarno pszeniczne obumrze, wiele przyniesie owocu). Nasz przebywający już w wieczności Założyciel swój wóz - jak sam to chętnie wyrażał - ciągnął wiernie i dobrze go rozpędził; teraz zamiast ciągnąć go dalej, może nim z nieba powozić". Tak, moi współbracia! Nasz Założyciel powozi tym wozem dalej i jedzie z nim przez cały świat. Duch jego działa przez nas i teraz zbieramy bogate żniwo tego, co zasiał. Przed jego duchem wszyscy nisko się chylmy, bo nic bardziej nie poleca zarządzeń naszych przełożonych, jak fakt, że są one wydawane w duchu Założyciela.

Kiedy urodził się nasz Arnold, czy przyszło komuś do głowy, że po 100 latach będzie się o nim jeszcze mówiło? Dziś wiemy, ze mówić o nim będziemy do końca świata. *Beatum me dicent omnes generationes, qiiia fecit mihi magna qui potens est, et sanctum nomen eius* [Błogosławionym mnie nazywać będą wszystkie pokolenia, albowiem uczynił mi wielkie rzeczy, który możny jest i święte imię Jego].

W rzeczy samej: Nasz Założyciel musiał wpierw umrzeć, aby zaowocował w nas przeobfity plon, jaki dzisiaj mamy przed naszymi oczami. Dopiero po jego śmierci spadły nam łuski z oczu: jakiegoż to wielkiego świętego mieliśmy w naszym ojcu duchownym! Patrzyliśmy na niego po ludzku jako na człowieka yvśród innych ludzi. Teraz, kiedy jest w chwale, wyłania się ku nam jego osobowość jako promienna wielkość ducha. Nie należy go przerysowywać, jak to uczynił Samberger, ani przedstawiać na klęczmku, w postawie której nigdy me przyjmował; od jednej bije chłodem, od drugiej przesadną cukierkowatością. Obrazom tym brak całkowicie owego prawdziwego ciepła, spokoju i równowagi jego ducha, spojrzenia dziecka peł-

nego otwartości i życzliwości, które biło z jego czystych oczu, pobudzających do intymnej rozmowy. Zostawmy go w pamięci lepiej takim, jakim był, i oglądajmy jego obraz z pewnego dystansu, a wtedy będzie nam przyświecał pociągająco i pocieszająco. Ojciec Biittgens i brat Lukas byli jedynymi, którzy wiernie przekazali nam obraz naszego Założyciela, a słowa moje zgodne są z ich obrazami. O ile niechętnie za życia znosimy niedoskonałości świętych, o tyle po ich śmierci są one dla nas pociechą i podnoszą na duchu.

1.

Arnolda Janssena mam przed oczami jako self-made-mana w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu. Pracował nad sobą do późnej starości i obrabiał siebie dłutem Bożym z taką zawziętością i wytrwałością, na jaką nie każdego stać. Nie było łatwo tak pracować nad sobą, by z męża, który współczesnym wydawał się oryginałem, który właścicielce czynszowego mieszkania z góry oświadczył: „Nie będę płacił większego komornego i nie wyprowadzę się z mieszkania", który tej samej właścicielce, kiedy chciała w ogrodzie przebudować ganki, bezprawnie tego zakazał, ponieważ byłoby mu niewygodnie chodzić przy odmawianiu brewiarza; który wysoko postawionemu gościowi Domu Misyjnego, na którego cześć uwito wieńce i oflagowano całe Steyl, odmówił butelki piwa, o którą ten poprosił, i którą przyniesiono już pod jego drzwi - z obawy o słabość gościa do trunków; który w osądzie był tak bezwzględny i ostry, ze najlepiej oglądało się go z tyłu - temu, powtarzam, Arnoldowi nie łatwo było przekształcić się z takiego człowieka w męża łagodnego, wyrozumiałego, życzliwego, chętnego do pomocy i pokornego, by napotykając największy sprzeciw nie tracić spokoju; by wobec każdego, także najmłodszego, być bezpośrednim; pociągać swoją ojcowską dobrocią i w głębokiej pokorze i skromności prosić tam, gdzie mógłby rozkazywać; odmowę znosić cicho nawet od tych, którzy byli mu szczególnie winni posłuszeństwo; krótko mówiąc, ks. Janssen zmienił się w człowieka o wielkiej cnocie i dlatego godzien jest być wyniesiony na ołtarze.

„Bóg czyni swoje; ale czego brakuje, to naszego współdziałania". Słowa te pochodzą z głębi jego serca. Do nas należy decyzja; sami odpowiadamy za nasze działania. Konsekwencją tego z całą pewnością prawdziwego przekonania, było to, ze obarczał - właśnie za wybór powołania - samego siebie. Jego zasadą było - a podkreślał to zarówno w swoich przemówieniach, jak i prywatnych rozmowach - że: w sprawie powołania, każdy decyduje sam; kandydat sam musi w obliczu Boga głęboko się zastanowić. Kto chciałby młodemu człowiekowi autorytatywnie powiedzieć: „Jesteś do nas powołany, musisz zostać kapłanem i misjonarzem" - ten działa nieodpowiedzialnie; a kto mówi: „Należysz do naszego Zgromadzenia i nie wolno ci wystąpić" - ten grzeszy i czyni Zgromadzeniu złą przysługę; taki też absolutnie nie rozumie własnego zadania. Oczywiście, można młodemu człowiekowi radzić, wyjaśniać zasady właściwego wyboru stanu i tłumaczyć ich stosowanie, jak też naświetlać *pro i contra* na przedstawione trudności. Jednak ostateczną decyzję, czy młody człowiek obierze stan kapłański czy stan zakonny, trzeba pozostawić jemu samemu. Po drugiej zaś stronie jest jeszcze Zgromadzenie. Może ono kandydatowi odmówić przyjęcia, nie musi bowiem każdego przyjąć. Nikt nie jest *stricte* zobowiązany zostać zakonnikiem, jest to bowiem tylko rada, nie rozkaz. Każdy ma jednak kategoryczny obowiązek powstrzymać się od powołania, do którego nie posiada w wytarczającym stopniu uzdolnień i silnej woli, a i Zgromadzenie ma obowiązek powstrzymać takiego, jeśli uzna, że brak mu potrzebnych kwalifikacji. Mogą być i takie przypadki, gdzie kandydat będzie święcie przekonany, że ma powołanie, a jego przełożeni mający większe doświadczenie, odrzucą jego prośbę o przyjęcie. Będzie to dla kandydata przeszkoda nie do pokonania, ale też i palec Boży, że powinien obrać inną drogę życiową.

Zasady takiego postępowania były dla Założyciela niezwykle - ważne. Wcale nie zależało mu na tym, żeby przyjmować dużo kandydatów, chciał jedynie tych najlepszych. *Multiplicasti gentem, sed non laetitiam* [Powiększyłeś zastępy, ale nie radość], powtarzał często. Dlaczego spoglądał przy tym akurat na mnie, tego nie rozumiem. Powołania, które wydawały mu się niepewne, starał się zdecydowanie

skierować na inną drogę. Mam jeszcze żywo w pamięci, co Ojciec Arnold powiedział kursantom będącym przed wiecznymi ślubami w czasie rekolekcji przed trzydziestu pięciu laty, do których i ja miałem szczęście należeć. Były to słowa poważne i zdumniewające. Zadał sobie dużo trudu, aby nas zachęcić do przejścia do stanu księży diecezjalnych, chcąc tym samym jakby nas „pozbawić powołania" - jak to żartobliwie określaliśmy. Rzeczywiście wystąpiło wtedy - jeszcze w czasie trwania rekolekcji - sześciu kolegów kursowych, ludzi, którzy mieli u nas wielkie poważanie, i którzy do dziś pracują wyśmienicie jako proboszczowie czy nauczyciele religii.

Przy jego silnym apelu o samostanowienie, zrozumiałe jest, że nasz Założyciel nie bardzo zabiegał o ludzkie rady. Nasz mąż Boży w tych radach często nic dopatrywał się głosu Bożego, dlatego stosunkowo często wyrywało mu się z ust westnienie: *Omnis homo mendax* [Każdy człowiek kłamcą]. Tam natomiast, gdzie musiał oficjalnie zasięgać rady, czynił to sumiennie, choć patrzał wtedy na swoich radców uważnie, czy aby wszystko dobrze do końca przemyśleli. A ponieważ sam we wszystkim w bezustannej modlitwie radził się Boga, niełatwo było odwieść go od raz powziętej decyzji. To uparte - można powiedzieć - obstawanie przy swoich postanowieniach, nieraz wbrew opiniom wszystkich radców, nie miało nic wspólnego z pyszną samowystarczalnością człowieka, który uważa słuchanie drugich za ujmę. Było to raczej zawierzanie się Bogu, od którego - tak wierzył - otrzymał w gorącej modlitwie światło i siłę; uważał za niewierność wobec Boga, lekkomyślnie zaniechać postanowień, które dojrzewały w modlitwie. Takie stanowisko może oczywiście przyjmować jedynie ten, kto podobnie jak nasz Ojciec Arnold, zastanawia się na serio w modlitwie i niczego innego nie szuka, jak tylko woli Bożej, i dla którego - przy takim wysiłku przed obliczem Boga - rozstrząsanie spraw z ludźmi traci na znaczeniu. Nie można więc wziąć za złe naszemu Założycielowi zastanawiającemu się w modlitwach, ze - jak sam często powtarzał - nawet wtedy, kiedy wszyscy w jakichś sprawach byli przeciw memu, to ostatecznie, obstając niezachwianie przy własnej decyzji, słuszność była po jego stronie. Znam jednak parę przypadków, w których jego decyzja była niewłaś-

ciwa; ponieważ jednak jego wielkie zaufanie do Boga absolutnie na tym nie ucierpiało, przypadki te były dla niego bez znaczenia, po prostu dla niego mc istniały. Nie lubił jednak, by mu o nich przypominano. Gdy pewnego razu, dowodząc mi o swojej nieomylności w podejmowaniu decyzji, wymamrotałem pod nosem kilka nazwisk, które musiały mu się natychmiast kojarzyć z jego błędną decyzją, kazał mi jeszcze raz powtórzyć moje mamrotanie i poirytowany powiedział: „Ojciec nie jest moim radcą generalnym". Ja zaś wcale nie miałem zamiaru doradzić mu cokolwiek, tylko głośno myślałem.

To, co jest wielkie u naszego Ojca Arnolda, to jego całkowite oddanie się Bogu i myślenie po Bożemu. Choć jako młody człowiek mogłem być w moich ocenach małostkowy, a w pewnych przypadkach poirytowany i niejednego nie pochwalałem, to jednak nigdy nie wątpiłem, że zdawał on sobie jasno sprawę z tego, że stoi przed Bogiem i że pragnie działać tylko zgodnie z Jego wolą.

Dzięki temu jego obraz w mojej pamięci wywołuje uczucie najwyższego szacunku. Obojętnie czym się zajmował (a lubił szczególnie stajnię, oborę i chlew), to czuło się wyraźnie jego łączność z Bogiem. Jego najpiękniejszym i najwymowniejszym wyrazem bezustannego zatopienia się w modlitwie jest wprowadzenie modlitw kwadransowych. Atmosfera modlitwy była mu nieustanną pomocą i w trudnych chwilach zawsze korzystał z tego cudownego środka. Arnold był przeświadczony, że Bóg należy całkowicie i niepodzielnie wraz z nieskończoną swoją dobrocią i wszechmocą do każdego, i że dlatego na niego patrzy bardzo uważnie, na jego potrzeby i kłopoty, tak jak by był jedynym stworzeniem Pana; stąd w odpowiedzi na to stałe spoglądanie Pana Boga na Arnolda nie mogła z jego serca płynąć żadna inna odpowiedź, jak pełne miłości oddanie i stała gotowość zwracania się o każdej porze do oczekującego go Boga. Żadna ziemska siła nie może konkurować z mocą modlitwy. W modlitwie polecał Boskiej wszechmocy wszystkich tych, z którymi miał do czynienia, i przystępował do walki o słuszność poglądów. Instyktownie czuło się siłę jego działania, i do niej sprowadzał się jego autorytet, którym bezspornie cieszył się w Zgromadzeniu, i to o wiele bardziej niż z okoliczności, ze był naszym Założycielem. Jego duch był tym,

który wszystko ożywiał i ku któremu myśl nasza zawsze się zwraca; to jego ciuch rządzi i niepodzielnie panuje również nad tymi jego synami, którzy nadają ton i odznaczają się niezależnym myśleniem. Na przykład nasz stary ojciec Giese, dyrektor Katolickiego Seminarium Nauczycielskiego w Wiedniu, którym przez trzydzieści lat szczęśliwie kierował i który wielce się zasłuży! dla Zgromadzenia, a także w ważnych sprawach służył radą, chciał, by Kapituła Generalna - która po śmierci Założyciela miała wybrać jego pierwszego następcę - w pewnej dla Arnolda ważnej sprawie uchwaliła zmianę w zaprowadzonej przez niego praktyce. Pojechał pełen oczekiwań i nadziei na obrady do Steyl. I co się stało? Opowiadał, jak poszedł na grób Założyciela i tam się modlił. Wtedy ojciec Arnold stanął jak żywy przed nim i pełen smutku powiedział: „I ty chcesz mi to uczynić"? Tym samym rozwiał się cały jego plan. Nie miał odwagi, by przeciwstawić się temu, co było tak bliskie i drogie dla Założyciela. Tak więc i ten współbrat usłuchał ducha zmarłego Ojca, co w tym przypadku trzeba wysoko ocenić, ponieważ Założyciel wystawił go na wiele trudnych prób. Jest oczywiste, że człowiek czuje się skrępowany ciążącym nad nim autorytetem, a kiedy mistrza zabiera śmierć, odczuwa to jako wyzwolenie. Wtedy zjawia się ludzkie umiłowanie wolności i rozgląda się tylko za tym, czego by się pozbyć; ale w Zgromadzeniu, kierowanym wzorowo przez Zmarłego, jest to krótka pokusa i dość szybko stwierdza się, ze do grobu złożono jedynie ciało Ojca duchownego, jego zaś duch nadal nami rządzi i kieruje; duch ten jest tym elementem, dzięki któremu żyjemy, jak ryba w wodzie. Można z niej wyjść, ale tylko po to, aby marnie zginąć. Wyzbywszy się ducha Założyciela, wyzbylibyśmy się siebie; ten bowiem, kto rezygnuje ze swego ducha, jest bliski śmierci (...) Arnold był prawdziwym uczniem Chrystusa, do którego odnoszą się słowa św. Pawła: *„Mnie zgoła najmniejszemu ze wszystkich świętych, została elana ta łaska: ogłosić poganom jako Dobrą Nowinę niezgłębione bogactwo Chrystusa (...) W Nim mamy śmiały przystęp (do Ojca) z ufnością dzięki wierze w Niego (...) Dlatego zginam kolana moje przed Ojcem, od którego bierze nazwę wszelki ród na niebie i na ziemi, aby według bogactwa swej chwały sprawił w nas przez Ducha swego wzmocnienie siły wewnętrznego człowieka. Niech Chrystus zamieszka przez wiarę*

iv waszych sercach; abyście w miłości wkorzenieni i ugruntowani, tc/raz ze wszystkimi świętymi zdołali ogarnąć duchem, czym jest Szerokość, Długość, Wysokość i Głębokość, i poznać miłość Chrystusa, przewyższającą wszelką wiedzę, abyście zostali napełnieni całą Pełnią Bozą" (Ef 3,8-19).

Tekst ten Ojciec Arnold wypełnił, i w mm zawiera się wszystko, co można powiedzieć o jego świętości.

2.

Niech Chrystus zamieszka przez wiarę w waszych sercach. A jak on wierzył! Jak szeroki i głęboki był fundament jego nadprzyrodzonego życia! Wiara musi wszystko udźwignąć. Przez wiarę w Słowo Boże doznaje się towarzystwa Słowa Bożego. Wiara jest uchwyceniem Bożego Słowa wszystkimi siłami, jest tym, co ogrzewa nas wielkością i wzniosłością objawiającego się Słowa, jest byciem w jedności ze Słowem Bożym, jest pragnieniem wielkiej łaski, by móc nieść Chrystusa ludziom. Tylko ten, kto wychwyci tę istotę wiary, może podobnie jak Arnold poświęcić całe swoje życie rozszerzaniu wiary i służbie Słowu. Zgromadzenie Słowa Bożego mogło być założone tylko przez kogoś, kto żył pełnią wiary. Założyciel mógł za św. Pawłem powiedzieć: „Mnie, zgoła najmniejszemu ze wszystkich świętych, została dana ta łaska: ogłosić poganom jako Dobrą Nowinę niezgłębione bogactwo Chrystusa". Ten wielki skarb wiary dane mu było na wszelki sposób strzec w jego Zgromadzeniu, i z wielką starannością zabiegał, aby nie wślizgnęło się do nas coś, co mogłoby ten nader cenny skarb umniejszyć. Tam, gdzie wyczuł choćby najmniejsze niebezpieczeństwo zagrażające temu skarbowi, niechybnie wkraczał; i me tylko raz pewien współbrat musiał mu na piśmie przesłać wyznanie wiary, jeśli Arnold uznał, ze ten w sprawach wiary, przyjął zbyt liberalne stanowisko. To, co przynosimy poganom, musi być niesfałszowaną i niezamąconą nauką Chrystusa.

Niejeden raz ten mąż wiary powiedział, że niewiele znaczą dla niego cnoty człowieka, jeśli ten nie stoi silnie w wierze; na słabym fundamencie me może stanąć solidny budynek. Jeśli chcemy w lu-

dziach siać dobre obyczaje i prawdziwy pokój, to wpierw wiara musi zapuścić korzenie w sercu. Częstokroć nasz Siewca Arnold patrzył na globus, przygląda! się rozległym kontynentom, na których panowało jeszcze pogaństwo. Były to przecież wyśmienite pola dla naszej działalności, rozlegle przestrzenie, na które należało przynieść to, co mamy najcenniejszego w naszym sercu: boskie ziarna, aby wzeszły. Apostolski wzrok Arnolda zatrzymywał się także na tych częściach globu ziemskiego, gdzie chrześcijaństwo było już posiane, ale ludzie nie dość je pielęgnowali, bliscy byli jego utraty, jak np. w Ameryce Południowej czy na Filipinach. Bardzo zależało mu na tym, by tam pomóc, o ile oczywiście było to do pogodzenia z obowiązkiem niesienia zbawienia poganom. Oprócz nakazu „chrzcząc je" niepokoiły go słowa: „uczcie je zachowywać". Tylko tam, gdzie wiara w sercach jest żywa, życie narodów będzie godne człowieka i miłe Bogu.

3.

Wiara musi wszystko znieść; *jednak nadzieja* musi odważyć się na największe. Słowa św. Pawła: „W Nim mamy śmiały przystęp (do Ojca) dzięki wierze w Niego (...)" były wyrazem postawy Ojca Arnolda przed nowymi zadaniami. Wiedział, że wiara może przenosić góry przeciwności. Dlatego odważnie szedł naprzód. Ci, co go znali, byli głęboko ujęci jego niewzruszoną wiarą i zaufaniem. Z napięciem czytamy o tym w książce s. Sixty „Ein Mensch unter Gottes Meissel". Dla Niego, Sługi Bożego, było oczywiste, ze Bóg go nie opuści, jeśli odważy się podjąć Jego sprawę.

Od chwili, kiedy Arnold poczuł przed Bogiem konieczność budowy, budował, mimo że nie miał nic w kasie; z wielką sumiennością rozeznawał wolę Bożą i przeznaczył na to dużo czasu; nie miał żadnych rozterek duchowych i nigdy nie zawiodło jego karkołomne zawierzenie Bogu. Nie zapomnę, z jaką natarczywością zapewniał mnie 0 tym. Jeśli pracujemy dla Boga, pracujemy razem z Bogiem.

We wszystkich jego pracach i troskach tkwiła myśl o zbawieniu 1 uświęceniu własnej duszy. Tu Sługa Boży kierował się bezustannie ufnością i wiarą. Pewien był dla siebie nieba. Dlatego nie lękał się

śmierci. Zawsze myślał tylko o niebie, które świtało dla mego poza bramę śmierci. „Gdy będziemy kiedyś w niebie" - tak bardzo wiele razy rozpoczynał rozmowę o tym, co nas tam w górze czeka. Najbardziej śmiał się z tego, ze ustanowiona tu na ziemi hierarchia, tam będzie odwrócona, i tak np. stary brat Damian, który sprzątał jego pokój, w niebie obsługiwany będzie przez Arnolda Janssena.

Mimo że nie lękał się śmierci, nie życzył sobie śmierci niespodzianej, w ogóle nie lubił pośpiechu. Uwidoczniło się to wyraźnie, kiedy pewnego razu opowiadał mi o życzeniu najstarszej siostry misyjnej, s. Anny, by umrzeć śmiercią niespodzianą. Powiedział do niej: „Ależ, siostro Anno!" W jego tonie i w słowach przebijała niechęć do nagłej śmierci. Siostra Anna tylko się uśmiechnęła, słysząc ten protest. Następnego dnia znaleziono ją martwą w pokoju.

Nasz sługa Boży nie miał takiej śmierci. Umiał się jednak pogodzić z nagłą śmiercią siostry Anny; czuł się spokojny, ponieważ kierowała nim Opatrzność Boza. Nie zawiódł się na niej. Wiedział, że wszystko służy celom Bożym, które były także jego celami.

4.

To, czego św. Paweł życzył wiernym, stało się w dużej mierze udziałem naszego Arnolda; Bóg udzielił mu według bogactwa swej chwały, aby przez Jego Ducha wzmocnił się człowiek, który mógł więcej uczynić, niż mógł uprosić i sobie wyobrazić (...) Mocą, która tak skutecznie działa w duszy, jest *Duch Święty;* On, słodki Gość naszej duszy, boski Stróż i Protektor naszej świętej wiary, który uczy nas wszystkiego i doprowadza do wszystkiego, co Chrystus głosił, przez którego także miłość rozlana jest szczodrze do naszych serc, może być jedynie zrozumiany przez duszę z głębi serca Go kochającą. Jak długo miłość ta nie płonie w sercu, cześć Ducha Świętego jest czymś obcym, nie przynoszącym owocu. Miłość rozumiana jest jedynie przez miłość (...) Doprawdy: miłość Boga otwarła serce Arnolda szeroko i głęboko, nasyciła swą obfitością, wyostrzyła jego wzrok na sprawy Boże. Jego pełne miłości szukanie sięgnęło samej istoty Trójcy Świętej, Ducha Świętego i głębi samego bożego miłosierdzia.

Pamięć o zmarłych w czyśćcu cierpiących, jego gorliwość, aby przyjść im z pomocą w listopadzie, a także pomysł sporządzenia tzw. Tablicy pamięci [Port zbawienia] o duszach w czyśćcu jest dowodem jego wielkiego serca.

Sługa Boży, podobnie jak św. Franciszek z Asyżu, był otwarty dla całego stworzenia, ludzi, zwierząt i roślin. Wszędzie spotykał Boga, jego mądrość, wszechmoc i piękno, jego pełnych ciepła słów, gdy mówił o Bożych śladach w przyrodzie, nie da się powtórzyć. Czuło się jedynie, że mówi całym sercem; nic mu nic było obojętne, wszystko kierowało go ku Bogu. Był miłośnikiem przyrody, przyjacielem kwiatów i łąk, pól i lasów. W lasach St. Rupert nigdy nie siadł na ziemi, zanim laską nie opukał listowia, by przepłoszyć żmiję, o których tyle słyszał. Bardzo chętnie jedliśmy leśne jagody, które przynosiły nam dzieci mieszkające w okolicy. Był przyjacielem czystych źródeł i szemrzących strumyków, wartkich rzek i szumiącego morza, przyjacielem wyniosłych gór, gwiazd na firmamencie, a także przyjacielem kolei, pędzących wokół kuli ziemskiej. Entuzjazmował się precyzyjnym rozkładem jazdy kolei, wydrukowanym bez błędów drukarskich. Często spotykałem go wertującego rozkłady jazdy naszej ziemskiej pielgrzymki; z zainteresowaniem poświęcał się tej lekturze i wyszukiwał trasy, które były najwłaściwsze do wyjazdów naszych współbraci. Nie znalazłem nikogo, kto by z taką pasją zgłębiał rozkłady jazdy, jak nasz duchowy Ojciec. - Pewnego dnia podziyyiałem z nim panoramę Alp otaczających St. Rupert. „Biedni my ludzie, ileż musimy się natrudzić - mówił - by zdobyć chociaż jeden tylko z tych szczytów, a Bóg lekką ręką, bez najmniejszego wysiłku, stworzył tę nieskończoną przestrzeń i wyznaczył jej stalą drogę. Jednak jednej duszy ludzkiej nadal większą wartość, aniżeli tym przestworzom. Przecież to wszystko stworzył dla nas ludzi". Arnold podziwiał rwącą i pieniącą się Salzach i huczący Fritzbach, nad których brzegiem nie słyszało się własnego głosu z powodu łoskotu spadających ze skal mas wody. I powiedział: „Jak wymowna i jednoznaczna jest ta mowa boskiej mocy i wielkości, wobec której potęgi natury są tylko cieniem". - „Jakąż szeroką gamę przymiotów Jego nie dającej się objąć istoty objawiają one w różnorodności swego stworzenia!" Ale trzeba

było słyszeć samemu głos naszego sługi Bożego, aby zrozumieć jego świętą i Bogiem zachwyconą duszę. Ja doznałem tej nieocenionej łaski, bo mogłem być świadkiem takiego zjednoczenia z Bogiem. \V oczach Arnolda odbijało oblicze Boga, które przeświecało w jego stronę. Vir *sapiens nihil negligit.* (Mąż Boży niczego nie przeoczy). Jego miłość Boga czerpała pokarm ze wszystkiego. Ta miłość uzdalniała go do poznania przewyższającej wszystko miłości Chrystusa (...)

5.

Miłość yyyostrza wzrok na to, co czyni umiłowany, i wszystko zauważa. Wyostrzona zaś uwaga jest, jak wiadomo, podstawowym warunkiem dobrej pamięci; w konsekwencji miłość wyostrza pamięć i wyzwala wdzięczność za otrzymane dary.„Cóż oddam Panu za wszystko, co mi uczynił?". Te słowa sługa Boży wymawiał z głębokim wewnętrznym żarem w czasie sprawowania Mszy św. Byłem tego często świadkiem jako ministrant, a potem jako asystujący przy Mszy św. Jeszcze teraz jestem głęboko poruszony wdzięcznością, która wyraźnie z tych słów przebijała. Wyczuwało się radość z tego, że dzięki liturgii wypowiadał odpowiednie słowa o najświętszej godzinie dnia, wywołując głęboki rezonans w pełnym wdzięczności sercu.

Im większa wdzięczność - to prawdziwe dziecko miłości - tym głębsza i zdrowsza miłość. O swoim bracie, Juniperusie, który nie potrafił dość dziękować Bogu za łaski udzielone jego bratu Arnoldowi, nasz sługa Boży powiedział: „Juniperus posiada dar dziękowania". Ale i on sam go posiadał nic w mniejszym stopniu. Był bowiem świadom tego, że wszystko zawdzięcza Bogu, i dlatego wyraźnie dostrzegał zrządzenia Boże w swoim życiu. Stąd to *pogodne dziecięce usposobienie,* dominujące nad wszystkim. Obca była mu nieufność dziecka, badającego najpierw krytycznie każdy dar rodziców, czy nie obraza jego godności. Wszystko przyjmował z ręki Boga ufnie i z wdzięcznością, i cieszył się, kiedy zauważył wdzięczność u innych, także wtedy, kiedy nie chodziło juz o niego, ale o dobrodziejćw. „To

szlachetny człowiek" - mówił. „Jeśli ktoś za dobrym uczynkiem doszukuje się fałszywej motywacji, to sam niewiele posiada miłości".

Radością było z tym Bożym mężem odwiedzać rzymskie sanktuaria, zwłaszcza Bazylikę św. Piotra. Czuło się wtedy, jak przepełniał go *Boży Majestat,* którym wypełniona była świątynia, i jak w tym Bożym skarbcu czuł się jak w domu. Oddany Bogu, daleki od spraw tego świata, rozkoszował się obcowaniem z Bogiem i Jego świętymi. Pierwsze kroki w domu Bożym zawsze kierował w stronę Najświętszego Sakramentu, potem wędrował do ołtarzy. W Bazylice św. Piotra najpierw do *konfesji św. Piotra,* gdzie Apostoł ten spoczywa, potem do świętych nauczycieli Kościoła i papieży. Wszędzie Założyciel modlił się długo i serdecznie, szczególnie jednak przy tych świętych, którzy mieli jakiś związek z jego niemiecką ojczyzną, jak np. przy św. Leonie III. Papież ten dwukrotnie przekraczał Alpy, by odwiedzić Karola Wielkiego i szukać u niego pomocy przeciw buntownikom w Rzymie. O takich sprawach Arnold umiał wyczerpująco opowiadać. Natomiast dzieła sztuki zgromadzone w Bazylice św. Piotra nie robiły na nim wrażenia. W ogóle do sztuki nie miał właściwego stosunku. Może dlatego, że nie mówiła mu tyle o Bogu, ile czuło jego serce. Obok dziel sztuki przechodził szybko, zwłaszcza kiedy przedstawiały sceny bardziej zmysłowe i swobodne. Zwykł potem mówić: „Niech Ojciec tego nie ogląda, takie rzeczy me należą do kościoła". Za to pilnie przypatrywał się postaciom świętych, i przy okazji potrafił opowiedzieć dużo szczegółów z ich życia. Ze zdziwieniem pytałem: skąd on to wszystko wie? Arnold patrzył na nich)ak ila wzorce, które chciał naśladować: musiał więc ich dobrze znać; to oni pogłębiali jego miłość i jego wdzięczność do Boga; sam zaś był niejako uosobieniem *Te deum.*

6.

Pod kątem miłości Boga patrzył tez na *człowieka,* dlatego wielka była jego miłość bliźniego; obejmowała wszystkich ludzi. Wszystkich chciał przyprowadzić do Boga. Nie umiał pojąć, by człowiek naprawdę kochający Boga swoje starania ograniczył jedynie do stosun-

}<owo małej grupy ludzi.„Trzeba jedno czynić, a drugiego nie zaniedbać" - mówił często. On, który swoją szczególną troskę poświęcał sprawie pogan, me zapominał, jak widzieliśmy,- o pozostałych dzieciach Bożych; interesował się chrześcijanami w ojczyźnie, jak i poza nią- był przekonany, że duszpasterze, którzy uważają, że powinni troszczyć się tylko o własną parafię, a nie potrafią umiłować wielkich zadań Kościoła, również tych w misjach, nie mają prawdziwej miłości Chrystusa... Brakuje im wielkiego chrześcijańskiego serca. Nie mogą istnieć separatyści wewnątrz Królestwa Chrystusowego, zarówno po jednej, jak i po drugiej stronie. Trzeba pomagać klerowi diecezjalnemu - mimo obciążenia własnymi pracami - niosąc mu pomoc duszpasterską przez głoszenie rekolekcji i misji ludowych. Jakże się cieszył, że kler diecezjalny Niemiec okazywał żywe zainteresowanie wielkim dziełem rozkrzewienia wiary (...) Prawdą jest, że były parafie, które nie wydały żadnego misjonarza, a jeśli są wielkie, i nie wydały przynajmniej kilku, to niedługo przestaną dostarczać narybku kapłańskiego; bo jeśli obumrze chęć przekazywania wiary, wtedy parafie zaczną się starzeć, będą tracić dynamizm, staną się leniwe, popadną w stagnację i zobojętnienie (...) Na pewno i tu w ojczyźnie jest dosyć pogan, tak jak było ich dużo za czasów apostołów w Palestynie: rozkaz Chrystusa kierował ich jednak do wszystkich narodów. Chrystus me lubi także w swoim królestwie myślenia ograniczającego się do yyłasnej ojczyzny w swoim królestwie. „Samowystarczalność" jest być może hasłem polityków, którzy boją się, że ich naród musiałby więcej innym dać niż sam otrzymuje; królestwo Chrystusa nie zna takiego lęku, ono może tylko rozdawać z wielkiego skarbca swoich bogactw. „Lepszą rzeczą jest dawać niż brać". Jako dzieci Kościoła szukamy najpierw królestwa Bożego i poszerzania jego granic. Jest to zgodne z duchem nauczania naszego Ojca Arnolda, które nam zostawił [...].

W zabiegach o zbawienie dusz, nie wyczerpała się jeszcze wielka miłość tego wiernego ucznia Chrystusowego. Był wrażliwy na każdą ludzką nędzę. „Któż odczuwa słabość, bym i ja nie czuł się słabym" (2 Kor 1 1,29) mógł powiedzieć także o sobie. Żaden przełożony nie odwiedzał tylu chorych współbraci w naszych domach, co on, będąc

przy tym dla nich pełen ciepła i współczucia. Pamiętam, jak kiedyś pracował do późna w nocy i przyszedł do mojego pokoju - przez wiele nocy cierpiałem na bezsenność i wyjątkowo wtedy zasnąłem - i jak z lampą naftową w ręku (nie mieliśmy jeszcze światła elektrycznego) podszedł do łóżka i zaświecił mi w twarz, przez co mnie zbudził. Uśmiechając się powiedział łagodnie: „Chciałem zobaczyć czy Ojciec śpi". Potwierdziłem. Pożegnał mnie przepraszając, ze mnie zbudził. Chociaż przez jego odwiedziny już nie mogłem zasnąć, to fakt ten mile dziś wspominam.

Nie chciał być dla nikogo ciężarem, zwłaszcza gdy chodziło nawet 0 niewielką pomoc. Mogło to być nawet nieprzyjemne dla jego towarzysza podróży. Siedemdziesięcioletni Janssen nie chciał pozwolić, by mu niesiono walizkę; niejednokrotnie musiałem z nim stoczyć prawdziwe walkę, narażając się na podejrzenie, ze ma miejsce napad. Po takich wydarzeniach spróbowałem go jedynie nakłonić słowami: „Kompromituje mnie Ojciec przed przechodniami i pasażerami, kiedy widzą, ze pozwalam mojemu starszemu towarzyszowi nieść samemu walizkę; to wstyd!". Wtedy godził się i oddawał mi ją.

Na podróż braliśmy zazwyczaj wystarczająco duzo jedzenia; jeżeli jednak me mieliśmy niczego przy sobie, Arnold zadowalał się tabliczką czekolady, którą za 10 fenigów wybierał z automatu; mnie zaś zachęcał do zamówienia sobie obiadu; twierdził, ze czekolada dla mnie nie wystarczy. Jestem jeszcze na to za miody.

Przy lada okazji pragnął okazać swoją serdeczność, co niekiedy stawało się kłopotliwe. Tak np. zachęcał przy stole, aby kosztowano jego diabetycznej diety. Odstępował sporą część swojej porcji i przvmuszał do próbowania. Nie gardził jedzeniem, ale sam nie był smakoszem [...] My zaś musieliśmy się z tymi „mało smacznymi" potrawami zajadać, co też mężnie i w duchu posłuszeństwa czyniliśmy. Tak więc on miał zasługę miłości bliźniego, my zaś umartwienie.

Nie umieliśmy jednak dorównać mu w ofiarności, umartwieniu 1 przezwyciężaniu siebie. Nie narzucał się także ze swoją ascezą. Trzeba go było obserwować z bliska, aby zobaczyć, jak po mistrzowsku potrafił składać ofiary. Jeszcze dzisiaj gniew mnie ogarnia, kiedy przypomnię sobie, że w zimie 1906 r. przyjąłem od niego w St. Rupert, w salzburskich Alpach, wełniany szal, który on, stary przecież człowiek, nosił, by się nie przeziębić. Ofiarował mi go, kiedy ciężko przeziębionego, wysyłał mnie do cieplejszego St. Gabriel. Sam miał tam przybyć osiem dni po mnie. Zdjął po prostu z szyi szal i dał mi go, kiedy wdrapałem się do powózki. Zdaje się, ze później w ogóle nie pamiętał, gdzie go zostawił. Ja zaś milczałem, yyierząc, że brat zrobi mu nowy. Z niebędnych rzeczy potrafił rezygnować bez zastanowienia. Mam żal do siebie, ze dwadzieścia lat później siostry misyjne z Hiltrup wymogły na mnie zrezygnowanie z tego szala - pilnie przeze mnie strzeżonego - a który teraz w swoim domu macierzystym przechowują jako prawdziyyą relikwię. Nie umiałem jednak się powstrzymać, by im nie powiedzieć, ze szal ten był w ostatnim czasie noszony przeze mnie, i to dłużej niż przez Arnolda Janssena, i ze raczej jest on relikwią po mnie.

Arnold był radosnym dawcą: potrafił zrezygnować z każdej własnej wygody, jeśli tylko było to korzystne dla kogoś innego. Serdecznie traktował tych, którzy mu w czymś usługiwali, np. brata-fryzjera, którzy przychodził, aby go strzyc; opiekuna pokoju, który mu sprzątał; kierowników warsztatów, przychodzących uzgodnić jakieś sprawy. Arnold natychmiast przerywał swoje zajęcia, by me musieli na niego czekać.

Za każdą usługę dziękował serdecznie i szczerze; szczególnie był wylewny, gdy sprawa dotyczyła dobrodziejów; było mu niezmiernie przykro, gdy pewnego razu przeoczył imieniny wielkiej dobrodziejki Świętego Krzyża w Nysie, p. Huch. Arnold „nadgonił" jednak swoje życzenia. Wyraził głęboki żal z powodu swego roztargnienia i, jako człowiek praktyczny, w tym samym liście od razu złożył powinszowania na następny rok, nie pomnąc, że wszelka przesada w drugą stronę, jest również nie na miejscu [...] - A jak powściągliwy był w okazywaniu niezadowolenia, kiedy np. jego sekretarz, którego zwykle przywoływał dźwiękiem małego dzwoneczka - jego nazwiska nie muszę wymieniać - na dany znak się nie zjawił, ponieważ oddalił się zbyt daleko. Ojciec Arnold upomniał go bardzo delikatnie, mimo ze nie był to pierwszy juz przypadek.

A jak bardzo potrafił Sługa Boży strzec dobrego imienia innych. Biorąc pod uwagę doświadczenia, zdobyte w pracy z poszczególnymi współbraćmi, musiał wydawać polecenia, których nie rozumiano, a nawet brano mu za złe. Wystarczyłoby wtedy jedno słówko wyjaśnienia, aby wszystkich zadowolić. Ale wtedy inni ukazaliby się w złym świetle, więc milczał i całą niechęć znosił sam. Zależało mu tylko na jednym, aby okazać się sprawiedliwym przed Bogiem, opinia ludzka natomiast była mu obojętna, mimo ze ludzi bardzo szanował. Były to ofiary składane na ołtarzu miłości: a miłość i ofiara ściśle wiążą się ze sobą. [...] Doznawał wiele innych przykrości, ale nigdy nic widziałem, by przez to był przygnębiony. Kiedy wyrażałem mu współczucie w bardzo trudnym momencie dla niego, umiał się uspokoić i z największym opanowaniem powiedział: „Jestem do tego przyzwyczajony, to są metody wychowawcze Pana Boga". Nigdy nie pokazywał miny cierpiętnika czy ciężko doświadczonego; nawet po najboleśniejszych przeżyciach pojawiał się na rekreacji radosny i pogodny, i rozmawiał swobodnym tonem. Częściej jednak uważnie słuchał, aniżeli opowiadał czy żartował.

7.

Kończę. Oczywiście, że nasz cieszący się z sukcesów, ale trzeźwo myślący Założyciel Zgromadzenia, wyraźnie wiedział, że on, jak i jego dzieło, przejdą do historii. Było to oczywiste. Pewnego razu, kiedy byłem już zmęczony tą funkcją, powiedział: „Później będzie się Ojciec jednak cieszył, ze mógł mi pomagać jako sekretarz". Miał rację. Uważam się za szczęśliwca i uznaję to za wielką łaskę, że moje pierwsze lata kapłaństwa mogłem spędzić u jego boku i widzieć ten żywy wzór świętości. Jego obraz towarzyszył mi przez następne trzydzieści lat mego życia i w ciężkich chwilach myśl o nim dodawała mi sił. A kiedy myślę o zbliżającym się sądzie, bardziej pytam siebie: co mi powie Ojciec Arnold, niż co powie mi Bóg? Jestem przekonany, ze cała moja uwaga zwrócona będzie na Boga, a mimo to nie umiem wyzbyć się myśli o Arnoldzie. A dlaczegóż nie mógłby należeć do *judicantes duodecim tribus Izrael* do tych, którzy sądzić będą dwanaście pokoleń Izraela?

Tym samym złożyłem moje osobiste wyznanie w błogosławionego Arnolda; był mi przewodnikiem w życiu zakonnym i wzorem w tym, jak stać się świętym w naszym Zgromadzeniu. Przed moim duchem stoi on w pełnej zbroi: przepasawszy biodra prawdą, oblókłszy pancerz sprawiedliwości, obuwszy nogi w gotowość głoszenia dobrej nowiny o pokoju... Trzymając w ręku wiarę jako tarczę, dzięki której zdoła zgasić wszystkie rozżarzone pociski Złego. Ma też hełm zbawienia i miecz Ducha, to jest słowo Boże - wśród wszelakiej modlitwy i błagania. Przy każdej sposobności modląc się w duchu, czuwając i prosząc (por. Ef 6,14-19).

Dziś Arnold obchodzi razem z nami swoje setne urodziny, posiadając niebo, które zawsze nosił w sobie dzięki adorowaniu mieszkającej w nim Trójcy Świętej, świadomie noszonej w sercu, a którą się cieszy od dwudziestu ośmiu lat w chwale niebieskiej (...) Arnold Janssen ma tu na ziemi wielu duchowych synów, w niebie zaś czeka, aby rzesze te wprowadzić do wiecznych przybytków. I jak za życia ziemskiego studiował z myślą o niejednym współbracie rozkład jazdy, tak i w wieczności na pewno studiuje plany Boże, by się dowiedzieć, kiedy tam przybędziemy.

(Za: *„Verbum"* 1963, 325-341)

Tłumaczył Józef Tyczka SVD

Margoretti Fuchtenhans SSpS

Arnold Janssen człowiekiem modlitwy

Siostra Margoretti, Anna Fuchtenhans, ur. tu 1930 r. w Ahlen (Westfalia); w 1959 r. wstąpiła do zgromadzenia sióstr misyjnych ze Steyl; w 1960 r. śluby wieczyste, potem studia misjologiczne w Munster; 1971-1980 przełożona prowincjalna w Steyl; 1983-1988 współpraca z Papieskimi Dziełami Misyjnymi dla Dzieci w Aachen.

Kto patrzy na założyciela zgromadzeń misyjnych ze Steyl od strony jego doskonałości, będzie na niego patrzył, jak na duchowy monolit. Nie znaczy to, że Arnold janssen nie przechodził przez jakieś fazy rozwojowe czy dojrzewania, ale że przez jego postawę przebijał zasadniczy rys, który determinował jego modlitwę, plany i prace, cierpienia i sukcesy. Był człowiekiem całkowicie ukierunkowanym na Boga. Ten zwrot w stronę Boga określa jego duchowość i jego modlitwę. Dlatego warto przypatrzeć się bliżej:

1. jego postawie przed Bogiem
2. duchowemu dziedzictwu,
3. jego mistyce oraz
4. problemowi poznawania woli Bożej.

1. Jego postawa przed Bogiem

Arnold Janssen był człowiekiem bardzo skromnym, trzeźwym, i to zarówno z natury, jak i racji swego pochodzenia. Te otrzymane dary zdobywał powtórnie jako człowiek i jako wierzący. Świadomie stawał się tym, kim był. Przez to wytwarzała się wokół niego atmosfera szczerości i autentyczności. Nie krył nigdy, że jest synem prostych ludzi. Nie najlepsze zdrowie, jak i jednostronne uzdolnienie nie zniechęciły go. Również jego niepokaźna aparycja, nie odbierała mu pewności siebie. Głęboko rozumiał, ze sam nic nie może, i dlatego był całkowicie zdany na Boga, i to nawet w najdrobniejszych sprawach. A przy tym dogłębnie poznał wartość pozornych trudności. Okazywały się one środkami, które Bóg wybrał dla osiągnięcia swoich celów. Dlatego przyjmował zasadę spokojnego odczekania i rozpoznawania ukrywających się za nimi zamiarów Bożych. Każda trudność, każde ograniczenie prowadziło do spotkania z Bogiem. A Arnolda janssena cechowały nieprzyjemne ograniczenia. Był niepraktyczny i z trudnością wyrażał swoją myśl. A to znaczyło stale przerywać pracę i klękać przy biurku, aby przywoływać pomocy Ducha Świętego. Przyznawał się do tej zależności od Boga, jakby to było coś oczywistego.

Każdy numer wydawanego przez siebie czasopisma misyjnego rozpoczynał modlitwą, uzasadniając to tym, że nie potrafi tak dobrze wypowiedzieć tego, co myśli. A Duch Święty udzieli odpowiedniego światła modlącemu się czytelnikowi. Zachęcany do założenia Domu Misyjnego wyznał z przekonaniem, że nie jest do tego odpowiednim człowiekiem. Owszem, chciałby w tej sprawie się modlić i ją propagować. Kiedy się jednak zdecydował podjąć tego zadania, wyznał przed zaproszonymi gośćmi, że dzieło to jest darem Bożym. Jeśli uda się je zrealizować, „podziękujemy Bożej łaskawości, a jeżeli nie, z pokorą uderzymy się w pierś i wyznamy: nie byliśmy godni tej łaski".

Znamienne jest także to, ze stosunkowo niewiele wiemy o pierwszych czterdziestu latach jego życia, a później zaś zwykł mówić nie o sobie, a o swym dziele. Nie lubił także, gdy zbyt często mówiono o nim i jego młodym zgromadzeniu. Widział w tym przeszkodę dla zamiarów Bożych, wybierających to, co małe i niepozorne w oczach świata, aby urzeczywistnić swoje zamiary'.

[1] *Erinnerungen an P. Arnold Janssen* (seria: Analecta SVD-29), Romae 1974, s. 235, § 990.

Człowiek, który tak ukrył się w cieniu swego dzieła, stał się prawdziwie ubogi duchem i stawał się zarazem człowiekiem modlitwy. A ducha modlitewnego wyniósł z domu rodzinnego.

2. Duchowe dziedzictwo

Stale pogłębiał pobożność wyniesioną z domu rodzinnego. Obracał nią niczym kupiec, aby jej apogeum osiągnąć w założonych przez siebie zgromadzeniach.

Jego ojciec w każdą niedzielę uczestniczył we Mszy Św., aby podziękować Bogu w Trójcy Świętej za dobrodziejstwa minionego tygodnia. W poniedziałki uczestniczył we Mszy Św., prosząc o pomoc Ducha Świętego na rozpoczynający się tydzień. Gdy zaistniała jakaś nagła potrzeba, czytał Prolog Ewangelii św. Jana, aby Słowo Boże okazało swoje zmiłowanie. Każdą pracę rozpoczynał modlitwą: wszystko z Bogiem, naszym Panem. W czasie podróży zagłębiał z różańcem w ręku tajemnice życia Jezusowego.

Dla matki codzienny udział we Mszy św. był tak oczywisty jak codzienny pacierz przy pracy. Jeżeli jako małe dzieci, odnosili wrażenie, że modlitwa ich matki przebija się przez niebo, to jako dorośli wspomnienia te wyrazili w słowach: posiadaliśmy modlącą się matkę. Wieczorami cała rodzina zbierała się na wspólną modlitwę. Czytano „Roczniki Rozkrzewienia Wiary" i odmawiano kilka „Ojcze nasz" w intencji poruszonych tam potrzeb.

Arnold Janssen umiał scalić dziedzictwo religijne matki i ojca. Już we wczesnej młodości ułożył modlitwę wieczorną, która na stale weszła do modlitwy rodziny Janssenów. Uczestniczył też chętnie, podobnie jak rodzice, w drodze krzyżowej, i wiązał ją z Trójjedynym Bogiem. Jako młody nauczyciel w Bocholt zwracał na siebie uwagę odprawianiem drogi krzyżowej. Codzienna medytacja tajemniczych dróg Trójjedynego Boga przy stacjach drogi krzyżowej pomagały mu coraz wyraźniej rozumieć, jak Bóg na krzywych liniach ludzkiej niedoskonałości, słabości i przewrotności umie pisać prosto, i jak akurat tam jest, gdzie według ludzkich wyliczeń, me powinno Go być, i jak zbawienie dokonuje się w słabości, bezsilności i upadku.

Przy tak rozumianym działaniu Boga również własne życie coraz hardziej otwiera się na kierownictwo Boże. Nabiera ono jakiegoś pogłębionego duchowego wymiaru, który staje się nieuchwytny dla ziemskiego sposobu myślenia. Stając przed ukrzyżowanym Panem Jezusem również uczeń musi sobie uświadomić, że będąc sam przepasany i prowadzony tam, dokąd iść nie zamierza, ma także ograniczoną swobodę wyboru, i że właśnie w tym ludzkim ograniczeniu przejawia się moc Boża. Sam się uczy, także w miejscu pracy, padać na kolana (dosłownie!), by wielbić Boga, dziękować za Jego prowadzącą go dłoń lub błagać o wraźniejsze wytyczenie drogi, którędy ma iść.

W tej duchowej czujności, w tym tchnieniu wieczności, wszelkie ziemskie przeszkody, nawet takie jak Kulturkampf, musiały być zapewne dla Arnolda Janssena jedynie epizodem, czy może znakiem od Boga. Obecność Trójjedynego Boga, którego wielbił na eucharystycznym i mistycznym tronie (w ludzkim sercu), była dla niego bardziej realna niż jakakolwiek zewnętrzna, namacalna rzeczywistość. „Niech żyje Święty, Trójjedyny Bóg w sercach naszych", stało się dla niego hasłem. - „Niech wszyscy ludzie poznają i uwielbiają Trójcę Przenajświętszą", jego modlitwą. - Zaś „Wszystko trzeba zdobyć dla Trójjedynego Boga", jego programem. Z różnych okazji układał odpowiednie modlitwy do Boga w Trójcy Świętej Jedynego, podziwiał za św. Pawłem głębię mądrości Bożej, kierując ku Niej razem ze św. Franciszkiem Ksawerym pełne zachwytu pozdrowienie: O *sanctissima Trinitas!*

Opływał we wdzięczność dla Bożego Słowa, które przyniosło nam wieść o Bożej Tajemnicy. Święta Bożego Narodzenia kształtował z całą miłością, jako uwielbienie Ojca, podziękowanie Synowi i chwalbę Duchowi Świętemu. Z właściwą sobie wnikliwością dla duchowej głębi czcił drugą Osobę Boską jako Odwieczne, Wcielone i Mistyczne Słowo.

Takie spojrzenie było możliwe tylko w Duchu Świętym. Im stawał się starszy, tym bardziej czuł się wciągnięty do Jego czci. Był zafascy-

nowany Jego wszechobecnością i pozdrawiał Go wszystkimi określeniami, jakie znajdujemy w hymnie „Veni Crcator" czy w sekwencji Zielonych Świąt, które głoszą wielorakie doświadczenie Ducha Bożego. Obydwa hymny należały do codziennego programu modlitewnego. Tak, jak pierwsze swoje Zgromadzenie poświęcił Słowu Bożemu, tak drugie i trzecie Duchowi Świętemu. Cześć dla Ducha Świętego we wszystkich trzech Zgromadzeniach została pogłębiona i jest nadal pielęgnowana.

Uważam za godne zwrócenia uwagi, że Arnold Janssen modlił się duszą i ciałem i innym nakazywał się tak modlić. Postawa przy modlitwie, chodzenie, wstawanie, klękanie, wystrój kościoła, przygotowanie świąt, wszystko to nie było dla niego mało ważne. Wspaniałość liturgicznych uroczystości miała uświadomić uczestnikom wielkość i wspaniałość Boga. Wymiar inkarnatoryjny chrześcijaństwa traktował bardzo poważnie.

W praktykach Arnolda Janssena znajdujemy również wiele form pobożnościowych, charakterystycznych dla jego czasów. Nie można jednak powiedzieć, żeby kładł nacisk na drugoplanowe prawdy wiary. Raczej trzymał się tego, co objawił sam Trójjedyny Bóg. Maryję czcił jako Córkę Ojca, Matkę Syna i Oblubienicę Ducha Świętego. Odprawiał nowenny, cenił różaniec, w dniach Jej świąt zakładał zgromadzenia i często Ją przyzywał. Czcił aniołów, albowiem stoją przed tronem Bożym i wypełniają bez reszty Jego wolę. Czcił świętych, ponieważ Bóg ich wyróżnił. Cokolwiek przedsięwziął, nic odwodziło go to od centrum, ale prosto prowadziło do Niego. Podobnie, jak patrz\'ł na aniołów i świętych pod katem ich stosunku do Trójjedynego Boga, tak też oceniał ludzi w Kościele i poza nim. Głębokie relacje Kościoła pielgrzymującego do Tajemnicy Trójjedynego Boga - co tak wyraźnie podkreślił Dekret Misyjny Soboru Watykańskiego II - były nie tylko dla Arnolda Janssena prawda uchwycona w medytacji, ale nosiły także znamię narzucającej się rzeczywistości. Modlitwa bez czynu była dla niego tak samo niemożliwa, jak czyn bez modlitwy. I to jest tajemnicą jego nadzwyczajnej duchowej skuteczności.

3. Mistyk

Jeśli mówimy o Arnoldzie Janssenie, jako o mistyku, to nie w tym znaczeniu, że przezywał ekstazy i wizje, ale na ile jego życie było wewnętrznie ukierunkowane na tajemnicę Trójjedynego Boga; w tej tajemnicy oglądał też całą otaczającą go rzeczywistość. Urs von Balthasar za podstawowy element chrześcijańskiej mistyki uznaje „prymat misterium, w obliczu którego oczekiwaną odpowiedzią jest pełna gotowości wiara"[2]. Dla Arnolda Janssen misterium to było stale obecne, żył w stałej gotowości pójścia za wskazaniami Boga. Według jego słów Bóg przemawia przez okoliczności życiowe. Dlatego starał się je trzeźwo i gruntownie oceniać, przedstawiać je Bogu w modlitwie tak długo, az się upewnił, jak winien postąpić, i dopóki nie poczuł w sobie impulsu do działania. Mogło to trwać całe dni, a nawet lata.

Arnold Janssen nie ponaglał, raczej pozwalał się ponaglać, ale nie duchowi czasu, ani ludziom czy okolicznościom; te pilnie obserwował i omawiał je z Bogiem. Był raczej człowiekiem ponaglanym przez Boga. Kiedy wyraźnie poznał wolę Bożą, to wtedy, ale tylko wtedy, umiał działać i rozkazywać, i to natarczywie. Nazwano to w pewnych okolicznościach „uporem". Dla niego było to jednak tylko posłuszeństwo. W gotowości do posłuszeństwa w wierze pracował niezmordowanie i zawsze znajdował czas, ponieważ Bóg wymaga tylko tego, co ma być teraz, tutaj i dzisiaj, zrobione.

Dla Arnolda Janssena praca stała się modlitwą, gdyz jego serce zawsze trwało przy Bogu. Nie spędzał długich godzin na modlitwie, ale pracę przerywał co kwadrans dla odmówienia tak zwanej modlitwy kwadransowej, wzbudzając w niej akt wiary, nadziei, miłości i Komunii duchowej oraz prosił o zesłanie Ducha Świętego. Modlił się o podstawowe sprawności chrześcijańskiego życia - wiarę, nadzieję i miłość - którymi tylko Bóg może obdarować człowieka, i innym kazał się tak modlić.

[2] Hans Urs von Balthasar, *Zur Ortsbestimmung christlicher Mystik,* w: *Grundfragen der Mystik,* Johannes-Verlag, Einsiedeln.

cyzja nie była łatwa, jeśli się weźmie pod uwagę, że az do połowy ubiegłego stulecia wyjazd kobiety do kraju Trzeciego Świata był czymś nadzwyczajnym).

Zanim powziął jakąś ważną decyzję, starał się rozważyć wszystkie możliwości. Dopiero gdy nabrał wewnętrznego przeświadczenia i nie czuł żadnych wewnętrznych oporów, a raczej jakieś wewnętrzne przynaglenie, przechodził do czynu.

Widać wyraźnie, że decyzje Janssena wyrastały z jego postawy modlitewnej. Zycie traktował poważnie, tak jak samo Słowo Wcielone, i działa! tak, jak go prowadził Duch Święty.

Dzisiaj staramy się często żyć według wzorów lub ideałów. Możemy więc postawić pytanie: jakie posłanie przynosi Arnold Janssen dla naszego życia wewnętrznego?

- Po pierwsze: Wydaje mi się, że apeluje do nas o zrewidowanie *naszej postawy wobec Boga.* Arnold Janssen uważał pokorę za bardzo ważną cnotę, mianowicie za wewnętrzną prawdę. Uznawał swoje ograniczenia i w wypełnianiu swego posłannictwa umiał zdać się całkowicie na Boga.

- Po drugie. Apeluje o wyraźny w nas *obraz Boga.* Ten, przed którym stawał naprzeciw w modlitwie, nie by! czczym wyobrażeniem, ale konkretną osobą.

- Jego modlitwa jest przejawem *całego człowieka.* Do modlitwy włączał cala sferę cielesną. Modlitwa nie była dla niego czymś czysto wewnętrznym lub czysto duchowym.

- Umiał się *stałe modlić,* ponieważ Bóg był dla niego owym „Ty", którego dogłębnie doświadczył. Świadom był Boga *obecnego w głębi swego serca.* Bóg nie tyle był dla niego przedmiotem teologicznej refleksji, ile owym „Ty", które kochał ze wszystkich swoich sił. Serce, mimo matematycznych uzdolnień, było u niego ważniejsze niż głowa. W tym tkwi tajemnica jego jedności akcji i kontemplacji, modlitwy i pracy.

- Modlitwa i medytacja nie były *ucieczkę od codzienności,* ale jej przezwyciężeniem, spotkaniem z niepojętym Bogiem, uwielbieniem Jego woli. W modlitwie otwierał się na wolę Bozą i słuchał. Pozwalał się Bogu użyć i sobą kierować.

- Jego *otwartość na działanie Ducha Świętego* zakładała jego posłuszeństwo w wierze. Był czujny na to, co się wokół niego działo; studiował sytuacje, sprawy i osoby i stale pytał: czego Bóg ode mnie oczekuje?

- Rozważanie miłości i woli Bożej czyniły jego modlitwę *uniwersalną.* Nie zatrzymywał się na sobie.

Dziękujemy Bogu, że dal nam w Arnoldzie Janssenie wzór człowieka, który odważył się na wiarę z wszystkimi jej konsekwencjami i dzięki temu stał się błogosławionym.

(Za: *Daniit die Welt neu werde. Steyler Missiousschwesteru berichten aus ihrer Missionstatigkeit* (około 1977 roku), s. 15-18).

Tłumaczył Bronisław Skóra SVD

Fritz Bornemann SVD

PORTRET ZAŁOŻYCIELA - RÓŻNIE WIDZIANY

Z aparatu fotograficznego, w zależności od miejsca fotografowania i ustawienia obiektywu, odpowiedniego oświetlenia, można zrobić różne zdjęcia tego samego człowieka. Jeszcze bardziej niż fotografie odmienne mogę być opisy, przekazane przez obserwatorów o tej samej osobie, nawet gdy chodzi o wygląd zewnętrzny. Jedna z osób, która w 1876 r. odwiedziła Dom w Steyl, w swoim artykule nazwala rektora Janssena człowiekiem przedsiębiorczym i energicznym. Kto jednak czytał wspomnienia brata Junipentsa, odniósł wrażenie, że Założyciel byl niski, wątły, chorowity. Prawdopodobnie dlatego, że kapucyn przerastał starszego brata, Arnolda, o głowę, a w dodatku - choć nie odznaczał się tuszą - był jednak dobrze zbudowany. Wspomniany reporter był pewnie średniego wzrostu i me tak mocnej postury, jak Jumperus. Każdy mierzył więc Rektora własną miarą.

ZA ŻYCIA

Opinie o charakterze człowieka różnią się tym bardziej. Typ człowieka, jaki opowiada jednemu, nie podoba się drugiemu. Arnolda Janssena niektórzy współbracia ostro krytykowali. Graniczyłoby to z cudem, gdyby było inaczej. Janssen był przez trzydzieści trzy lata przełożonym i nie tylko piastował ten urząd, ale rzeczywiście kierował Zgromadzeniem - aż do 11 tygodnia przed swoim zgonem. Kto w ciągu tak długiego czasu ma wpływ na życie tysiąca kleryków, braci i sióstr, przydziela pracę, przenosi ich i ma odwagę nie ulegać każdej prośbie, na pewno zyska wśród swoich podwładnych przeciwników. Niektórych oponentów Janssena możemy wymienić. Jeden

z nich byt przełożonym misji i na skutek nalegania Superiora po półtora roku musiał zrezygnować. Inny oddał rękopis do druku i juz robiono korektę, gdy Generał stwierdził bezkrytyczne posługiwanie się prywatnymi objawieniami i nakazał wstrzymanie druku. Jeden z braci współpracował przy redagowaniu anonimowego listu przeciwko władzom zgromadzenia; kiedy dwu innych z tego powodu zwolniono, on mógł pozostać; nie zapomniał jednak tego zdarzenia. Wszyscy trzej: były przełożony misji, redaktor i brat, żyli długo po zgonie Założyciela. Mogli szeroko opowiadać, jak bardzo ich skrzywdzono, i jak surowo i niesprawiedliwie z nimi postąpiono. Znaleźli się i tacy, którzy uwierzyli im na słowo. Tak z biegiem czasu w pewnej wspólnocie ojców jakiegoś Domu lub wśród braci jakiegoś warsztatu lub w jakiejś misji mógł powstać „lokalny portret" Założyciela, namalowany w bardzo ciemnych barwach; było to dzieło jego przeciwników.

Czy wszyscy pozostali byli jego przyjaciółmi? Przyjazne stosunki utrzymywali tylko nieliczni, za to wielu go szanowało. Jednak szacunek nie oznacza jeszcze miłości. Ojciec Blum powiada, że mało było takich, którzy go lubili, „nie cieszył się miłością wielu... widziano tylko surowość, a nie spostrzegano serca". Ekonom generalny, ojciec Peter Schmitz, człowiek zrównoważony i o trzeźwym sądzie, powiedział: „Całe jego dzieło życia było trudne, zwłaszcza dla niego, bowiem w jego osobowości było niejedno, co nie zyskiwało mu sympatii... Czy był przełożonym lubianym i szanowanym? Mniemam, że naprzód był szanowany, a potem lubiany".

Wśród swoich najbliższych współpracowników Arnold Janssen nie miał przeciwników. Wszyscy go szanowali, nawet najsilniejszy spośród nich, ojciec Blum. Z wypowiedzi ojca H. Wegenera i ojca auf der Heide można odnieść wrażenie, że Założyciela nie tylko szanowali, ale również uwielbiali. Czy to przypadek? Albo ma to jakiś związek przyczynowy? Ojciec H. Wegener do 1902 r. był jego spowiednikiem, a ojciec auf der Heide od tegoż roku aż do śmierci Założyciela. Janssen był tym, który umożliwił im zostanie misjonarzami i zakonnikami. Czuli wobec mego wdzięczność i szacunek. Ojcowie zawdzięczali mu studia i kapłaństwo. Jeszcze po latach i dziesię-

cioleciach ojcowie pracujący w Chinach, czy tez w Afryce, Nowej Gwinei, Ameryce Północnej i Ameryce Południowej przypominają sobie Przełożonego Generalnego, jak w dniu ich święceń kapłańskich przed nimi ukląkł, prosił o błogosławieństwo, a potem po kolei każdemu całował ręce dopiero co namaszczone.

PO ŚMIERCI

Dnia 15 stycznia 1909 r. Ojciec Janssen odszedł do wieczności. Ojciec Hubert Hansen, lektor w St. Gabriel, na wieść o jego zgonie był do głębi poruszony i przejęty. Brat Blazej Hiistadt w Techny rozpłakał się: „Nie mogłem z płaczu się uspokoić. Zdawało mi się, ze Pan Bóg zabrał mi najlepszego na ziemi przyjaciela". W Steyl starano się zapewnić sobie relikwie z noszonej przez zmarłego sutanny oraz z jego włosów.

Listy kondolencyjne, jak i mowy nad grobem, nie stanowią jako takie źródła historycznego, które można by traktować poważnie. Jednak spośród ponad 600 kondolencji nadesłanych do Steyl, niektóre zasługują na wyróżnienie. Dyrektor Waldau z Wyższej Szkoły w Bocholt, który przedtem, jak i później mówił, że Janssen nie należał do lubianych nauczycieli, napisał: „Nie ma prawdopodobnie w całych Niemczech kapłana, za pośrednictwem którego Pan Bóg dokonał takiego dzieła, jak przez Niego". Następnie nalegał, by w krótkim czasie napisać jego obszerną biografię. Łazarzysta F. Medits w tym samym celu przesłał swoje wspomnienia do Steyl. Biskup Dóbbmg z Nepi-Sutri, który na Założyciela patrzył bardzo realistycznie, mówił o *„odor sanctitatis"* i spodziewał się, ze „cześć oddawana błogosławionym w Kościele będzie jego udziałem"; należy o tym pamiętać, grzebiąc go. Ojciec Blum postanowił sporządzić podwójną trumnę z cynku i drzewa, grób zaś ustawić me przed kaplicą cmentarną, lecz w kaplicy i wymurować go. W ten sposób dokonano wszystkiego, co ułatwiłoby ekshumację w przypadku procesu beatyfikacyjnego. Pod koniec stycznia 1909 r. ojciec Blum napisał: „Żal po Jego śmierci był tak powszechny i do tego stopnia pozbawiony sztuczności, ze każdy musiał powiedzieć: to był wielki mąż".

Kiedy miesiąc po śmierci Janssena jezuita, ojciec Andlau, miał w St. Gabriel kazanie prymicyjne, widział w swej wielkiej wizji krasomówczej „błogosławionego założyciela Arnolda wstępującego pomiędzy wielkich założycieli zakonów, Augustyna, Franciszka i Ignacego, do niebieskiego grona". Wystąpienie swe zakończył parafrazą hymnu do Ignacego, skierowaną do Ojca Janssena.

Na początku stycznia 1910 r. (me minął jeszcze rok od śmierci Założyciela) magister kleryków z St. Gabriel, ojciec W Gier, mający pewne zastrzeżenia do Założyciela, zawiadamia „o trzech nagłych wyzdrowieniach, graniczących z cudem, które tu powszechnie przypisuje się orędownictwu naszego świętej pamięci Założyciela". W 1911 r. ojciec van der Meulen w Argentynie odprawia nowenny do Założyciela, ale nie może podać do wiadomości żadnego realnego ich wysłuchania. Nowenny i przekonanie o wysłuchaniu przez Boga modlitwy za przyczyną Założyciela są wyrazem zmieniającego się o nim wyobrażenia. Z męża, kierującego zgromadzeniem misyjnym, z kapłana i przełożonego, stał się orędownikiem u Boga. Do tego, którego dotychczas czcili i poważali, wobec którego mieli dług wdzięczności, teraz się modlą. Nie robią tego yyprawdzie wszyscy, ale zauważyć można pierwsze dowody czci dla Ojca Arnolda Janssena.

Niczego podobnego me słyszymy o wspólnocie ze Steyl. Ojciec rektor Reidick postanowił, co prawda w 1911 r., w pokoju, w którym Założyciel przebywał do 1905 r., urządzić oratorium dla ojców. Czy chciał przez to uczcić Założyciela i zwrócić uwagę na jego pokój? Albo wybrał go dlatego, ze był dogodnie położony?

Można by powiedzieć, ze w ostatnich latach przed pierwszą wojną światową nabożeństwo wzrasta w miarę upływu czasu. We wspólnotach St. Gabriel, St. Wendel i innych, w których Założyciel co roku przebywał po kilka dni lub tygodni, był ważną osobistością, podczas gdy w Steyl, gdzie mieszkał 10 miesięcy w roku, działało prawo *„cotidiana vilescunt"* [rzeczy codzienne powszednieją].

Nowy przełożony generalny, ojciec Blum, wielokrotnie powoływał się na Założyciela. Natychmiast po otwarciu czwartej Generalnej Kapituły miał mowę ku czci Zmarłego, w której podkreślił cechy

charakteru Założyciela; podczas ostatniego posiedzenia pomyślny przebieg pertraktacji w sprawie nowych Konstytucji przypisał pośrednictwu Założyciela. „Kapituła - powiedział - zachowała wiernie tradycję Założyciela". Podczas ogłoszenia nowego Vademecum podkreślił, że redagowano go w duchu Założyciela. Jeżeli podkreślał to przy takich okazjach, musiał być przekonany, że współbracia cenią sobie ciągłość kierowania w duchu Założyciela. W oczach współbraci natomiast usprawiedliwiał w ten sposób swoje urzędowanie, np. w przypadku zupełnie nowego opracowania Konstytucji, mówiąc, że są zgodne z jego duchem.

Do pierwszej wojny światowej portret Założyciela oparty był na ustnej tradycji, w której wspomnienia pośmiertne ojca Kreitena i ojca Schwagra nie mogły niczego zmienić. W miarę upływu lat ustna tradycja stawała się coraz bardziej niepewna, ponieważ oparta była jedynie na wspomnieniach. Wywierała wpływ, przede wszystkim na nowo wstępujących, którzy nie znali Założyciela osobiście.

BIOGRAFIA OJCA H. FISCHERA

Pierwsza wojna światowa 1914-1918 wstrzymała każdy przewidywalny rozwój Zgromadzenia. W tej próżni przełożony generalny, ojciec Blum, polecił redaktorowi „Stadt Gottes", ojcu H. Fischerowi, napisanie biografii Założyciela. W tym celu oddał do jego dyspozycji archiwum Generalatu. Ojciec Fischer rzetelnie wydobył wiedzę z akt archiwalnych. Osoba Założyciela mimo realizmu w ocenie postaci stalą się barwna, bez subiektywnego wartościowania zawartego w tradycji ustnej. On zaś sam podczas pracy doznał nawrócenia. Oświadczył później otwarcie, że wcześniej Założyciel „nie cieszył się u mnie zbytnią sympatią. Uważałem go za surowego, silnego mężczyznę, który dość uparcie realizował swoją wolę. Umocniły w tym mnie, młodego kapłana w Świętym Krzyżu, pewne wzmianki mego rektora, ojca Josefa Webera. W czasie opracowania biografii odniosłem jednak zupełnie inne wyobrażenie o Założycielu. Moja pierwotna opinia zmieniała się stopniowo w coraz większy szacunek, cześć

i miłość, a w końcu doszedłem do przekonania, że Ojciec Janssen był naprawdę świątobliwym kapłanem".

Jego opis jest mimo wszystko zadziwiająco realistyczny. Zachowała się jeszcze korespondencja będąca odbiciem wrażenia, jakie wywarł na ojcu Blumic rozdział o starciach w pierwszym roku w Steyl. Przełożony Generalny był tym przerażony i wyraził opinię, że tego nie można publikować. Ojciec Fischer obronił jednak swój punkt widzenia i tekst jego pozostał nie zmieniony. Biografia ta z wyważonym i róyvnocześnie ciepłym podejściem do Janssena wywarła wpływ również na osoby spoza Zgromadzenia: na zakonników, kapłanów, studentów teologii, którym czytano ją w dużych wspólnotach w czasie posiłków. Wywarła również wpłyyy wewnątrz Zgromadzenia. Przecrwnicy Założyciela, którzy dotychczas mogli mówić o nim krytycznie, zmuszeni byli oceniać jego dzieło poważnie, opierając się na źródłach. Brat Geminianus Berke pisał: „Nauczyła mnie ona także nie przyjmować bezkrytycznie tego, co mi opowiadali ci, którzy go znali; wkrótce stwierdziłem, że niestety u większości z nich przemawiało bardzo osobiste nastawienie". Przede wszystkim w obszernym rozdziale „Narzędzie Boga" Fischer bardzo wyraziście i z sympatią przedstawił charakter Założyciela; czytano go później często i cytowano podczas rekolekcji oraz akademii. W czasie procesu beatyfikacyjnego liczni świadkowie powoływali się na pojedyncze wypowiedzi Fischera, tak że *aduocatus diaboli* zażądał krytycznego zbadania wartości biografii.

W rok po ukazaniu się książki Fischera pojawiły się biografie współzałożycielek sióstr misyjnych i sióstr klauzurowych, napisane przez siostrę Assumptę Volpert SSpS. Książka, podobnie jak praca Fischera, oparta była na dokumentach źródłowych i ukazała podobny portret Założyciela, choć ukazywała niektóre nowe rysy jego osobowości.

Te historycznie udokumentowane dwie publikacje dobrze zastąpiły ustne opowiadania. Portret Arnolda Janssena - choć nakreślony z czcią i szacunkiem - jest zgodny z prawdą.

Wkrótce po ukazaniu się biografii Założyciela odnowiono pokój w Steyl, w którym mieszkał pod koniec życia i gdzie zmarł. Miejsce, gdzie stało łoże śmierci, zaznaczono małym złotym krzyżykiem. Pod jedną ze ścian postawiono popiersie Założyciela, a pod nim umieszczono marmurową płytę z łacińskim napisem: „Tu 15 stycznia 1909 r. zmarł w Panu nasz Ojciec i Założyciel, Arnold Janssen". Realistyczny opis Fischera nie zaszkodził Założycielowi, przeciwnie - jeszcze rozbudził zainteresowanie Jego osoby.

ZAINTERESOWANIE DUCHOWOŚCIĄ ZAŁOŻYCIELA

Zycie po kataklizmie pierwszej wojny światowej i pierwszych lat powojennych zaczęło powracać do normy. W Zgromadzeniu narastało zainteresowanie osobowością Założyciela - wpływ książki Fischera - a dotyczyło zwłaszcza jego pobożności, *„deuotio".* Zainteresowanie to wystąpiło prawie równocześnie w kilkunastu miejscach.

Ojciec Górgen, którego latem 1921 r. ze Świętego Krzyża przeniesiono na urząd prefekta do St. Wendel, starał się wychowywać młodzież zakonną, świadomie związaną ze Zgromadzeniem, stosując formy ruchu młodzieżowego z Volksthing, pomagając redagować gazetkę uczniowską, kierując pracą zespołową: majsterkowiczów, filatelistów, czcicieli Serca Jezusa i grupy Maryjnej. W czasie swoich konferencji opowiadał o zasadniczych cechach i nazwie Zgromadzenia Societas Verbi Divini, o nabożeństwach tego Zgromadzenia. Niemożliwe było, aby przy tej okazji nic wspomnieć o osobowości Założyciela i jego pobożności. Tego rodzaju planowe zajęcia odbywały się po raz pierwszy w niższym seminarium.

Mniej więcej w tym samym czasie ojciec F. Hiittermann, który miał pracować w Chinach, studiował egzegezę w Bonn, czynił starania wokół systematyzacji teologii i nabożeństw Zgromadzenia oraz jego patronów. Był wówczas kimś w rodzaju socjusza - magistra nowicjuszy kleryków w St. Augustin, stąd jego poglądy przyswoił sobie tamtejszy nowicjat kleryków. W nowym wydaniu *Manuale nonicio-rum* z 1927 r. weszły one jako *Propositum sodalium Verbi Dwini*

asceticum[1] i przedstawiały pobożność, jaką Założyciel *(Societatis conditor)* przekazał swemu Zgromadzeniu. Niewykluczone, że ojciec Ferdynand Baumhóer, wyświęcony w 1913 r. razem z ojcem Hiittermannem, był pośrednikiem między Huttermannem w Bonn a ojcem Górgenem w St. Wendel.

W St. Gabriel, kleryk A. Rohner, uważał za niezrozumiałe, że np. prefekt w swoich wykładach nigdy nie wspomniał o SVD. Nie pozostało mu nic innego, jak prywatnie zainteresować się duchowością Zgromadzenia.

Począwszy od 1924 r. co roku w dniu 15 stycznia bracia organizowali w St. Gabriel akademie ku czci Ojca Arnolda, w czasie której np. ojciec W Schmidt i ojciec LI. Giese mówili o Założycielu, realizowano też recitale jego pieśni i wierszy, czytano teksty związane tematycznie z duchowością Założyciela.

W 1928 r. pod koniec studiów na Angelicum w Rzymie ojciec Rohner obrał temat: *„De rnutua inter Christum hominem et Spiritum Sanctuin habitudine"[0* wzajemnej relacji pomiędzy Chrystusem - Człowiekiem a Duchem Świętym], zachęcony rozpowszechnioną przez Założyciela płaskorzeźbą z Sercem Jezusa i symbolem Ducha Świętego. Jako magister nowicjuszów w St. Gabriel od 1929 r. wprowadzał fratrów w rozumienie nabożeństw Zgromadzenia, co spotkało się z ogólnym zainteresowaniem. W grupie roboczej akademii misyjnej przyjął jako materiał ćwiczeń łacińską regułę z września 1885 r., z której od czasów Założyciela przechowano w St. Gabriel odpisy. Uczestnicy grupy roboczej opracowywali konkretne tematy: nabożeństwo do Trójcy Świętej, cześć aniołów, cześć Ducha Świętego, itp. Były to niewielkie objętościowo, ale rzetelne opracowania. Oprócz tego polecił przejrzeć stare roczniki „Posłańca Serca Jezusowego" i „Stadt Gottes" w poszukiwaniu takich samych lub podobnych tematów, m.in. misje wśród pogan, i założyć kartotekę. Był bowiem zdania: jeśli chcemy wyjaśnić nasze Konstytucje i nabożeństwa, musimy odwołać się do historii. Umiał dostrzec jeszcze inną stronę

[1] Por. Fr. Huttermann, *Śladami O. Arnolda. Program ascetyczny współbrata,* „Nurt SVD", nr 34 (1995) 1-14.

zagadnienia: to, czego potrzebują nasi nowicjusze i o co pytają, to nie traktaty o Założycielu, ale chęć bliższego poznania jego osoby. Chcą czytać i studiować to, o czym mówił i pisał. Oczywiście, przede wszystkim zredagowaną przez niego regułę. Stare reguły należałoby ponownie wydrukować. Tak samo artykuły z roczników „Posłańca Serca Jezusowego", napisane przez samego A. Janssena. Ojciec Rohner zbierał stare teksty, jakie tylko znalazł: kartki z modlitwami, broszurki, Vademecum, Konstytucje. Pracował inaczej niż ojciec Górgen i ojciec Hiittermann. Tamci zainteresowani byli przede wszystkim Zgromadzeniem, a tylko przy okazji Założycielem. Ojciec Rohner zainteresowanie Założycielem stawiał wyraźnie na pierwszym miejscu. Powstały poważne przesłanki dla pierwszych gruntownych studiów na temat pobożności Założyciela. Prawdziwym odkryciem ojca Rohnera było stwierdzenie, że z chwilą opublikowania Konstytucji w 1905 r. prywatne śluby zostały zastąpione publicznymi i dzięki temu SVD stało się dopiero zgromadzeniem zakonnym; faktu tego dotychczas nie zauważono.

Nasuwa się myśl, czy przypadkiem różne drobne iskry takiego zainteresowania nie mają wspólnego początku, np. w wykładach dogmatycznych ojca Grendla w St. Gabriel. Dotychczas jednak nie znaleziono potwierdzenia na poparcie tej hipotezy. Przeciwnie, gdy podczas otwarcia akademii misyjnej w 1911 r. (a może jeszcze wcześniej) ojciec Grendcl w St. Gabriel miał wykład dla fratrów pt. „Centralne stanowisko idei misyjnej w odwiecznym planie zbawczym", i przy tej okazji szczegółowo omawiał tajemnicę Trójcy Przenajświętszej, nawet słowem nie wspomniał - co się wprost samo narzucało - o znaczeniu tej tajemnicy w duchowości Założyciela i Zgromadzenia.

Latem 1931 r. radca generalny i wizytator, ojciec H. Fischer, zatrzymał się na dłuższy czas w St. Gabriel. Miał możność zapoznać się z zainteresowaniem młodego magistra kleryków i zachęcił go do dalszej pracy. Wielkie wrażenie wywarło na nim pragnienie kleryków, aby się czegoś więcej dowiedzieć o postawie duchowej Założyciela. Po powrocie do Rzymu, na podstawie archiwum Generalatu oddanego mu do dyspozycji, postanowił ponownie zająć się sprawą pobożności Założyciela, nad czym pracował już dawniej, lecz z powodu

trudności zrezygnował. Odkrył nowe materiały. Na początku grudnia miał już. ukończoną część historyczną, poświęconą rozwojowi pobożności Założyciela. W kwietniu 1932 r. skończył rękopis. Książka Jesteście świątynią Boga" ukazała się przed Bożym Narodzeniem. Miała podtytuł: „Pobożność w duchu ojca Arnolda Janssena[2].

Wstęp, jak i pierwszy rozdział mówiący o rozwoju duchowości Założyciela, stanowi zasadniczy fundament dzieła. Książka przynosi wiele nowego - pisał ojciec Fischer do ojca Rohnera - „przede wszystkim całkowicie wyjaśnia system naszych nabożeństw w Zgromadzeniu, formy pobożności w SVD, tak jak przekazał nam je nasz świętej pamięci Założyciel. Naprawdę nie potrzebujemy się zapożyczać u innych zakonów. Posiadamy coś tak pierwotnie chrześcijańskiego, tak głęboko pięknego, jak tylko nieliczne zakony to mają. A przy tym nasza służba Bogu jest wybitnie praktyczna; nie istnieje pewniejsza droga do prawdziwej, głębszej łączności z Bogiem, jak ta, że mieszka w nas Bóg w Trójcy Jedyny, że żyje w nas Chrystus, że Jego świat myśli staje się naszym, (kult Serca Jezusa), że Duch Święty stanowi więź duszy w miłosnym zjednoczeniu z Bogiem, podobnie jak jest więzią miłości Ojca i Syna: to jest bowiem owym strumieniem życia religijnego. Różne nasze nabożeństwa zlewają się tu w zwartą jedność i organiczną całość. Żadnego z nich nie może zabraknąć w tej niezwykle pięknej harmonii. Tajemnica Trójcy Świętej znajduje się zawszew centrum życia naszego Założyciela. Kult Słowa Bożego, Najświętszego Serca, Ducha Świętego są tylko wypływem i pogłębieniem tej centralnej tajemnicy: jego sposób oddawania czci Maryi jako Córce Ojca, Matce Słowa Odwiecznego i Oblubienicy, Ducha Świętego. Kult Serca Maryi zupełnie harmonizuje z jego sposobem czci Boga. Wszystko stanowi jedność i całość" (20.04.1932). - Nabożeństwo do Serca Jezusowego, które A. Janssen zaczął praktykować w 1866 r. dzięki Apostolstwu Modlitwy, uczyniło z niego apostoła i założyciela Steyl; w tym sensie ma ono wielkie znaczenie dla jego drogi życiowej. „Nie stanowi ono jednak centralnego punktu jego re-

[2] Tytuł oryginału: *Tempel Gottes seid ihr. Die Frómmigkeit im Geiste P. Arnold Janssens,* Steyl 1932, s. 292.

ligijnego życia; ośrodkiem, który dominuje nad wszystkim jest kult Trójcy Przenajświętszej. Cześć oddawana Słowu Bożemu (łącznie z Sercem Jezusa) i Duchowi Świętemu jest pogłębieniem i przejawem czci dla tajemnicy trynitarnej. Uważam to za całkiem pewne... Wspólnym mianownikiem naszych nabożeństw jest *Unitas in Trimtatc"* (13.07.1932)[3].

Cenzor miał pewne zastrzeżenia: Czy wolno publikować taką pozycję? W końcu jednak udzielił *imprimatur.* Książka została dobrze przyjęta. Ojciec Fischer był wszakże zdania, ze to tylko słomiany zapał. „Nie oczekuję jednoznacznego przyjęcia przez współbraci. Należałoby sobie życzyć polemiki, by poważnie zająć się tymi sprawami. Po dwudziestu latach znaczenie tego zagadnienia dla Zgromadzenia będzie uznawane. Wtedy wszyscy, którzy osobiście znali Założyciela, nie będą juz żyli. Dystans w stosunku do niego jeszcze bardziej uwydatni jego cechy charakterystyczne i podkreśli główne rysy jego pobożności. [Założyciel] doprowadził nas faktycznie do praźródeł, do serca, do samej świątyni chrześcijańskiej ascezy... Moja książka jest tylko pierwszą próbą i szkicem. W tej sprawie należy dużo jeszcze pracować i praktycznie rzecz wykorzystać" (13.12.1932).

Duchowość - to tylko jeden aspekt osobowości Ojca A. Janssena. Ale początek został zrobiony. W podobny sposób należało prześledzić inne cechy bogatej sylwetki Założyciela. Jednak ten ledwo rozpoczęty, rokujący nadzieje rozwój został przerwany na skutek przygotowania do procesu beatyfikacyjnego Założyciela.

WPŁYW PROCESU BEATYFIKACYJNEGO

W rocznicę śmierci A. Janssena biskup Dóbbing - jak juz wspomnieliśmy - zwrócił uwagę, że w przyszłości należy się liczyć z procesem beatyfikacyjnym i kanonizacyjnym. W 1920 r. jeden z kardynałów w Rzymie namawiał prokuratora generalnego, ojca Friedricha, aby werbiści przystąpili do procesu beatyfikacyjnego swego Założyciela. W 1922 r. to samo - jeszcze poważniej - powtórzył holenderski redemptorysta i prawnik, J.H. Drehmanns, prywatny sekretarz kardynała van Rossum, prefekta Propagandy. Gdy ojciec Friedrich napisał o tym do Steyl, asystent generalny, ojciec Bodems, odpowiedział: „A czy stwierdzono już cuda za przyczyną naszego świętej pamięci Założyciela"? Reakcja ojca generała Giera, który po długoletnim wizytowaniu Zgromadzenia powrócił do Steyl, była bardziej przychylna. Podczas pierwszego wystąpienia w czasie powitania go przez wspólnotę w Steyl, opowiedział się za rozpoczęciem procesu beatyfikacyjnego; po raz pierwszy sprawa ta została oficjalnie poruszona. Powiedział: „Juz w czasie podróży często słyszałem od współbraci za granicą o wysłuchaniu modlitw skierowanych do niego lub o nowennie odprawianej ku jego czci. Zdaje mi się, iż odpowiada to woli Bożej, byśmy w tej sprawie zaczęli więcej działać". - „Steyler Chronik" (1924, s. 36) przekazała to do wiadomości wszystkim współbraciom na całym świecie. Kilka tygodni później dano znać z St. Wendel o wyzdrowieniu za przyczyną Ojca A. Janssena. Sprawozdanie na ten temat ukazało się zarówno w „Steyler Chronik", jak i w oficjalnym „Nuntius SVD". Przekazano je także do osądu Kongregacji.

We wrześniu tego samego 1924 r. Generalat wydrukował modlitwę o beatyfikację Ojca A. Janssena, a także druczek modlitewny, który szeroko rozpowszechniano. W marcu 1928 r. przyjęto nowy tekst modlitwy, dołączony do modlitw wieczornych. Zaczęto kolportować ulotkę z modlitwą. Na jednej stronie ulotki była podobizna Założyciela, na drugiej modlitwa. Rok jubileuszowy 1925 stał się wielokrotną okazją do uczczenia osoby Założyciela. „Nuntius SVD" opublikował duży artykuł ze wspomnieniami o Założycielu, a ojciec Fischer wydał obszerną książkę z biografiami ojców: Bluma, Wegenera, Johannesa Janssena i Eikenbrocka, w których jest także mowa o Założycielu. Rok jubileuszowy przyniósł również wiele wysłuchań modlitewnych za przyczyną Założyciela tak w Europie, jak i w krajach zamorskich.

W maju 1926 r. Kapituła Prowincjalna wielkiej prowincji zachodnioniemieckiej, do której należało 10 domów - m. in. Steyl, Geilen-

[3] Porównaj artykuł H. Fischera, *„Profil duchowy Założyciela",* „Nurt SVD" nr 22(1976), s. 66-100.

kirchen, St. Augustin, Driburg, St. Wendel, Ingolstadt, Blónried - postanowiła złożyć wniosek w Generalacie, aby oficjalnie wszcząć kroki o beatyfikację Założyciela „w interesie Kościoła świętego, misji wśród pogan i wewnętrznego wzmocnienia naszego zakonu". Ojciec prowincjał Grendel, który od 1923 r. kierował prowincją, sam wystąpił z tą sprawą. - Jednak Generalat był zdania, że należy najpierw odczekać na dalsze wysłuchania modlitewne, i obstawał przy tym nawet wówczas, gdy wiosną 1929 r. nadeszła ze St. Wendel wiadomość o nadzwyczajnym uzdrowieniu. Informacja ta znajduje się obecnie w Kongregacji celem wydania orzeczenia.

Jesienią 1932 r. podczas Kapituły Generalnej ojciec Grendel został wybrany nowym przełożonym generalnym, tak że mógł sam udzielić odpowiedzi na poprzedni wniosek. Również Kapituła Generalna w jednej z rezolucji sama wypowiedziała się za rozpoczęciem procesu beatyfikacyjnego, podkreślając, jak wielkie znaczenie miała by beatyfikacja Założyciela dla wewnętrznego wzmocnienia i wydaj nego działania Zgromadzenia w świecie. Tym samym uczyniono decydujący krok.

Pod koniec 1933 r. ojciec Generał zabronił ojcu Rohnerowi dalszych prac historycznych, które same w sobie były bardzo dobre, ale ze względu na rozpoczynający się proces, nie powinny być prowadzone; tak postępowały także stare wielkie zakony.

Dnia 28 marca 1933 r. ojciec Grendel mianował ojca Gottfrieda Gróssla generalnym postulatorem w procesie Założyciela; ten zaś powołał 10 kwietnia ojca Hermanna Sandkampa w Steyl na wicepostulatora dla wszystkich procesów poza Rzymem, to znaczy dla bardzo ważnego procesu w Steyl. Gdy w 1926 r. ojca Gorgena przeniesiono z St. Wendel w charakterze rektora do Steyl, ojciec Sandkamp przybył razem z nim. Podobnie jak tam, tak i tu ścisłe z sobą współpracowali. Jako wicepostulator zaczął działać wyjątkowo dynamicznie. Jego najważniejszym zadaniem był wybór świadków do procesu. By temu sprostać, prosił tych, którzy pamiętali jeszcze Założyciela, o wspomnienia o nim. Chcąc im przyjść z pomocą, wręczył każdemu z nich kwestionariusz, który w zasadzie był schematem cnót: trzech

cnót teologicznych i czterech cnót głównych; za wzór posłużył mu stary podręcznik rzymski do procesów beatyfikacyjnych. Wicepostulatora nie interesowały wspomnienia jako takie, ale jedynie te, które przywoływały obraz cnót Założyciela, a jeśli to było możliwe - także heroiczny stopień tych cnót. Celem bowiem takiego procesu było wykazanie heroizmu cnót. Miały być one uwiarygodnione wspomnieniami świadków, wspomnienia bowiem łatwo ulegają zaprzepaszczeniom, pomyłkom, błędom, ponieważ miały miejsce przed dziesiątkami lat, a przekazujący je polegają najczęściej na swojej pamięci. Był to niejako powrót do czasów sprzed wydania biogr.afii Założyciela pióra H. Fischera, który w przeciwieństwie do ustnych podań, opierających się jedynie na pamięci, naszkicował wizerunek Założyciela na podstawie dokumentów. Tym razem jednak wspomnienia były z góry ukierunkowane przez kwestionariusz. Zmierzano do idealizowania postaci Założyciela[4].

Bardzo łatwo zrozumieć więc gloryfikujący styl wicepostulatora w „Artikel", wydane drukiem w 1934 r. Każdy ze świadków procesu mógł go przedtem przestudiować; mnóstwo tam superlatywów i ogólników. Rękopis był przez rzymskiego eksperta zaopiniowany i skorygowany.

Drugie zadanie procesu beatyfikacyjnego, oprócz badania stopnia heroiczności cnót, polega na badaniu cudów: czy Pan Bóg rzeczywiście zdziałał cuda dla potwierdzenia świętości swego sługi? Jeśli w jakimś przypadku można udowodnić cudowną interwencję Boga - np. w uzdrowieniu chorego za pośrednictwem Sługi Bożego - wtedy istnieje oczywisty dowód, że dany Sługa rzeczywiście jest w niebie, tzn. że jest błogosławiony. Nic wystarczy, by wicepostulator czynił starania o szeregi wielbicieli ojca Arnolda Janssena, ale zadaniem jego jest troska o szeregi takich modlących się, którzy ufaliby orędownictwu Założyciela. Do tego nie trzeba wcale zróżnicowanej biografii. Skuteczniejsza jest bowiem taka, która bardziej uwydatnia te rysy, które budzą religijne zaufanie, nawet gdyby niektóre z nich nie były

[4] O wartości lub be/wartościowości wspomnień historycznych zob komentarz w: *Ennnerungen an P. Arnold Janssen,* Analecta SVD 29, Romae 1974, s. .,71-454.

dostatecznie uwypuklone lub nie uwzględnione. Nie ma więc znaczenia, czy modlący się ma realistyczne czy wyidealizowane wyobrażenia dotyczące osobowości Ojca A. Janssena. Wiara w świętych obcowanie, bezpośrednie zbliżenie się do zmarłego Założyciela wystarczają, by w trudnościach uciec się do sługi Bożego. To znaczy, że kto chce zdobyć wielkie grono modlących się, musi używać języka prostego, musi przedstawić portret Ojca Janssena w dużych i pozytywnie yybijających się w pamięć zarysach.

Jak można prostymi środkami zdobyć takich modlących się, widać na przykładzie czci oddawanej ojcu Freinademetzowi w Austrii. Do St. Gabriel przychodzą prawie codziennie listy z prośbą o modlitwy do ojca Freinademetza albo tez powiadamiające o wysłuchaniu modlitw. Zaczęło się to w 1958 r., gdy w tamtejszym „Stadt Gottes" pojawił się artykuł o ojcu Freinadcmetzu z okazji pięćdziesiątej rocznicy jego zgonu. Od tego czasu trzy lub cztery razy w roku drukowano w „Stadt Gottes" małą rubrykę z wybranymi wysłuchaniami modlitewnymi. Dopiero w 1973 r. ukazał się znowu następny artykuł o ojcu Freinadcmetzu. Przypadek ten świadczy, jak mało modlący się z zaufaniem potrzebuje „informacji".

Postulator generalny, o. Gróssl, polecił Włochowi Barberisowi namalowanie modlącego się Założyciela. Barberis obrał formę zgodnie z regułami ikonografii przedstawiającą Ojca Janssena jako bardzo pobożnego, skupionego na modlitwie. Jednak Ojciec Janssen namalowany przez Barberisa tak nie klęczał i me modlił się. Dlatego współbracia odrzucili obraz[1]. Był to symbol, ale nie Ojciec Janssen. Kto jednak rozumie malarstwo sakralne odczyta obraz ten poprawnie.

Równocześnie drukowano broszurki, nowenny i ulotki modlitewne. W 1934 r. wydano nowennę (w nakładzie 200 000 egzemplarzy), do Steyl wpłynęły liczne powiadomienia o wysłuchaniu. Na polecenie Gcneralatu siostra Sixta Kasbauer SSpS napisała w 1934 r. broszurkę: „Arnold Janssen. Ein Gottesmann fur unsere Zeit". Przedstawiła w niej krótko jego życie oraz relację o wysłuchaniu modlitw; wypełniły one większą część broszurki. W 1937 r. ukazała się książka o Arnoldzie Janssenie przeznaczona dla młodzieży, napisana przez s. Assumptę Volpert SSpS pod tytułem „Des Kónigs Banner weht voran!" Oparta została głównie na wspomnieniach brata Juniperusa i książce siostry Sixty „Ein Mcnsch unter Gottes Meissel". W tym samym roku ojciec A. Freitag wydał okolicznościową sztukę „Des Steyler Griinders Apostelweihe", a jednocześnie - czy też krótko przedtem - ojciec Liebertz skomponował „Kantatę Arnolda". W 1940 r. ojciec A. Freitag wydal broszurę „Der Diener Gottes, Arnold Janssen. Eine Sinndeutung seines Lebens, seines Wirkens, seiner Heiligkeit und seines mystischen Glaubenslebcn". Od pierwszej do ostatniej strony jest ona wyrazem najwyższej czci i zachwytu. Nie ma w niej żadnego fałszywego tonu, podano jedynie to, co jest pozytywne, a i to w stopniu najwyższym.

Są tam te same zabiegi, jakie stosowano od stuleci, zanim nie napisano o psychologii reklamy dla form nabożeństw lub rozpowszechnienia kultu jakiegoś świętego. Jest to uproszczony język środków przekazu. To nie fałsz, ale jednostronne przedstawienie.

Szeregi czcicieli rosły. Poczta coraz częściej przynosiła do Steyl wiadomości o wysłuchaniu modlitw. Ojciec Freitag w 1940 r. pisał o 736 wysłuchanych modlitwach z całego świata. W kaplicy, niegdyś pokoju Założyciela, odprawiono 30 tysięcy nowen. Ojciec Sandkamp i ojciec Górgen w Steyl, a poza tym postulator generalny, ojciec Gróssl, i generał Grendel w Rzymie mogli być zadowoleni z takiego sukcesu.

Nie wszyscy jednak współbracia zgadzali się z tym, jak przedstawiano Założyciela. Najbardziej zagorzałym przeciwnikiem był ojciec Anton Hilger, w owym czasie lektor filozofii w St. Augustin, w latach 1905-1907 osobisty sekretarz Założyciela. Juz w St. Augustin w 1925 r. podczas obchodów złotego jubileuszu Zgromadzenia przedstawił on w swoim długim odczycie Założyciela takim, jakim go widział. Wtedy, kiedy ojciec Sandkamp znał tylko jego cnoty, żadnej ludzkiej słabości, ojciec Hilger obok cnót znal też mankamenty.

[5] Por. obraz w: S. Sixta Kasbauer, *Arnold Janssen. Ein Gottesmann fin unsere Zeit,* Steyl, 2. wyd., 1936, s. 49.

Uczynił to z poczuciem humoru. To, co go w 1905 r. denerwowało, obecnie wywoływało jedynie uśmiech; wiedział bowiem: takie nieprzyjemności są drobnostkami z ludzkiego punktu widzenia, a podwójnie w świetle wiary. Jednak dla wiccpostulatora ten realistyczny sposób traktowania był nie do zniesienia. Podobnie jak Hilger, myślał ojciec Peter Schmitz, długoletni ekonom generalny, a także ojciec Henryk Stolte, osobisty sekretarz Założyciela, a także wielu innych. Wszyscy oni zabrali glos w procesie informacyjnym albo apostolskim i przedstawili własne opinie. Ojciec Kirchgessner powiedział: „Odnoszę wrażenie, że portret, jaki tu pokazano (mianowicie w „Artikel") jest przesadny i zanadto pozłacany. Jestem zdania, ze na każde twierdzenie potrzebne są dowody, co najmniej jeden dowód konkretny, ponieważ jednak sprawę przedstawiono ogólnikowo, muszę powiedzieć: Nasz Założyciel taki nie był". Nie zaszkodziło to jednak procesowi. Zasadniczą tezą tych świadków było: wizerunek Założyciela musi być prawdziyyy, musi się zgadzać z faktami historycznymi. Ojciec Schmitz i ojciec Hilger należą do świadków, którzy w tym procesie zrobili największe wrażenie, właśnie z powodu swego realistycznego nastawienia. Jednak w opinii publicznej zachował się kierunek nadany przez yyicepostulatora, który czuł, że popiera go także Generalat. Powstał jednak pewien niepokój, gdy ojciec Hilger miał po raz drugi podobny wykład w 1937 r. w St. Wendel z okazji setnej rocznicy urodzin Założyciela. Nie podobało się też racjonalne podejście Ojca Aranda. Zaś ojciec Sandkamp i ojciec Górgen umieli nawet prowadzić wykłady i rekolekcje o Założycielu.

Potem wybuchła i zakończyła się druga wojna światowa. Na posiedzeniu Kapituły Generalnej w 1947 r. ojciec Carl Friedrich postawił wniosek o „wydanie drukiem książki, która przedstawiałaby osobowość religijną Ojca Arnolda Janssena na podstawie jego listów". W czasie dwudziestego drugiego posiedzenia wniosek ten, ale juz szerzej sformułowany, został poddany dyskusji. Przyjęto go jednogłośnie. „Kapituła Generalna prosi Radę Generalną, by przez zebranie tekstów z pisemnej spuścizny naszego Założyciela, jak np. z listów, notatek, publikacji, itp., ukazać wszystkim współbraciom jak najbardziej bezpośredni rys jego religijnej osobowości. To samo powinno dotyczyć również ojca Freinademetza"[6].

Nowy przełożony generalny, ojciec Grosse Kappenberg, krótko po Kapitule - prawdopodobnie jeszcze pod wpływem ojca Grendla - powołał ojca Sandkampa do Rzymu, by z dokumentów Założyciela, znajdujących się w archiwum, opracować wydanie dzieła, które życzyła sobie Kapituła. Kiedy po kilku tygodniach dowiedział się 0 tym ojciec Tełlkamp, lektor historii w St. Augustin, który był członkiem Kapituły, napisał ostry list protestacyjny przeciwko wyborowi ojca Sandkampa. Na skutek jego wystąpienia ojciec Sandkamp musiał przerwać pracę i wrócić do ojczyzny. Pracę przejął ojciec Leon Haberstroh, który od 1934 r. był osobistym sekretarzem ojca Grendla, a równocześnie archiwistą Generalatu. Ten w ciągu wielu lat, korzystając z wolnego czasu, przejrzał materiał, dokonał wyboru i spisał go na 3500 arkuszach, w tak zwanej „Kartotece Haberstroh". Ponad połowa materiału pochodzi z listów Założyciela, prawie piąta część z jego wykładów i konferencji, pozostała część zaś z „Małego Posłańca Serca Jezusowego", „Stadt Gottes", Konstytucji, Nuntmsa, drukowanych tekstów modlitewnych, itp. Zbiór ten uporządkował na wzór książki ojca Huondera SJ o św. Ignacym. - Zasada doboru 1techniczna strona zbioru bezwzględnie przewyższa próbę ojca Sandkampa, jak i opracowane przez ojca Sandkampa i ojca Górgena dzieło „An heiligen Quellen. Aus der religiósem Gedankenwelt P. A. Janssens", powielone 1938 r., a w 1947 r. wydane drukiem. - „Kartoteka Haberstroh" stanowi bogaty skarbiec przejrzyście posegregowany. Haberstroh nie mógł jednak wykorzystać licznych oryginalnych pism Założyciela, które z racji procesu znajdowały się w Kongregacji Rytów. Poza tym bogaty zbiór ogranicza się jedynie do ogólnego obrazu Założyciela, a nie przedstawia faz rozwójowych w jego życiu.

Ojciec generał Grosse Kappenberg kazał sobie stale przedkładać te wyciągi, nawet w czasie podróży musiano mu je dosyłać. Pojedyncze arkusze dzielił na: bardzo dobry, dobry, mniej dobry. Następnie pow-

[6] Por. trochę inne sformułowanie w „Nuntius SVD" 1947, s. 323

stal problem: Jak materia! ten opublikować? Nie było tu jednomyślności. Ojciec Generał umarł, a pytanie pozostało bez odpowiedzi.

Kapituła Generalna z 1958 r. powróciła do postanowienia poprzedniej Kapituły, formułując je jednak inaczej: wyraziła życzenie wydania pism Założyciela, a prócz tego - pisma periodycznego do użytku wewnętrznego Zgromadzenia, w którym między innymi miano zająć się przede wszystkim spuścizną po Założycielu. Spełnieniu pierwszego wymagania służyły *Fontes Historia Societatis Verbi Divini* ze swoimi pierwszymi tomami, mianowicie Konstytucjami i formularzami ślubów w latach 1875-1947. Praktycznym jednak rozwiązaniem długiego oczekiwania było wydawanie periodyku do użytku wewnętrznego. Nowy przełożony generalny, ojciec Schutte, postanowił ponadto drukować powielany biuletyn dla przełożonych i oficjałów Zgromadzenia. Te dwa periodyki umożliwiły regularne publikowanie najrozmaitszych materiałów o Założycielu. W „Verbum" ukazały się materiały z „Kartoteki Haberstroh", mianowicie to, co było w niej najwartościowsze, tzn. wyjątki z listów Założyciela: ponad sto stronic druku; niezależnie od „Kartoteki" ukazywały się całe listy, np. korespondencja z pierwszych lat z Rzymem, sprawozdanie z misji w Szantung z 1885 r., pierwsze statuty z 1876 r., nieznane dotąd Vadeniecum z 1887 r., artykuły Założyciela z okresu bocholtskiego i pierwszych dwu lat po założeniu, które dotąd były nieznane. Juz w pierwszych trzech rocznikach obu periodyków dwunastu współbraci napisało przyczynki o Założycielu, np. o jego profesorze egzegezy i o egzaminie, który miał u niego zdawać; o używaniu języka holenderskiego w rodzinie Janssenów, o Założycielu jako dyrektorze studiów w St. Gabriel, o sporze z kuratorium szkoły w Bocholt pod koniec jego działalności nauczycielskiej, o staraniu się o obywatelstwo austriackie; jałmużnach, jakie wpłynęły do 1885 r.; o rozwoju ślubów przed 1885 r. i inne. Dalej obszerne sprawozdanie z trzeciej Kapituły Generalnej w latach 1897/98, następnie dysertacja doktorska o misji wśród Murzynów Ameryki Północnej, inne znowu o Kapitule Generalnej w latach 1909/10 z ważnymi Konstytucjami z 1910 r.

Są to wszystko publikacje o charakterze dokumentalnym lub tez wykorzystujące materiały z akt najczęściej zupełnie nieznanych. Pomiędzy nimi ukazują się wspomnienia o A. Janssenie, wśród nich oba odczyty ojca Hilgera. Jednak większość z nich, to prace ściśle historyczne. - Tak więc w ciągu dziesięciu lat przedstawiono członkom Zgromadzenia szereg krótszych lub dłuższych, ważnych lub mniej ważnych dokumentów z życia Założyciela i jego duchowości; do tego dodać należy bogato udokumentowane artykuły, przedstawiające krótsze lub dłuższe okresy jego działalności. Wszystko to stało się możliwe dzięki bezgłośnej redakcyjnej współpracy wielu ludzi. Oparcie się o listy, jak i o dokumenty z tamtych czasów, uniemożliwiło idealizowanie portretu Ojca Arnolda Janssena. Ten sposób opracowań pozwolił przedstawić nie jakąś schematyczną sylwetkę z tradycyjnej hagiografii, ale postać barwną, bogatą, zmienną, jak samo życie - życie sprzed sześćdziesięciu i stu laty. Za każdym razem brana jest pod uwagę osobowość, której zachowanie się uwarunkowane było przez środowisko, czas poprzedzający stulecie, jak i przełom samego stulecia.

Kapituła Generalna z 1967/68 r. nie powzięła żadnej uchwały w sprawie publikacji materiałów o Założycielu; może dlatego, iż problem ten został rozwiązany, a potrzeba zaspokojona, a może także dlatego, że nowe pokolenie nie było tym zainteresowane. Nowy przełożony generalny, ojciec Musinsky, na początku 1968 r. podał kilkakrotnie do wiadomości, że Kapituła nie wykazuje zainteresowania woluminami tekstów Konstytucji; potwierdziła to wzmianka „rzecznika" Kapituły. Czego sobie życzą - powiedział ojciec Generał - to biografii ujętej w tym samym rzeczowym tonie, co ogłoszone dotychczas przyczynki. Nowe pokolenie zdecydowało się na obiektywny portret Założyciela.

PODWÓJNY PORTRET W PROCESIE ZAŁOŻYCIELA

W latach 1933/34 wicepostulator zebrał świadków potrzebnych do procesu i poinstruował ich swoimi „Artikel". Dnia 15 stycznia 1933 r. rozpoczęto w Steyl proces, zakończony we wrześniu 1938 r.

Treści tego, co zeznało ponad stu świadków, nie znał nawet wicepostulator. Z czasem poznało je tylko nieliczne grono w Generalacie.

Zeznania świadków w procesie beatyfikacyjnym, to wspomnienia. Wspomnienia odświeżone dzięki „Artikel" wicepostulatora i pytaniom sędziego. Zeznania świadków podlegają ogólnym prawom ludzkiej pamięci, jak i ich fałszywym źródłom, na które częściowo wpłynęły „Artikel"; ma także na nie w pływ uroczysta oprawa kościelnego sądu, atmosfera przysięgi, itp.

W oparciu o te zeznania z pamięci rozpoczęły się dalsze kroki postępowania procesowego. Decydujący głos ma tu jednak *promotor fideigeneralis,* zwany pospolicie adwokatem diabła, i jego współpracownicy. Zajmują się oni pedantycznie każdym drobiazgiem, który w przesłuchaniu świadków mógłby stanowić jakąś sprzeczność. Wśród przeszkód istnieją przeszkody realne, obiektywne. Nierzadko jednak istnieją scholastyczne sofizmaty, które prowadzą donikąd.

Podobnie jak podchwytliwe pytania *advocatus diaboli* mają wsparcie w zeznaniach świadków, tak i obrona zbija je przez przytoczenie wypowiedzi innego świadka. Tak więc spostrzeżenie i pamięć jednego świadka są przeciwstawiane spostrzeżeniu i pamięci drugiego, przy czym rzadko zwraca się uwagę na kompetencję jednego czy drugiego świadka w danej sprawie. Jeśli *advocatus diaboli* zadowoli się taką odpowiedzią, sprawa jest załatwiona. Jeśli nie, obrońca ma możliwość opuścić salę przesłuchania świadków, pójść do archiwum i odszukać odpowiednie akta z danego okresu, by sprayyę wyjaśnić. Tym sposobem zeznania śyyiadków opierające się jedynie na pamięci, obalone zostają dowodem. Jeśli dowód jest dobrze przeprowadzony, sprawa zostaje raz na zawsze załatwiona; *proatrator fidei* więcej nie atakuje. W ten sposób obrońca, który rozpoczął proces z niepewnymi świadkami, musi sięgnąć po argumenty udokumentowane. *Promotor fidei* swym postępowaniem przyczynia się zasadniczo do tego, ze w procesach dowód historyczny zaczerpnięty z akt nabiera znaczenia, a dowody pochodzące z zeznań świadków, opierające się jedynie na pamięci, tracą na wartości.

Dlatego rozumiemy, że w Rzymskiej Kongregacji istnieją dwie tendencje. Jedna dostrzega w przesłuchaniu śyyiadków właściwy fundament całej procedury, zaś dowód historyczny dopuszcza jedynie na zasadzie uzupełnienia luki. Druga natomiast podkreśla zasadniczą potrzebę i priorytet badań historycznych. Wpływ tej drugiej tendencji wzrósł od kiedy Pius XI, sam historyk, ustanowił *officium historiami* wewnątrz Kongregacji. Zdaje się, że obecnie, od początku procesu, stało się prawie regułą, aby dostarczać obiektywny życiorys historyczny, yv którym jest także mowa o trudnościach i ich bezstronnym badaniu.

Nigdy jednak historycy nie będą górą. Pozostaje bowiem przesłuchanie świadków. Jednak jakkolwiek mogą być one ważne dla historycznego portretu kandydata, to ważniejsza jest tak zwana opinia o świętości *(fama sanctitatis):* Czy kandydat na ołtarze już za życia cieszył się opinią świętości? A jeżeli nie za życia, to czy po śmierci? Natychmiast czy potem? Opinie o świętości chętnie wypowiadają jego pobożni czciciele i podają tego liczne dowody. Największe znaczenie ma to, jeśli modlą się do Sługi Bożego i spodziewają się jego orędownictwa u Boga. Początkowo nie ma znaczenia, czy modlitwy zostaną wysłuchane czy też nie. Mogą jednak zdarzać się przypadki, w których modlący się uwierzył, że jego ufność w orędownictwo doznała spełnienia, a jego modlitwy zostały wysłuchane. Takie modlitwy i takie wysłuchanie modlitw jest potężnym dowodem dla opinii o świętości, a zadaniem pierwszej części procesu jest udowodnienie tego.

Pobożni czciciele są również potrzebni w drugiej części procesu beatyfikacyjnego, procesu cudów. Historycy - choć nawet mają wszystkie dokumenty - nie są w stanie sprawić żadnego cudu za przyczyną Sługi Bożego, jeżeli nie znajdą modlących się. Indywidualny czytelnik przez historycznie wiarogodny życiorys tych, którzy powołują się na wysłuchanie modlitw w Sekretariacie Arnolda Janssena w Steyl, nie odkryje drogi do Ojca Arnolda przez tak zróżnicowane opisy, tylko prawdopodobnie przez maleńką broszurkę z nowenną, przez portret nabożnie nakreślony na dwu lub czterech stronicach, a może przez jeszcze krótszy tekst, gdzie przedstawiono drogę Ojca

Arnolda do Boga, jego nieustanną modlitwę, ufność w Boga, ofiarę misyjną, ducha pracy, skromność: krótko i dobitnie; i gdzie nie mówi się o jego błędach i słabostkach, które w porównaniu z jego zjednoczeniem się z Bogiem, nie mają znaczenia. Nie portret realistyczno-historyczny, lecz dobitnie ikonograficzny działa i działał w najszerszych kręgach nie tylko prostych ludzi, ale i uczonych. Idealizujące krótkie teksty - podobnie jak niepewne, ale budujące wspomnienia - są na równi potrzebne do procesu z gruntownymi badaniami historycznymi.

Tak więc obydwa języki i obydwa obrazy są usprawiedliwione. Gdy chodzi więc o portret Ojca A. Janssena, bronić swego punktu widzenia mogą obie tendencje w Kongregacji Rzymskiej, jak i stawać do walki oba stronnictwa tych tendencji wewnątrz Zgromadzenia. Są to dwa różne portrety, dwa różne języki, współistniejące obok siebie. Jest to język jeszcze wciąż żywej tradycyjnej pobożności ludu, jak i język fachowców, języki od dawna uwzględniane w procesach przez Rzymską Kongregację, jeżeli nie po mistrzowsku, to w każdym razie w sposób skuteczny i możliwy do przyjęcia.

Przemawia to za mądrością Rzymskiej Kongregacji, od której zarówno środowisko wicepostulatora, jak i jego przeciwników mogłoby się dużo nauczyć; mądrość ta, to wzajemna tolerancja. Albo - zgodnie z językiem przyjętym w ostatnich latach - prawdziwy i możliwy pluralizm.

(Za: *„Nova et Vetera"* 1974, s. 3-18).

Tłumaczył J. Tyczka SVD

Fritz Bornemann SVD

STAŁE I ZMIENNE RYSY W OBRAZIE NASZEGO ZAŁOŻYCIELA

Wstęp

Kiedy ojciec Arnold Janssen rozpoczynał działalność w Steyl, Holendrzy nazwali go „het Pruisische Manneke" (pruskim człowieczkiem)[1]. Biskup Vaughan, późniejszy kardynał Londynu, który w styczniu 1876 r. odwiedził nowy Dom Misyjny, opowiadał o swoich wrażeniach na pewnym zebraniu i nazwał Rektora Janssena „a little fellow" (małym towarzyszem). Przed kilkoma laty brat Walter Drathen spytał osiemnastu współbraci, którzy znali ojca Arnolda osobiście: „Jak wysoki był ojciec Arnold"? Odpowiedź brzmiała: „mial 164 centymetry". A więc nasz Założyciel był niskiego wzrostu.

Chodził, jakby się ciągle śpieszył. Prawą nogę stawiał mocno, przechylając się w prawo, a lewą - pociągał za sobą. Nie był to żaden paraliż, lecz jego sposób chodzenia.

Kiedy szedł po schodach, w górę czy w dół, można powiedzieć, że niemal podskakiwał, bo rzeczywiście śpieszyło mu się zawsze. Ale nie wtedy, gdy odmawiał brewiarz; np. klerycy w St. Gabriel stali u dołu schodów i czekali aż dojdzie na górę zatopiony w swoim brewiarzu.

Należał do marnych śpiewaków, o czym już nieraz wspominano, niemniej do ostatniego roku życia w wielkie święta odprawiał uroczyste sumy, ćwicząc przed tym z jednym z chórzystów.

[1] Referat wygłoszony 15 stycznra 1968 t. wobec Kapituły Generalnej SVD oraz 24 października 1968 r. wobec Kapituły Generalnej SSpS.

Mial jasnoblond włosy, które z czasem stały się siwe. Brwi i rzęsy bardzo jasne. Oczy brązowe. Nos, jak głosiło orzeczenie wojskowe ~ wydatny. Ale nie był przez to brzydki. Gdy na wystawie misyjnej we Włoszech wystawiono jego portret z czasów pobytu w Bocholt, niektórzy zwiedzający wołali: „Ecce Papa Montini". Z latami zatarły się jego regularne rysy. Na fotografii zrobionej w około pięćdziesiątym roku życia widać lewe oko szeroko otwarte, prawe natomiast zmniejszone i przymknięte. Możliwe, ze było to w wyniku operacji, jakiej musiał się w 1889 r. poddać w Essen, by usunąć narośl przy lewym oku.

Na początku 1884 r. przeszedł ciężkie zapalenie płuc, musiał leżeć w łóżku około 6-8 tygodni. Była to jego „pierwsza choroba" - jak sam twierdził. Zapewne więc aż do tego czasu, tzn. do pięćdziesiątego roku, cieszył się dobrym zdrowiem.

Od tej pory był jednak wrażliwy na przeziębienia i cierpiał na gardło aż do utraty głosu. W styczniu 1905 r. lekarz stwierdził cukrzycę. Dalszy rozwój choroby jest juz znany.

Tak jak szeroko otwarte lewe oko zmieniło znacznie wyraz jego twarzy, tak tez z biegiem czasu zmienił się sposób jego postępowania sposób rządzenia, a może nawet charakter. Można powiedzieć: ojciec Arnold rósł, rozwijał się, dojrzewał. I to pewnie jest najbardziei interesujące w jego życiu.

Zmiany w życiu Arnolda Janssena

1.

W pierwszych dziesiątkach lat obawiano się jego spojrzenia, wzrok miał ostry, a spojrzenie przenikliwe. Uczniów, którzy mu się przedstawiali, potrafił tak przeszywać wzrokiem, ze się wystraszyli. Gdy miał sześćdziesiąt trzy - sześćdziesiąt cztery lata jego zachowanie i spojrzenie stało się bardziej łagodne, serdeczne i ojcowskie. Czyz byłby to znak starzenia się? Po pierwsze, nie wszyscy mężczyźni z wiekiem stają się serdeczniejsi i ojcowscy; bywają tacy, którzy się

izolują, są nieżyczliwi i uparci. Założyciel stał się ojcem. Świadkiem tego jest ojciec Gier, który miał bystre oko i dostrzegał wszystkie wady i zalety charakteru tak współbraci, jak i swoich przełożonych. W 1901 r. miał trzydzieści lat, zaś jego przełożony sześćdziesiąt, ale ta różnica wieku nie przeszkodziła mu przekazać na piśmie, na 54 stroniczkach wielkości kartki pocztowej, btaterskiego napomnienia; inspiratorem tego był ojciec J. Kiisters. Ten niewiarygodny czyn znany był niewielkiemu gronu. Jeśli więc ojciec Gier stwierdził później: „Założyciel około 1900 roku stał się prawdziwym ojcem", to nie może powiedzieć: ponieważ ojciec Kiisters i ja daliśmy mu upomnienie na 54 stronach. Mając jednak na uwadze braterskie upomnienie, możemy lepiej zrozumieć stwierdzenie ojca Giera o zmianie zaszłej w charakterze Założyciela. Zmiana usposobienia ojca Arnolda prawdopodobnie była nie tylko objawem starzenia się; ten stary człowiek raczej posiadał zdolność uczenia się i zmieniania sposobu swego postępowania, nawet w stosunku do podwładnych.

Do połowy swego życia odznaczał się rzeczowością i surowością. Obie te cechy wyniósł z domu rodzinnego, w którym pracowano bardzo ciężko. Kiedy zachorowała jego młodsza, niezamężna siostra, Gertruda, zarabiająca na chleb na służbie w różnych domach i powróciła do rodziny w Goch, licząc że przestanie teraz pracować, rodzeństwo obstawało, zeby gdy tylko wróci do zdrowia, na nowo poszła do pracy. Prawdopodobnie Założyciel pomógł jej znaleźć nowe miejsce pracy.

Ten chłód i pragmatyzm, który wyniósł z domu rodzinnego, pogłębił się jeszcze w czasie pobytu w seminarium biskupim w Gaesdonck. Doktor Perger, dyrektor i wychowawca, równocześnie nauczyciel matematyki, ulubionego przedmiotu Arnolda, zachowywał rezerwę w stosunku do uczniów, był sztywny i urzędowy. Bezpośrednim celem jego pracy wychowawczej byt me pojedynczy uczeń, lecz klasa, grupa. Dyrektor był osobą, dla której miało się respekt i z którą rzadko kiedy miało się bezpośredni kontakt. Jeśli Arnold Janssen w swoim małym Domu w Steyl szukał dla siebie, jako rektora, wzoru postępowania - prawdopodobnie widział go yv dr Pergerze. Również w Steyl nie brało się na początku pod uwagę jednostki, lecz gru-

pę. Arnold Janssen wychowywał pierwszych uczniów, pierwszych braci i pierwsze siostry. Pierwszym wychowawcą była jednak sama grupa. To ona starała się, by każdy podporządkował się przepisom; np. respektowanie porządku dziennego: kto się temu nic podporządkował, ten bywał przez samą grupę odrzucany i wydalany. Zadaniem wychowawcy było interweniować tylko w wyjątkowych przypadkach, bacząc, by osobom wartościowym nie wyrządzono krzywdy.

2.

Z Gaesdonk przejął tez Założyciel np. zwyczaj uroczystego obchodzenia imienin rektora; początkowo był to najuroczystszy dzień w roku, później na równi nawet uroczysty ze świętem Bożego Narodzenia. W dniu tym dwóch przedstawicieli wspólnoty udawało się do jego pokoju i przyprowadzało go do auli, sadowiło na honorowym miejscu, i wówczas rozpoczynała się uroczystość, która trwała półtorej godziny; po jej zakończeniu odprowadzono go uroczyście do pokoju. Znamienne jest, że w późniejszych latach uroczystość imieninową zastąpiono wspólnym świętem rodzinnym - i to właśnie w czasie, kiedy stwierdzono u Arnolda wzmagające się uczucia ojcowskie: „pan" zstąpił z piedestału i zasiadł w kręgu swojej rodziny.

Uwagę naszą zwraca jeszcze coś innego. Rektor przez długie lata miał zwyczaj zapraszać do siebie na kawę czterech bądź sześciu uczniów misyjnych, którzy w ostatnim tygodniu lub w ostatnich czternastu dniach mieli imieniny. Z czasem powiększyła się liczba uczniów, a równocześnie Rektor stał się Przełożonym Generalnym wielkiego dzieła misyjnego. Nie mogło być więc tak dalej, jak w pierwszych dwudziestu latach.

3.

Zmienił się też stosunek między uczniami a nauczycielami. Przez lata panowały tu stosunki rodzinne. Przy tak małych kursach nauka odbywała się w pokojach. Zmieniło się to w 1892/93 r. Powodem zmiany były poważne uczniowskie nadużycia. Ojciec Arnold udał się do prowincjała niemieckich jezuitów, by dowiedzieć się, jak oni zareagowaliby na taki wypadek. Przejął wówczas od jezuitów zasadę: „ie tylko uczniom, ale i współbraciom nie wolno wchodzić do pokoju kapłana; wszystko należało załatwiać przed drzwiami. Była to dotkliwa ingerencja w atmosferę Domu.

Ponadto zaostrzono system seniorów w poszczególnych grupach uczniów i wprowadzono zwyczaj składania pisemnych informacji dotyczących nawet drobnych przewinień w jadalni. Inicjatorem takiego oficjalnego - powiedzmy szczerze - systemu denuncjacji nie był Ojciec Arnold, lecz prefekt uczniów i pewien bardzo wpływowy nauczyciel. Ale Przełożony Generalny aprobował to. Co zaś dotyczy odwiedzin w pokojach, to pomysłodawcą był Janssen. Przestrzegano tego przez długie lata, nawet po śmierci Założyciela.

4.

Dopiero po 1900 r. prefektura i cały system wychowania uległ zmianie. Juz w 1898 r. usiłował Ojciec Generał przenieść prefekta Wegenera, który przez dwadzieścia lat sprawował swój urząd, ale nie udało mu się. Dopiero w r. 1902 ojciec Wegener zgodził się na przeniesienie, i pod silną presją objął wreszcie funkcję rektora Domu w St. Gabriel. Prefektem w Steyl został ojciec Handrup, wielki skrupulant, co jednak nie przeszkodziło, że jako prefekt zyskał miano liberała. Założyciel brał jednak jego stronę. Za czasów rektoratu ojca Handrupa skrócono ćwiczenia religijne uczniów; zmniejszono liczbę nocnych adoracji, zaniechano odczytywania rozmyślania w czasie Mszy św. Przede wszystkim jednak ograniczono prace fizyczne. Z chwilą zakończenia budowy automatycznie odpadło wiele prac; pomoc uczniów w drukarni, pakowni, przy ekspedycji stała się teraz wyjątkiem. Ojciec Handrup chciał mieć przede yyszystkim pilnych studentów. Popiera! tradycyjne gry sportowe, prawadził ćwiczenia gimnastyczne, kład nacisk na sport. Mówiono o zeświecczeniu uczniów misyjnych; po śmierci Założyciela kontynuowano jednak ten program, o czym przełożony generalny ojciec Blum mówił dość wyraźnie w okólniku.

5.

Redukcja ćwiczeń religijnych wprowadzona przez ojca Handrupa była już drugą z kolei. Pierwsza miała miejsce w latach 1886/1888. Na wiosnę 1886 r. pod koniec pierwszej Kapituły Generalnej, miody, nowo konsekrowany biskup Anzer postawił wniosek, aby „zmieniono poranne i wieczorne modlitwy, i zniesiono przydługie piątkowe". Dziesięciokrotne odmawianie „Mój Jezu, miłosierdzia" i „Słodkie Serce Maryi..." w modlitwach piątkowych utrzymało się jeszcze nadal przez dłuższy czas, ale poranne i wieczorne modlitwy skrócono.

Latem 1886 roku przebywał w Steyl ojciec Medits. Przekazał on Rektorowi skargi na piśmie kapłanów i braci zakonnych, które zebrał w poufnych rozmowach; w wyniku tego spowiedź braci, odbywająca się do tej pory o godzinie 21.00, po wieczornych modlitwach, przełożono przed kolację, w praktyce zaś na godziny dotychczasowej pracy. Skrócono nabożeństwa. Długotrwałe klęczenie zastąpiono staniem na czas trwania śpiewu. Po zniesieniu członkostwa braci w Trzecim Zakonie zredukowano odmawianie siedemdziesięciu sześciu Ojcze nasz, Zdrowaś i Chwata Ojcu do dwudziestu.

6.

Jednocześnie nastąpiło rozluźnienie ubóstwa. Praktykę licznych fizycznych prac oraz przestrzeganie ubóstwa przejął rektor Janssen z gimnazjów francuskich jezuitów; według nich życie uczniów gimnazjalnych miało od samego początku przyjąć charakter nowicjacki. Jeśli kapłani w początkach istnienia Domu Misyjnego mówili coś o Steyl, to przede wszystkim o jego ubóstwie i skromnym wyżywieniu. Zmieniło się to po 1885 r. Najpierw polepszyło się jedzenie. Wkrótce po 1885 r. odpadły trzy dni w tygodniu abstynencji z dominikańskiej reguły, na stole pojawiło się mięso; w ogóle kuchnia stała się lepsza i obfitsza. W 1889 r. powstał nawet mały browar. Uczniowie także dostawali piwo. Dopiero po 1885 r. wstawiono do pokojów kapłanów szafy. Do tej pory musiał wystarczyć gwóźdź wbity

w ścianę na sutannę i płaszcz; wszystko to okrywano prześcieradłem, aby nieco uchronić od kurzu.

7.

We wszystkich nowych placówkach europejskich panował taki porządek dzienny jak w Steyl, tygodniowy i miesięczny. Nawet na rekolekcje, a także początek i zakończenie semestrów - wyznaczano możliwie tę samą datę. To powszechne ujednolicenie porządku domowego, na co ojciec Generał kładł nacisk, odbijało się przede wszystkim na nim samym, bowiem ojciec Arnold łatwo zmieniał raz ustanowiony porządek. Donosił o tym proboszcz Bill w pierwszym roku po założeniu Domu, a ojciec Blum - z doświadczeń dziesięciu lat Domu, ze często i niespodziewanie zmieniano porządek dzienny albo inne, już „ostateczne" postanowienia. Wśród upomnień, jakie ojciec Medits wręczył Rektorowi, odgrywało i to także pewną rolę. Po 1890 r. ustały te ciągłe zmiany. Czyż zmienił się Rektor? Tak i nie. Kiedy ustalił porządek dla poszczególnych domów, to te i tak prowadziły własne, niezależne od niego, życie. Podczas swoich corocznych wizytacji me mógł interweniować. Musiał się liczyć z urzędami i władzami administracyjnymi, które z natury przeciwne były częstszym zmianom. Podobnie było nawet w Steyl. Nosił wprawdzie tytuł rektora Domu, ale zasadniczo kierownictwo w latach 1885-1902 spoczywało w rękach prefekta studiów, Wegenera, a po 1902 - ojca Bluma. General miał pierwsze miejsce przy stole, prowadził konferencję niedzielną dla całego Domu, a we wtorki dla kapłanów; także otwierał i zamykał rok szkolny, łącznie z uroczystym podsumowaniem egzaminów; co było najważniejsze, w jego ręku spoczywało przyjmowanie nowych zgłoszeń. Skoro jednak urząd rektora, prefekta, prokuratora, mistrza nowicjatu braci, kierownictwa oddziału braci, dyrekcji drukarni oraz redakcji przeszły w inne ręce - automatycznie podnosiły się protesty przeciw częstym zmianom. Tak więc: skłonność do zmian Założyciela została zahamowana przez jego własne dzieło. Każde dzieło rządzi się własnymi prawami, którym jego twórca musi się podporządkować.

8.

Przykładem tego może być fakt, że Rektor stawał się z czasem coraz punktualniejszy. W pierwszych latach funkcjonowania Domu mieszkańcy musieli nieraz czekać na rozpoczęcie Mszy św. lub innego nabożeństwa; zdarzały się także opóźnienia w jadalni i na konferencjach. W 1886 r. bp Anzer delikatnie zauważył: Należałoby w zakrystii lub gdzieś w pobliżu umieścić zegar, by nabożeństwa rozpoczynały się punktualnie. Podobnie wyraził się ojciec Medits, czekając na podwieczorek. Ten brak punktualności możliwy był tylko na początku, gdy rodzina steylowska była jeszcze nieliczna, a rektor piastował wiele urzędów. W małej rodzinie pięć czy dziesięć minut nie odgrywa większej roli. Kiedy ojciec Medits przekazał Założycielowi swoje uwagi na piśmie, społeczność nie była już wtedy małą rodziną; liczyła 130 uczniów klas gimnazjalnych, 70 alumnów na studiach wyższych, 100 braci, nowicjuszów i postulantów - Od 1900 r. lub i wcześniej, nie było już powodu do napomnień. Ojciec Blum, chodzący wzór porządku, na pewno dałby gdzieś wyraz swemu niezadowoleniu. Po 1900 r. słychać było jeszcze skargi na przydługie siedzenie ojca Generała przy stole, szczególnie przy śniadaniu w niedzielę i w święta, podczas którego miało miejsce kolokwium. Niektórym jednak to się podobało. Generał wdrożył się w ustanowiony przez siebie porządek, stając się sługą własnego dzieła.

9.

Podobne problemy powtarzały się jeszcze za czasów następnych przełożonych generalnych. Ojciec Gier np. jako magister nowicjuszy usunął cały zestaw pobożnych ćwiczeń Zgromadzenia, przede wszystkim wiele wspólnych modlitw, nawet kwadransowe. Będąc jednak na stanowisku przełożonego generalnego, stał się wiernym stróżem tradycji. - Kiedy był magistrem otwarcie wskazywał na słabe strony dużych Domów, takich jak Steyl czy St. Gabriel, i ubolewał nad zaniedbaniami poszczególnych ludzi, zwracał także uwagę na niezdrowe umasowienie. Gdy jednak został przełożonym generalnym, rozbudował Dom St. Augustin, będący dotąd tylko nowicjatem

dla kleryków, do pełnego studium filozoficzno-teologicznego, na wzór St. Gabriel, który przedtem krytykował.

Podobnie ojciec Grendel. Jako rektor Domu St. Gabriel musiał - on, profesor dogmatyki - nieść w Noc Bożego Narodzenia figurkę Dzieciątka z auli do kościoła; był wtedy jednoznacznie za zniesieniem procesji, przynajmniej w scholastykacie. Jednak żaden inny z przełożonych generalnych nie bronił tak tradycji Zgromadzenia, włącznie z procesją z Dzieciątkiem, jak ojciec Grendel, kiedy był generałem.

Piastun urzędu musi się podporządkować prawom urzędu. W przypadku Ojca Arnolda jest to tym bardziej interesujące, że będąc twórcą dzieła, nie przeczuwał, iż w wielu przypadkach będzie, przez nie zawładnięty.

10.

Jeszcze inne wtórne oddziaływanie dzieła na Założyciela godne jest wzmianki. Jako nauczyciel wyższej szkoły miejskiej pracował 12 lat w małym mieście Bocholt. Gdyby tam pozostał, stałby się niewątpliwie zwykłym szarym belfrem. Był to mały światek. Roszerzył się on dopiero przez zainteresowanie się Apostolstwem Modlitwy; dzięki niemu pochłonęły go sprawy Kościoła. Ale zakres tej pracy byl specyficzny; pracował przecież tylko dla pobożnego stowarzyszenia, pisał broszurki i druczki z intencjami modlitewnymi; drukował je na własny koszt i kolportował w czasie podróży. Był nauczycielem matematyki w małej szkole i wybijał się dla własnych religijnych zapotrzebowań w jakimś kościelnym stowarzyszeniu.

Po Bocholt przeniósł się do Kempen i wydawał „Małego Posłańca Serca Jezusowego". Od religijnego stowarzyszenia przeszedł na redaktora pisma misyjnego, jego spis lektur wskazuje teraz na wielkie dzieła geograficzne, historie odkryć geograficznych oraz historię misji. Zapoznaje się z historią misji katolickich wszystkich kontynentów.

W końcu decyduje się założyć Dom Misyjny w Holandii. Jak dawniej w sprawacli Apostolstwa Modlitwy odwiedzał parafie i klasztory, tak teraz w sprawie Domu Misyjnego odwiedza biskupów, kardynałów, nuncjuszów. Kupuje dom, snuje plany budowy, rozpoczyna ją, kupuje kamienie, drewno, wapno, angażuje robotników i nadzoruje ich. Przygotowuje program nauczania dla uczniów misyjnych. Studiuje plan)' innych seminariów duchownych i koresponduje z seminariami misyjnymi we Francji, w Belgii, we Włoszech, w Anglii. Prowadzi szkołę średnią i studium filozoficzno-teologiczne, sam uczy różnych przedmiotów: filozofii, dogmatyki, teologii moralnej, katechetyki, homiletyki i innych. Trzy lata po założeniu Domu rozpoczyna wydawanie „Stadt Gottes", tygodnika ilustrowanego o wielkim formacie, jak na owe czasy. Udaje się trzykrotnie do Rzymu i pertraktuje na temat misji w Chinach. Zakłada instytut dla braci zakonnych. Po pięciu latach skromnych początków, Rektor Janssen z pewnością już me jest zwykłym belfrem. Rozwinął się i rozwijał wraz ze swoim dziełem. Rozwija się też wraz z instytutem sióstr, który postawił go przed zupełnie nowymi zagadnieniami, i zmusza niemal do stałego kontaktu z siostrami, choć z kobietami miał dotąd mało do czynienia. Utrzymuje w stosunku do nich nienaganny dystans. Nie jest jednak skrępowany, lecz swobodny i naturalny, jak ojciec rodziny, który w razie potrzeby otwarcie, niemal jak lekarz, musi mówić na temat)[1] zdrowia i higieny.

W tym „nowym", które rozrastające się dzieło wnosi do jego osobistego życia, Arnold Janssen pozostał pewny siebie. To, że wzrastał w coraz to nowe dziedziny życia, było dlań zupełnie zrozumiale.

11.

Zimą 1 875/76 roku zarzucili mu trzej klerycy, że o wszystkim sam decyduje i o nic nie pyta. W lecie 1876 r. już pyta i razem z seminarzystą Anzercm pisze regułę. W 1890 r. przy zakładaniu Zgromadzenia sióstr uważa zasięganie opinii za zupełnie oczywiste. Pyta nie tylko siostrę Marię i siostrę Józefą, ale pyta wszystkie, nawet najmłodszą postulantkę. Oczywiście, radzi się nic w sprawach Konstytucji,

ale w innych. W sierpniu 1891 r. poleca .15 członkiniom przyszłego zgromadzenia sióstr (według prawa kościelnego wszystkie były tylko postulantkami) wysunąć na piśmie kandydatki na przełożoną, asystentkę i jedną radczynię. Tymi propozycjami nie czul się zobowiązany, ale chciał znać ich zdanie. Helena Stollenwerk otrzymała trzy głosy na przełożoną, 5 na asystentkę. Hendrina Stenmanns odwrotnie: 5 na przełożoną, 3 na asystentkę. Mianował jednak Stollenwerk przełożoną, a Stenmanns - asystentką.

Kilka miesięcy później zażądał nowych propozycji już od 20 postulantek i dokonał przegrupowania. Trzy najstarsze tworzyły ścisłą radę, a cztery inne - rozszerzoną. Tym razem postąpił zgodnie z wysuniętymi propozycjami; każda z czterech radnych otrzymała 13-15 głosów.

12.

Jeszcze jedna sprawa przy zakładaniu Zgromadzenia Sióstr warta jest uwagi, mianowicie sposób przyjmowania kandydatek. Kiedy w roku 1877/78 Założyciel zaczynał tworzenie instytucji braci zakonnych, nie był zbyt krytyczny w przyjmowaniu postulantów. Brat Marcin napisał kiedyś: „Miało się wrażenie, że przyjmuje każdego". Właściwa selekcja następowała dopiero wśród postulantów. Na 100 tylko 42 poszło do nowicjatu; 37 dopuścił do pierwszych ślubów. U sióstr było inaczej; na 100 postulantek przeszło 81 do nowicjatu, a z tych 66 - do pierwszych ślubów. A więc niemal dwa razy tyle, co u braci. Wysoki procent sióstr wskazuje, że Założyciel wybierał teraz dokładniej i troskliwiej. Z 193 kandydatek na siostry przyjął tylko 35 do postulatu, tzn. tylko 18 procent; z 5 zgłoszeń tylko jedną. Sam przeglądał wszystkie papiery. Te, które zostały wytypowane, musiały się osobiście zgłosić na rozmowę. Wtedy dopiero zapadała decyzja. Ulubioną metodą ojca Janssena było odkładanie przyjęcia na rok; jeśli kandydatka ponownie się zgłosiła, zapisane to było na jej korzyść.

Czyż wynikało to z doświadczenia, jakie miał z braćmi? Prawdopodobnie tak. Zgłoszeń na siostry było jednak więcej, mógł więc wybierać. Kiedy pierwszy apel o powołania do zgromadzenia sióstr

umieścił w „Kalendarzu św. Michała" i w innych czasopismach, to wiadomość o tym w lecie 1890 r. dotarła do 120 000 rodzin. Gdy natomiast apelował o powołania braci, nakład „Kalendarza" i czasopism był o wiele skromniejszy. Dlatego też było o wiele mniej zgłoszeń. Później zmieniło się to; procent postulantów przyjętych do nowicjatu oraz dopuszczonych do ślubów był równie wysoki, jak u sióstr, tzn. przeprowadzał surową selekcję kandydatów już przed przyjęciem ich do postulatu.

Oto kilka przykładów rozwoju w sposobie postępowania i zarządzania, które częściowo dotyczą charakteru Założyciela. Oprócz nich nie wolno jednak przeoczyć tych momentów, które świadczą, ze Ojciec Arnold Janssen pozostał stały i niezmienny.

Stale rysy w obrazie O. Arnolda Janssena

Nie będziemy tu przedstawiać pełnego obrazu, ani też głównych cech jego charakteru, np. nadprzyrodzonej wiary, która niemal góry przenosi, albo całkowitego zaangażowania się na rzecz misji. Chcemy jedynie uwypuklić pewne rysy celem krótkiej charakterystyki.

1.

Był pilny. Jego dzień pracy wydłużał się do późnej nocy. Nie wiedział co to są wakacje. Tak postępował w 1875 r. i trzydzieści lat później. Zaczął się oszczędzać dopiero od 1905 r, kiedy cukrzyca robiła postępy. Ojciec Blum był równie pracowity; Założyciel nie chwalił go jednak; rzetelną pracę uważał za coś normalnego; owszem, mówił: ojciec Blum napisze trzy listy, a ja jeden; jemu robota idzie dużo szybciej, mnie wolniej. Mimo to osiągnięcia Ojca Janssena są bardzo wielkie. Sam napisał ponad 1500 arkuszy in folio Reguł. Jego notesy pełne są zapisków. Sporządzał wykazy kapłanów, braci, sióstr, alumnów; nie było wówczas żadnych drukowanych spisów; a jemu potrzebne były takie listy i kilkakrotnie na nowo je przepisywał. Następnie podział zajęć szkolnych, wykaz przedmiotów i godzin. Zapiski historyczne dotyczące poszczególnych Domów i ich oddziałów. A wreszcie korespondencja; dotąd zarejstrowano 5000 listów; w tym bardzo wiele pisanych odręcznie; maszynę do pisania zaczęto używać dopiero od lutego 1902 r. Nadto szkice do własnych wykładów, konferencji, rekolekcji i innych zajęć. Było nie do pomyślenia, żeby jego Zgromadzenie misyjne zajmowało się problemem wolnego czasu. Jego wiersze pochodzą sprzed 1875 r., a także z lat ostatnich, tzn. kiedy musiał się już oszczędzać; przez trzydzieści lat między pierwszym i ostatnim okresem nie miał czasu na wiersze. Nie zajmował się byle czym, ani me podejmował pracy według wolnego wyboru; robił to, i tylko to, co mu urząd wyznaczał; urząd zaś stawiał bardzo wysokie wymagania: zadał od niego każdej chwili i wszystkich sił. Wydaje się, że nigdy me prowadził dziennika. Przy całej swojej pobożności i głębokim zainteresowaniu się dogmatem i historią zbawienia, pozostał matematykiem i nauczycielem nauk przyrodniczych, zwróconym nie ku sobie, ale na sprawy i rzeczy. Niewiele mamy uwag odnoszących się do jego życia wewnętrznego.

2.

Był bardzo opanowany. Zachowały się trzy listy, których nie wysłał; jeden z nich radcy uważali za mało trafny; wszystkie zaś trzy pod jakimś względem za nie całkiem dobre. Listy, które wysyłał, są wyważone i działają kojąco. A musiał pisać czasem bardzo trudne listy. Ojciec Blum reagował prędzej i ostrzej; ojciec Gier również. Założyciel utrzymywał surową samokontrolę.

3.

Był prawdomówny. Nie posługiwał się intrygą. Nie mówił wszystkiego, co wiedział, ale to, co powiedział, było prawdą. Był prostolinijny, a jednocześnie roztropny.

4.

Poza opanowaniem i miłością do prawdy, trzeba również umieć milczeć. Gdyby przerwał milczenie, nie naraziłby się na tyle osz-

czerstw. Ale on milczał. *Jesus autem tacebat;* powiedzenia tego używał w swoich przemówieniach tak często, że bracia zakonni potrafili je nawet po łacinie poprawnie napisać.

Milczenie jest jedną z jego najbardziej wzruszających cech. Kiedy bp Anzer po ra pierwszy zapowiedział pełne zerwanie ze Zgromadzeniem (było to podczas Kapituły Generalnej pod koniec 1890 r. w St. Gabriel): „Jeśli ksiądz tego nie uczyni, wystąpię". - Było to dla Generała wstrząsem. Zgromadzenie steylowskie istniało dopiero 15 lat i liczyło sześćdziesięciu kapłanów. Anzer, młody biskup, stał na czele jedynej misji. Jego groźba dla Ojca Generała była przerażająca. Cztery tygodnie później Arnold Janssen pojechał do Rzymu. Jakąś swoistą tajemnicą okryta jest ta podróż. Czego tam szukał? Chciał w Rzymie zasięgnąć rady w sprawie konfliktu z biskupem. Przez trzy tygodnie bez celu przemierza! ulice miasta, zwiedzał święte miejsca, zachodził do niektórych urzędów Kurii, ale nic nie mówił o sprawach, które go tu sprowadziły. Tymczasem otrzymał list ze skruchą od Anzera. Konflikt został formalnie zażegnany.

Dwa lata później dotarła nawet do Rzymu wiadomość o konfliktach biskupa Anzera z częścią jego misjonarzy. W następnych łatach doszło do ostrych starć między biskupem a misjonarzami, których rzecznikiem był ojciec Freinademetz. Ojciec Generał ze względu na *meritum* sprawy musiał opowiedzieć się przeciwko biskupowi; samo prowadzenie się biskupa domagało się tego. Ostatecznie chodziło o ideał misjonarza, który przedstawiało Zgromadzenie. Przez dwanaście lat bp Anzer był (którego imię było znane prasie całego świata i który uchodził za wielkiego człowieka młodego Zgromadzenia misyjnego) prawdziwym krzyżem dla całej rodziny steylowskiej, i to coraz większym i coraz cięższym. Ojciec Generał jednak milczał. Nawet wówczas, kiedy bp Anzer w szczytowych godzinach napięć został w 1903 r. wezwany do Rzymu i tam nagle zmarł. Anzer, sławna postać w historii misji, miał ludzkie, nazbyt ludzkie słabości. Jego grób w Stolicy Piotrowej przypomina nam, że ojciec Arnold Janssen wyżej cenił wartości moralne (Królestwo Boże w nas), niż wszelką zewnętrzną działalność; wyżej także od sławy, uznania cesarzy czy królów, albo władców środków przekazu. Grób biskupa przypomina

nam, że Założyciel przywoływał do porządku nie tylko zwykłego współbrata, ale również sławnego, pewnego siebie biskupa. Zasadnicze ideały naszego powołania obowiązują wszystkich bez wyjątku. Nawet osoby piastujące wysokie stanowiska muszą swoim zachowaniem w pewnym stopniu odpowiadać ideałowi misjonarza. To był jeden z głównych wymogów Założyciela, który zawsze podkreślał; odnosiło się to do biskupa Anzera i ojca Freinademetza. Osąd historyczny (przy całej obiektywności dla biskupa) jednoznacznie przyzna rację Arnoldowi Janssenowi.

Jego stosunek do Kurii był podobny. Wiedział, co się jej należy. Uznawał jej autorytet, znał jej siłę i jej słabości. Nie poświęcił jej żadnej ze swych zasad. Podporządkował się jej jasnym decyzjom albo czekał, czasem długie lata.

5.

Jak sobie Założyciel wyobrażał ideał misjonarza? Widać to było przy przyjmowaniu alumnów, braci i sióstr. W tym względzie pozostał sobie wierny od początku do końca. W ostatnich dziesięciu latach życia napisał pół tuzina reguł dotyczących przyjmowania, coraz bardziej szczegółowych. Podstawowym jego założeniem było: wychować misjonarza, który oprócz innych walorów, będzie prawdziwie pobożny, mocny pod względem moralnym i stojący ponad przeciętność.

W 1876 r. Rektor zwolnił proboszcza Billa i Reicharta; z kleryków pozostał tylko Anzer. Ten przedłożył wtedy Założycielowi na piśmie szereg pytań, żądając „pewnej i jednoznacznej odpowiedzi".

1. Czy wszyscy członkowie Domu muszą stać się tercjarzami Zakonu św. Dominika?

   Rektor: Tak.

2. Czy wprowadzi się jakiś zewnętrzny znak [strój] i jaki?

   Rektor: Tego jeszcze nie wiem.

3. Czy będzie i czy musi być składana przysięga na czystość *[iuramentum]* ?

Rektor: Tak, ponieważ tylko mężowie czystych obyczajów mogą być przydatni w misjach.

4. Czy mogę przed święceniami pojechać do domu?

   Rektor: Nie, bo nie ma ku temu wystarczających powodów.

5. A jeśli mimo to pojadę do domu?

   Rektor: Wówczas jest Ksiądz zwolniony.

A gdyby Anzer oświadczył: nie złożę przysięgi! I gdyby mimo to pojechał do domu, co wówczas?

Rektor wiedział: wtedy zostaje sam. Miał nadzieję, że może wkrótce przybędzie jego brat Johannes. Ale odejście Anzera może oznaczać także koniec steylowskiego przedsięwzięcia: trzy kwartały po jego otwarciu? Rektor jednak trwał przy swoich żądaniach. Dlaczego? Ponieważ tylko mężowie i niewiasty czystych obyczajów mogą być przydatni na misjach. 1 tylko tacy, którzy całkowicie się podporządkują i będą posłuszni. Nie chodziło tu o dyskusję na temat przysięgi albo urlopu w domu rodzinnym, ale o to, że Arnold Janssen gotów był zrezygnować z ostatniego współpracownika i samego dzieła, jeśli alumni nie odpowiadaliby jego ideałom. Nie chodziło o dostarczenie pewnej liczby misjonarzy, ale o osobow-ości na odpowiednim poziomie moralnym.

W ciągu ostatnich dziewięćdziesięciu lat ludzie się zmienili. Może się okazać, że miara tamtych czasów nie jest odpowiednia dla współczesności. Ale nie o to tu chodzi. Sprawa tyczy tego, czy można częściowo zrezygnować z ideału na korzyść liczb, na korzyść statystyki. Założyciel chciał mieć elitę, elitę osób o wysokim poziomie moralno-religijnym. Jeśliby takiej nic miał, gotów był ograniczyć [działanie] Domu Misyjnego, a nawet go zamknąć.

6.

Zasady elitarności trzymał się do śmierci. Jeśli niektórzy współbracia się wahali, mówił (jeszcze przed 1890 r., kiedy liczba kapłanów i braci była mała): „Możesz odejść". Teologom przed subdiakonatem oświadczał bez ogródek: „Jesteście wolni: kto się w Zgromadzeniu niedobrze czuje, może spokojnie odejść". Sam gotów był takim pomóc w znalezieniu biskupa. Tej samej zasady trzymał się w stosunku do sióstr. Zwalniał również córki znakomitych rodzin i twardo obstawał przy swoim, mimo sprzeciwów i nalegania drugiej strony. Kiedy jedna ze zwolnionych chciała koniecznie wrócić, napisał do Matki Marii: „Niech się Siostra nie miesza do tej sprawy". Dziwna była ta jego mowa. Ale chodziło o narybek.

Śluby wieczyste do 1 896 r. klerycy składali dopiero w pięć lat po święceniach kapłańskich. Dla Generała, przygotowującego ich do ślubów wieczystych, była to okazja, aby życzliwie i wyraźnie wskazać na możliwość wystąpienia temu, kto ze względu na swoją osobowość nie nadawał się do Zgromadzenia, i dawał mu radę, by odszedł jako kapłan. A kiedy potem zgodnie z ogólnym rozporządzeniem Rzymu trzeba było składać wieczne śluby już przed subdiakonatem, myślał o pewnego rodzaju tcrcjacic (celem odnowy powołania), w okresie około 5 lat po święceniach kapłańskich, w którym to czasie można by sprawę wystąpienia szczęśliwie doprowadzić do końca. Było to oczywiście przeciwne przepisom kościelnym. Kryła się za tym jednak troska i dążenie, by nie dopuścić do obniżenia poziomu. Jeśli mówimy o duchu naszego Założyciela, to ta surowość w dopuszczaniu należy bezwzględnie do tej duchowości. Nie ilość, lecz jakość! Wymagał jej dla całej osobowości; u niego liczyła się przede wszystkim postawa moralno-religijna, a nie kwalifikacje techniczne czy zawodowe.

7.

Dochodzimy w końcu do ostatniej sprawy. Założyciel szukał ludzi stojących blisko Boga. Nie rezerwował na modlitwę długich godzin, oprócz tych, których wymagały wspólne ćwiczenia i obowiązki kapłańskie. Miał uznanie dla wielkich mężów modlitwy. Tylko tym da się wytłumaczyć założenie Sióstr od Wieczystej Adoracji. Sam jednak postępował inaczej. Często w ciągu dnia szedł przed tabernakulum, ale najczęściej na krótko. Jego zwykłym miejscem była praca przy biurku. To tam w czasie pracy skupiał się do krótkiej modlitwy; nie-

kiedy, gciy chodziło o napisanie trudnego listu, klęka) nawet wraz ze swoim sekretarzem, i się modlił.

Poza tym modlitwy kwadransowe stały się jego drugą naturą. Zwyczaj ich odmawiania wprowadził też do wspólnot domów formacyjnych jako wspólne ćwiczenie. Wiedział wszakże, że nie będzie można tego zwyczaju wprowadzić w klasach z obcymi uczniami lub miejscach pełnych pośpiechu i gonitwy. Wszyscy jednak członkowie Zgromadzenia, którzy wyszli z jego szkół zakonnych, przejęli ten zwyczaj, i jak pisał później ojciec W Gier, uderzenie dzwonu co kwadrans wywoływało w nich wewnętrzne echo i przypominało, ze człowiek dopiero wtedy znajdzie swoją właściwą drogę, gdy skupi się w Bogu. Było tez dla mego oczywiste, że pobożność i bliskość Boga rodzi pokorę serca i skromność w wystąpieniach.

Kreśląc pierwszy szkic reguły dla sióstr Założyciel nie znał jeszcze sióstr klauzurowych. Wszystkie były jeszcze wtedy siostrami misyjnymi. Ale wszystkie, zarówno w ojczyźnie, jak i te misjach, miały codziennie przez dwie godziny adorować: jedną godzinę w ciągu dnia, drugą w nocy, i to w intencji pracy apostolskiej. Pierwszym obowiązkiem misyjnym - mawiał - jest wypraszanie ludziom u Boga łaski. Musimy się modlić i przy tym patrzeć, gdzie spływa łaska na ludzi i tam rozpoczynać pracę apostolską. Był przy tym przekonany, że kapłanom i braciom często brak czasu na modlitwę; dlatego muszą wyręczyć ich pobożne siostry.

Właściwy sens tych dwóch godzin adoracji był taki sam, jak i modlitw kwadransowych, z tym, że byt jedynie ukierunkowany na apostolat. Kto chce ludziom przynieść Boga, ten musi w sobie nosić Boga i Chrystusa. Kto chce ludziom przynieść Królestwo Chrystusowe, ten swoim osobistym zjednoczeniem z Bogiem musi utorować drogę łasce dla tych, dla których chce pracować.

Zakończenie

Bóg ponad wszystko!
Bóg w nas!

Te słowa przekazał Założyciel jako motto członkom swoich zgromadzeń misyjnych. Kiedy piszemy do siebie, mamy w nagłówku listu jako nasze hasło rozpoznawcze lub jako dowód naszej przynależności do Zgromadzenia pisać słowa: „Niech żyje święty Trójjedyny Bóg w sercach naszych"!

Ojciec Arnold Janssen nie mógł siebie, ani swego dzieła lepiej scharakteryzować.

(Za: *„Nova et Vetera",* 1968, 303-317)

Tłumaczyła Ada Beisert

Johann B. Peil SVD

PLEWY I PSZENICA

Migawki z początków Zgromadzenia Misyjnego

Uwaga wstępna: Wśród różnych rękopisów zawierających wspomnienia o Założycielu i pierwszym okresie istnienia Domu Misyjnego w Steyl, artykuł o. Peila jest najlepiej zaplanowany i najkonsekwentniej zrealizowany. Brakuje w nim jedynie wzmianek o siostrach misyjnych. Jest to zrozumiałe, ponieważ siostry dopiero zaczynały się usamodzielniać. -

Johann Baptist Peil urodził się w 1856 roku w Lommersum koło Euskircheu, diecezja kolońska. Podobnie jak jego bracia był młynarzem w przedsiębiorstwie swego ojca, które miał w przyszłości przejąć. W okresie pełnienia służby wojskowej zrodziło się w nim postanowienie zostania księdzem. W październiku 1880 roku wstąpił do Domu Misyjnego w Steyl, w którym było wtedy załedwo 70 uczniów. W 1890 roku przyjął święcenia kapłańskie. Pierwsze cztery lata pracował w prokurze. Jesienią 1894 roku przyjechał jako prokurator do St. Gabriel. W 1897 r. został skierowany jako pierwszy kapłan Zgromadzenia i przełożony do Ameryki Północnej (pracowało tam już czterech wujków ze strony matki i jego najstarszy brat). Trzynastoletni pobyt w USA - to punkt kulminacyjny w jego życiu. Założył Dorn w Tecbny, a jako przełożony był odpowiedzialny za przejęcie misji wśród Murzynów na południu Stanów Zjednoczonych. W 1909 roku wrócił do Europy, do prokury w St. Gabriel, a w 1924 roku, w nie najlepszym zdrowiu, do Steyl, gdzie w 1936 roku zmarł. W 1921 roku napisał w St. Gabriel poniższe wspomnienia (E Bornemanu). -

Publikujemy sześć z szesnastu rozdziałów jego rękopisów.

I. Żarliwość modlitewna Arnolda Janssena

Założyciel Arnold Janssen, urodził się 5 listopada 1837 roku w Goch nad dolnym Renem. Był człowiekiem modlitwy. Oddawał się jej gorliwie, aż do dnia śmierci, 15 stycznia 1909 roku. Pragnął, aby pielęgnowali ją także wszyscy jego uczniowe, bracia, ojcowie i siostry. Potwierdzają to jego liczne wypowiedzi, zarówno w słowie, jak na piśmie niestrudzenie przekazywane. Potwierdza to także jego żarliwe zaangażowanie się na rzecz Apostolstwa Modlitwy, którego z ramienia biskupa (Johannesa Bernharda Brinkmanna z Munster) był dyrektorem. Cały swój czas poświęcał bez reszty temu dziełu. Nic nie było w stanie przytłumić jego żarliwości, tak dalece, że jego konfratrzy czasami z niego żartowali. W tym czasie nie myślał o poświęceniu się sprawie misji i powołaniu do życia zgromadzenia misyjnego, ponieważ uważał się dla takiego dzieła za niegodnego i nieużytecznego. Kiedy w 1874 r. biskup Raimondi z Hongkongu powiedział: Niech ksiądz założy Dom Misyjny w Niemczech, przeraził się tego i był przekonany, że nic z tego nie wyjdzie.

Żarliwość modlitewną Założyciela potwierdzają modlitwy, które ułożył i wprowadził zarówno do odmawiania w kościele, jak też i poza nim. Cały dzień miał być przepojony modlitwami, tak ze całe jego życie przedstawiało się jak jedna wielka modlitwa. Sam praktykował pilnie taki sposób życia i pragnął, aby i jego duchowi synowie i córki byli tym samym duchem przepojeni. Zależało mu także na ofiarnej i rzetelnej pracy tak duchowej, jak i fizycznej, ale o wiele bardziej lezala mu na sercu wytrwała i dobra modlitwa.

W wigilie wielkich świąt, nawet gdy były to tylko święta Zgromadzenia, jak np. św. Michała czy św. Tomasza Apostola, odprawiano po skromnym posiłku wieczornym nieszpory i kompletę, po których następowała „porządna", trwająca dobrą godzinę, modlitwa wieczorna. W takie święta Założyciel sam odprawiał sumę, po której, po błogosławieństwie na jej zakończenie, klęcząc przed ołtarzem *erectis manibus* [z wyciągniętymi rękami] odmawiał czasami az dziesiąć Ojcze Nasz w różnych potrzebach i to bez opuszczania rąk. Oczywiści, wszyscy uczestniczący we Mszy św. musieli czynić to samo.

W czasie pobytu w Ameryce do piszącego te stówa dochodziły często zale od kapłanów, którzy początkowo byli w Steyl, a potem wystąpili, że Ojciec Janssen modlił się za dużo.

Szczególnie w głęboką noc Założyciel chętnie pogrążał się w modlitwie. Niektórzy byli zaskoczeni, kiedy późnym wieczorem, gdy wielu udało się już na spoczynek, zastawali w kościele lezącego na posadzce i modlącego się przed Najświętszym Sakramentem Arnolda Janssena. Brat Homobonus, domariusz, który musiał wcześnie wstawać, bo należało do niego zamykanie i otwieranie drzwi, chciał się pewnego razu przekonać, jak wcześnie przychodzi Rektor do kościoła; nigdy mu się to jednak nie udało. Bez względu na to, o które] godzinie przychodził, zawsze zastawał Założyciela kończącego lub prawie kończącego drogę krzyżową.

Pewien młodzieniec, który prawie co uzyskał maturę i pod wpływem lektury „Stadt Gottcs" powziął postanowienie wstąpienia do Steyl, a nadto był człowiekiem bez zarzutu, usłyszał kiedyś od Rektora słowa: Weissenfels, za mało się modlisz. Słowa te zrobiły na nim takie wrażenie, że odtąd stał się przykładem żarliwej modlitwy i takim pozostał do dzisiaj, mimo że posiwiały mu już włosy.

Ten sam duch modlitwy przynaglał Założyciela, o ile zaszła potrzeba, bez uszczerbku dla pracy i nauki, do urządzania pobożnych pielgrzymek.

Chętnie pielgrzymowano zwykle w czwartki po południu do tzw. Stager Kreuz, przydrożnego krzyża na drodze do Breyell. W czasie drogi, tam i z powrotem, odmawiano różaniec, do którego wplatane były rozważania związane z intencjami Apostolstwa Modlitwy, uzasadniającymi celowość czci Serca Jezusowego. Rektor życzył sobie, aby wszyscy uczniowie misyjni znali je na pamięć, i w związku z tym wyznaczano jednemu czy drugiemu przewodniczenie w modlitwie.

Pielgrzymkę do odległego o około sześciu godzin od Steyl Kevelaer, odbywano co rocznie pieszo - dopóki liczba wychowanków nie była zbyt wielka - w czasie ferii jesiennych. Tik samo każdego roku - 2 sierpnia - szła pielgrzymka modlitewna do Besel, 2 godziny na

południe od Steyl, aby w tamtejszym kościółku franciszkanów uzyskać odpust Portiunkuli. Tak do Kevelaer, jak i do Besel zabierano ze sobą konieczny prowiant, aby uniknąć zbędnych wydatków i nie nadużywać gościnności ludzi.

W podobny sposób - w jaki urządzano procesje w dni kwartalne - Ojciec Arnold zarządził w ciągu roku wiele procesji: w Wielką Sobotę, w sobotę Zesłania Ducha Świętego, w święto Trzech Króli, Dzień Zaduszny i inne. Jeśli zachodziła potrzeba, to wszyscy brali w niej udział. Ojciec Arnold w czasie licznych podróży zaspakajał swój cielesny głód w sposób nadzwyczaj skromny, prawie przeciw naturze i nie nadający się do naśladowania. Kromka suchego chleba stanowiła często całe jego wyżywienie.

Przejawami takiego samego ducha modlitewnego były także rekolekcje, które około 1877 roku - gdy uzyskano konieczne pomieszczenia - przeprowadzono dla księży, a jeszcze więcej dla świeckich. Były one jednocześnie sposobnością do budzenia powołań i materialnego wsparcia dzielą misyjnego, a także pogłębienia prawdziwego ducha wiary. Wiele tysięcy ludzi po dziś dzień bierze w nich udział, przez co dokonało się wiele dobra. Rekolekcje te nie mogły jednak zabierać czasu przeznaczonego na zajęcia szkolne. Z tego względu przeprowadzano je w dniach wolnych od nauki, np. przed Wielkanocą, Zesłaniem Ducha Świętego i każdorazowo podczas ferii jesiennych. Konferencje głosili zazwyczaj kapłani Zgromadzenia. Uczniowie usługiwali rekolektantom, przy czym autora zawsze włączano jako stałego współpracownika.

W celu szerzenia modlitwy różańcowej ofiarowywano przy tej okazji każdemu uczestnikowi rekolekcji dwanaście poświęconych różańców, jako prezent i pamiątkę na drogę. Zwyczaj ten jeszcze dziś jest podtrzymywany, na ile to możliwe. Jednocześnie zdobywano dzięki temu tysiące nowych członków dla Bractwa Szkaplerza Świętego, co zawsze oznaczało wielkie błogosławieństwo.

Przykładem tego, jak żarliwość modlitewna Ojca ogarniała jego duchowych synów, jest zmarły w czerwcu 1920 r. ojciec Hermann Wegener, który pomimo wielu zajęć jako prefekt uczniów misyjnych

w Steyl, redaktor „Posłańca Serca Jezusowego", a potem rektor w St. Gabriel, znajdował czas na odmówienie nawet pięciu różańców. Gdy mówiono mu o uczniach, którzy codziennie odmawiali jeden różaniec, odpowiadał: To nic nadzwyczajnego, to nie są gorliwi wychowankowie. Podobne oddziaływanie miała odprawiana przez Założyciela droga krzyżowa.

Nie mniejsze owoce przyniosły słowa i przykład Ojca Arnolda wśród sióstr. Przyczynił się do tego także rzadko spotykany przykład obu pierwszych zmarłych przełożonych: Matki Marii i Matki Józefy. Ten dobry duch otrzymywał jednak stały impuls i wsparcie ze strony naszego błogosławionego Ojca. Odnośnie do ducha i dyscypliny zakonnej, to obie duchowe córki Ojca Założyciela zajmują szczególne miejsce pośród wszystkich żeńskich zgromadzeń.

Błogosławiony ojciec Arnold był mężem pobożnym, miał solidnych i cnotliwych rodziców. Również jego dziadek odznaczał się żarliwością modlitewną, która u mężczyzn jest rzadkością.

Modlitewnej żarliwości naszego Błogosławionego można także przypisać jego troskę o ubogich i potrzebujących. Dla nich Dom Misyjny w Steyl był zawsze otwarty. Nawet wydawanie posiłków i odzieży potrzebującym było czynem miłości, która Arnoldowi Janssenowi leżała na sercu. Rozdzielano je szczodrze i nie pytano 0 nic. Z ofiarami pieniężnymi postępowano bardzo rozważnie. Mięso, masło i ser rozdawano zazwyczaj na Boże Narodzenie i przy innych szczególnych okazjach. Bez ograniczeń wydawano zupę, ziemniaki, warzywa i chleb. Dzięki temu wiele tysięcy ludzi zostało nakarmionych w Steyl i w innych Domach Zgromadzenia, uchroniono ich przed jeszcze większą nędzą. To, że w zimie przed furtą Domu Misyjnego zbiera! się tłum ludzi jest zrozumiałe; ze wśród nich znajdowali się oszuści i hołota, też nie dziwi. Gdy błogosławionemu Ojcu robiono z tego zarzut, nie przejmował się tym w najmniejszym stopniu. Jednakże dla ekonoma domu było to nie do przyjęcia 1 dlatego pewnego dnia przy pomocy policji wyrzucił wszystkich żebraków.

Troszczono się nie tylko o ubogich, którzy przychodzili do furty, lecz także o tych, którzy ukrywali swoją nędzą, pozostając w swoich domach. Tak postępował opiekun ubogich, św. Wincenty a Paulo, i nasz błogosławiony Ojciec chciał go w tym naśladować. Jednocześnie miał świadomość, że na misjach jego duchowi synowie będą mieli przede wszystkim kontakty z biednymi; dlatego młodzi, często niedoświadczeni misjonarze, muszą nabrać trochę doświadczenia w postępowaniu z najbiedniejszymi. Wprowadzono regularne odwiedziny ubogich po domach. Wyszukiwano w Steyl i okolicy biedotę, zwłaszcza tych, którzy się tego wstydzili, i sporządzano listę. Na jej podstawie przydzielano im opiekunów z teologów, którzy mieli mieć niedługo święcenia kapłańskie. Opiekunowie, po dwóch, odwiedzali domostwa biedaków, tak jak to było za czasów Zbawiciela. Trosce o ubogich poświęcali wolny czas. Znaczniejsze ofiary, np. pieniądze, łóżka, ubrania czy żywność, musieli wyprosić u prokuratora lub innych oficjałów. W szczególnych przypadkach można było udać się z prośbą do samego Założyciela. Przede wszystkim jednak opiekunowie mieli sami szukać dobrodziejów, i to poza domem zakonnym, a potem dysponować ich ofiarami.

Raz w miesiącu odbywało się spotkanie wszystkich opiekunów, której przewodniczył sam Ojciec Założyciel. Na takim zebraniu wszystkie grupy składały sprawozdanie ze swojej pracy: mówiono o sukcesie, bądź o niepowodzeniu, dzielono się swoimi doświadczeniami, poruszano sprawy, które mogły być pomocne w dalszym działaniu.

Ojciec Arnold kierował się nieustannie w swojej pracy miłością bliźniego, pragnął brać przykład ze Zbawiciela.

II. Jego nieustanna praca

Ojciec Arnold przy wszystkich swoich różnorodnych, wyczerpujących praktykach religijnych wykazywał rzadko spotykaną pracowitość. Choć nie zawsze do końca rozpoznawał swoje cele, to jednak wytrwale realizował wytyczone sobie zadania i osiągał przez to sukcesy. Widoczne to było np. w nauce nowożytnych języków, w bu-

downnictwie, rolnictwie i ogrodnictwie, które choć były mu obce i nieznane, to jednak poświęca! im się z całą swoją energią. Kiedy np. Założyciel chciał odprawić sumę, musiał brać lekcje u dobrego śpiewaka, ponieważ nic miał dobrego słuchu. Ćwiczenia takie zawsze było dla niego małą ofiarą.

Zanim Ojciec Janssen powziął myśl założenia Domu Misyjnego, wydawał miesięcznik „Mały Posłaniec Serca Jezusowego", który redagował do momentu zastąpienia go przez ojca Wegenera. Próbował nawet pisać wiersze, ponieważ jego czasopismo musiało od czasu do czasu zamieszczać poezję, a nie miał nikogo, kto mógłby go w tej pracy zastąpić. Podjął się i tego, choć tak samo nic miał talentu poetyckiego, jak i muzycznego.

Pierwsza kaplica powstała z zaadoptowanej stodoły (stała ona mniej więcej tam, gdzie obecnie znajduje się chór kościoła). Nie miała żadnego wystroju, Arnold Janssen był zbyt ubogi, aby kupić jakiś obraz, wziął więc prostą nicwygładzoną, kwadratową deskę, namalował na niej kredą serce, które miało przedstawiać Serce Jezusa. To był cały wystrój kościoła.

Ile trudu i pracy kosztuje wyposażenie Domu Misyjnego i założenie Zgromadzenia, może zrozumieć tylko ten, kto sam w czymś takim brał udział. A do tego przedsięwzięcie, o które chodzi, jeśli jest nowatorskie, jeśli brakuje mu poparcia przyjaciół i przypada na okres największego nasilenia się Kulturkampfu w Prusach. Któż zliczy stos korespondencji i innych pism, do pisania których zmusiły go różne okoliczności. Jeśli się jeszcze zważy, że o. Janssen postępował z matematyczną pedanterią i nienawidził powierzchowności, to można w pełni podziwiać jego pracowitość. Nie wolno przy tym zapominać, że samym pisaniem nie wiele się wskóra. Ojciec Arnold wszędzie musiał się stawić osobiście, co dodatkowo powodowało konieczność podejmowania czasochłonnych podróży.

III. Ubóstwo Założyciela i niedostatek

Początkowo byliśmy bardzo biedni, co ogromnie musiało ciążyć Założycielowi. Pewnego razu w kasie były tylko 4 grosze, co zmusiło rektora do publicznej modlitwy i odprawienia w powyższej intencji kilka Mszy św. Ojciec Janssen bardzo ufał Panu Boga i św. Józefowi, co starał się żarliwie zaszczepić domownikom. Czasem na swój sposób naśladowali to uczniowie i bracia. Dla zobrazowania tego przytoczymy tu kilka przykładów.

Niektórzy wychowankowie nie radzili sobie z pewnymi przedmiotami, np. matematyką, historią itd. Gdy nadszedł czas egzaminów, widziało się zmartwionych uczniów pielgrzymujących do figury św. Józefa z książką z danego przedmiotu pod pachą. Nikt nie doznał rozczarowania. Z kolei brat, któremu powierzona była troska o kościół, chciał mieć przy ołtarzu św. Józefa lepszy dywan. Była zima i głęboki śnieg pokrywał ziemię. Brat wziął statuę świętego i postawił ją na śniegu, by pozostała tam tak długo, aż znajdzie się dywan. I wkrótce taki się znalazł.

Kiedyś zawieszono obraz św. Józefa w wielkiej jadalni uczniowskiej, aby przypominał Mu o jego obowiązkach żywiciela. To poczesne miejsce zajmuje św. Józef jeszcze dzisiaj, po 40 latach.

Wyżywienie w Domu Misyjnym było początkowo bardzo mizerne. Rektor nie przykładał wielkiej wagi do jedzenia i picia, przez co wszelki luksus, tzn. to co nie musiało być, trzymany był na dystans. Na śniadanie musiał przez długi czas wystarczyć suchy kawałek chleba do czarnej kawy bez cukru. Słodzona kawa nie zyskała prawa obywatelstwa nawet dziś jeszcze w Zgromadzeniu. Nie było drugiego śniadania ani podwieczorku. Wyjątek robiono dla chorych i słabych. Dla poprawienia sytuacji zmarły już Jacob Steger z Hinsbeck, postarał się bez wiedzy rektora o garnek kapusty. Wychowankowie zrobili sobie z tego wspaniałą ucztę, gdy niespodzianie wszedł ks. Rektor. „Któż to się postarał o tak pyszną kapustę?" Jacob Steger wystąpił jako winny. „Musisz do mnie przyjść" - powiedział Ojciec Arnold. Nagrodą za ten dobry czyn była niemała pokuta.

Nawet suchego chleba do czarnej kawy, w miejsce którego wszedł później chleb z cienko smarowanym masłem, nie można było brać w dowolnych ilościach. Kawałki były jednakowe, a ojciec Wegener czuwał nad tym, aby nikt nie przekroczył wyznaczonej ilości. Młodzi

ludzie musieli często poskramiać swój głód, mimo ze żołądek głośno i energicznie protestował.

Długo przestrzegano zwyczaju nie podawania przez trzy dni w tygodniu mięsa. Takich napoi, jak piwo i wino, nigdy oczywiście nie podawano do obiadu lub kolacji, a jeśli już, to w niewielkich ilościach. Zakaz palenia czy używanie tytoniu był od samego początku surowo przestrzegany. Lekkomyślne wykroczenia były karane wydaleniem. To samo odnosiło się do potajemnego picia alkoholu.

Ten surowy styl życia miał przygotować młodych ludzi do realizacji ich trudnego powołania i chronienia przed różnego rodzaju niebezpieczeństwami. Doświadczenia czterdziestu lat pokazały, że te metody wychowacze wcale nie były za surowe, lecz jedynie słuszne. Im bardziej były przestrzegane, tym lepiej i łatwiej duchowi synowie Janssena dawali sobie radę w trudach i niebezpieczeństwach.

Podobnie jak nie należało dogadzać sobie w jedzeniu i piciu, tak i w stosunku do ubioru obowiązywała skromność. Noszenie futer było potępiane. Wyszukanej garderoby - jako nie zgodnej z powołaniem misyjnym - nie tolerowano. Prostotą i surowością tchnęły także pokoje, miejsca pracy i sypialnie. O zdrowie dbano w miarę możliwości, tak aby ludzie jak najdłużej zdolni byli do pracy, i dlatego na spanie przeznaczano zazwyczaj siedem godzin; drzemka popołudniowa była początkowo całkowicie zakazana, później jednak na nią zezwolono, z ograniczeniem dla poszczególnych grup. Nikt nie mógł próżnować.

IV. Pracowitość dobrem wspólnym

Ojciec Arnold był tytanem pracy, który swój czas mądrze wykorzystywał. Jego duchowi synowie i uczniowie mieli stosować te same zasady życiowe, wzorując się także na Zbawicielu, który pozostawił ludziom najlepszy przykład pracy.

Dom Misyjny w Steyl od początku wykazywał we wszystkich przedsięwzięciach aktywność. Początkowo nie byto prawie żadnej przerwy dla studiujących i nauczycieli. Raz w tygodniu mogło być

jedno popołudnie wolne od zajęć, mianowicie czwartek, przy czym niedziela i dni świąteczne nie były dniami wolnymi. Oprócz przedpołudniowych i popołudniowych nabożeństw wolny czas wykorzystywano na katechezę, próby śpiewu, zajęcia z literatury, poezję, deklamację i inne ćwiczenia z różnych nauk.

Wszędzie miały panować dokładność i porządek. Podobnie jak Założyciel, który od początku angażował się literacko w „Małym Posłańcu Serca Jezusowego", a także przez artykuły w różnych gazetach i czasopismach, tak też jego duchowi synowie mieli się możliwie czynnie i twórczo angażować. Stąd jego zapał do założenia drukarni w Steyl i wydawania miesięczników i kalendarzy. Przykład Założyciela pilnie naśladowano w innych Domach, a także na misjach w Chinach, Ameryce Północnej i Południowej oraz w Afryce. Bibliografia prac Zgromadzenia od założenia do czasów obecnych stanowiłaby obszerny tom. W dalszym ciągu w wielu miejscach pracuje się nadal energicznie. Trzeba tu wspomnieć o „Anthroposie", jako dziele epokowym pracowitego i obowiązkowego o. Wilhelma Schmidta, które niejednokrotnie spędzało sen z oczu Założycielowi i nie znajdowało też początkowo u niektórych współbraci zasłużonego uznania. Dzieło jednak aż do dzisiaj dobrze służy sprawie katolickiej.

Jakże skromny był początek drukarni w Steyl. W starej kuźni ustawiono małą ręczną maszynę drukarską, która przejęła druk „Posłańca Serca Jezusoyyego", a trochę później podjęła się druku „Kalendarza świętego Michała". Jej wydajność była początkowo mała i tylko wytrwałości zelatorów sprawy misyjnej należy przypisać, że druki te znalazły odbiorców.

Urządzenia drukarni i kierowania nią podjął się pan Stute. Kiedy jednak pojawili się bracia, przejęli pewne prace w drukarni. Pierwszym mistrzem drukarskim był zmarły już brat Bernardus Schwertfeger, konwertyta, który poświęcił się swemu zadaniu z wielką pasją i zręcznością. Dożył jeszcze chwili, gdy skromna początkowo drukarnia, rozbudowała się w zakład o wysokim standarcie drukarskim, a który my dzisiaj (1921 r.) podziwiamy. Brat Bernardus był zawsze

dzielnym i pobożnym zakonnikiem, któremu Zgromadzenie Słowa Bożego wiele zawdzięcza.

Od początku do prac w drukarni, introligatorni, do kolportażu itd. wdrażano wszystkich uczniów misyjnych. Nieraz musieli swój wolny czas poświęcać drukarni, a w szczególnych przypadkach zarywać noce.

W introligatorni wyróżnia! się zmarły już brat Fidelis Fechter. Całkowicie zasłuży! sobie na swoje imię. Pomimo tego, że był kaleką, bardzo pilnie pracował. Był przy tym wzorowym zakonnikiem, obdarzonym rzadko spotykanym duchem modlitwy. Przy falcowaniu arkuszy drukarskich odmawiał niezliczoną ilość różańców, więcej niż znieść potrafili uczniowie misyjny lub uczniowie zawodu. Jeżeli ktoś, to właśnie on, powinien zostać kiedyś wyniesiony na ołtarze.

Również inni bracia zasłużyli sobie na wyróżnienie i w niebie powinni być niejako świecznikami tego młodego Zgromadzenia.

Drukarnia misyjna Steyl rozrosła się w naszych czasach (1921 r.) do potężnego współpracownika dzieła misyjnego. W trudnym czasie wojny (1914-1918), w których niejedna drukarnia musiała zawiesić swoją działalność, ta utrzymała się na powierzchni i realizuje obecnie po wojnie zadania dla Boga. „Stadt Gottes", Kleiner Herz-Jesu-Bote", Steyler Missionsbote" i St. Michaels-Kalender" osiągnęły niespotykaną dotychczas liczbę prenumeratorów i w dalszym ciągu przyciągają coraz to nowych czytelników. Wzrósł także nakład modlitewników. Można powiedzieć, że ten rodzaj działalności misyjne] stal się pierwszoplanowy w całym Zgromadzeniu, przy czym bardzo chwalebnie wyróżnili się tu bracia. Wszystko to niejako przewidział nasz Błogosławiony Arnold i dlatego okazywał sprawom drukarni tak wielkie zainteresowanie, nie żałując przy tym ofiar i wysiłków. Leżała mu również na sercu sprawa drukowania pięknych pobożnych obrazów, czemu bez reszty poświęcał się, przygotowany pod względem artystycznym, brat Lukas Kolzem.

Innym rodzajem działalności były: ogrodnictwo, uprawa roli, hodowla bydła, którym to gałęziom Ojciec Arnold okazywał duze zainteresowanie. Pochodził bowiem z wiejskiej społeczności i sądził, że ta gałąź zarobkowa Zgromadzenia będzie, jeżeli nie konieczna, to przynajmniej godna polecenia.

Ogród steylowskiego Domu Misyjnego był pierwotnie ugorem, na którym rosły osty i wszelkiego rodzaju chwasty. Niemałym wysiłkiem i trudem zamieniony został we wspaniały ogród warzywny i sad, który możemy obecnie (1921) codziennie oglądać i podziwiać. Początkowo, aby nie zabierać braciom czasu potrzebnego do ich zajęć, prace w ogrodzie i parku powierzono uczniom. I tu szczególnie wyróżniał się zmarły już o. Vilstermann, który później został pracowitym misjonarzem Chin, czyniącym wiele dobrego. Powierzchnia ogrodu steylowskiego stanowiła gruba na wysokość buta warstwa piaskowa, zawierającą dużo żelaza, które uniemożliwiało wzrost roślin. Została ona usunięta, wywieziona na taczkach, a w ten sposób powstało wzgórze kalwaryjskie, które dzięki artystycznemu wyczuciu o. Rademana, stało się ulubionym miejscem modlitwy. Praca ta kosztowała jednak wiele kropel potu i przyniosła obolałe kości. Z podobnym wysiłkiem powstawały również ścieżki spacerowe, do czego chwalebnie przyczynił się o. Grtiter, przebywający obecnie w Argentynie. W podobny sposób powstawał z przodu ogrodu staw, w którym pływają srebrne i złote rybki, a który chętnie odwiedzają ojcowie, bracia i uczniowie. Nie wiele mniej wysiłku i starań wymagało posadzenie wielu drzew i wykonanie całego systemu ścieżek. Wszystko to powstało wyłącznie w czasie wolnym od zajęć. Tego typu prace podejmowaliśmy chętnie, szczególnie kiedy rejestrowało nas przy tym ojcowskie oko Ojca Arnolda albo kiedy w nagrodę otrzymywaliśmy jakiś smakołyk.

Oprócz ogrodu na terenie, na którym niegdyś rosła trawa stepowa, janowce i oset leśny, urządzono wielki plac gier. Dzisiejsi dzielni gracze wcale nie zdawają sobie sprawy, ile trudu i potu plac ten kosztował.

W podobny sposób powstał wielki cmentarz na bardzo nierównym terenie, na którym należało wpierw unieruchomić lotne piaski. Wielokrotnie musieliśmy doświadczyć, jak wiatr po paru godzinach niweczył naszą ciężką pracę wykonywaną w ciągu kilku dni. Nie za-

znaliśmy jednak spokoju, dopóki wszystko me zostało pokryte żwirem lub spoistą ziemią, na której później można było posadzić drzewa i krzewy. Pewnej znajomości zasad nowoczesnej sztuki budowlanej wymagało postawienie muru ogrodzeniowego na samym piasku. Udało się to jedynie przy głównym wejściu. Tam, gdzie trzeba było pokonać duże trudności terenowe, mur stawiano na łukach opierających się o głęboko wkopane pale. Aby Założyciel nie widział, ile trzeba było zużyć cegieł na ten kawałek, wykorzystywano jego nieobecność, i następnie szybko przykrywano wszystko piaskiem. Na wewnętrznej stronie muru umieszczono artystyczną drogę krzyżową.

Dotąd (1921) spoczywają tutaj: o. Arnold Janssen, jego brat, Johannes, o. Hermann Wegener, o. Nicolaus Blum, o. Johannes Holthausen, o. Jakob Steger i razem z innymi ojcami i braćmi czekają na głos trąby Sądu Ostatecznego.

Do żniw, kopania ziemniaków i zbioru roślin bulwiastych włączano uczniów nawet wtedy, gdy gospodarstwo rolne przydzielone zostało braciom. W tym miejscu należy wymienić długoletniego kierownika gospodarstwa, brata Raphaela Niesa, który pomimo swojego surowego zewnętrznego wyglądu miał złote serce. Czasami dawał upust swojemu wisielczemu humorowi, mówiąc do swego trochę wygodnego współpracownika: „Nie jesteś wart chleba, który żresz".

Aby powiększyć gospodarstwo rolne i hodowlę bydła, a tym samym wydajniej pokierować zaopatrzeniem Domu Misyjnego, zakupiono od pani Josefiny de Rijk gospodarstwo Haanderthof w Tegelen, które później ponownie sprzedano, a wzamian za nie nabyto bagnisty teren w Belfeld. Pod okiem mądrego i pracowitego, byłego misjonarza z Togo, o. Hermanna Btickinga, zamienił się on w urodzajne pola. Obecnie nazywa się St. Leonardushof i ponownie potwierdza dynamizm twórczy misjonarzy ze Steyl. Leonardushof zaspokaja wszystkie potrzeby żywnościowe potrzebne na utrzymanie tak wielkiej rodziny steylowskiej. Jego wielkie znaczenie dla macierzystego Domu w Steyl jest dla wszystkich oczywiste.

Poza gospodarstwem rolnym i hodowlą bydła należy jeszcze wymienić kilka innych warsztatów, które potrzebne były dla pełnego

utrzymania. Były to: pracownia krawiecka, szewska, dział remontów i konserwacji budynków, przetwórstwa spożywczego itp. W działach zecerni, stereotypowni, pracowni kreślarskiej, w kuźni, ślusarni i stolarni, w różnych kancelariach (budownictwa, kolportażu, administracji) tego rozległego przedsiębiorstwa uwijano się z pracowitością pszczół. Zasadnicza odpowiedzialność spoczywała najczęściej na braciach, ale i studenci nic pozostawali w tyle. Wyrośli na bardzo pracowitych misjonarzy. Poza wspomnianymi już ojcami Vilstermanem i Rademanem w ślusarni pracowali o. Eberhard Limbrock, późniejszy prefekt w Nowej Gwinei, i o. Biicking, prefekt w Togo; jako szewc i zegarmistrz o. Reinke, prezes w Rzymie i okresowo rektor w St. Gabriel; o. Erlemann, jako pierwszy architekt w Zgromadzeniu, wcześniej stolarz, zmarł jako misjonarz w Chinach; o. Johannes Beckert, również architekt, pracujący w Steyl, St. Gabriel i Świętym Krzyżu, potem w Argentynie i Techny, w Stanach Zjednoczonych; o. Theisen, także zdolny i energiczny architekt, zmarł w Steyl w kwiecie wieku.

Wszystkie te warsztaty miały skromne początki, powstały z inicjatywy Ojca Arnolda i wspierane były przez niego. Wszystkie miały urzeczywistniać wielką myśl misyjną: prowadzić ludzi do nieba. Dla wielu ten trud nie był nadaremny. Tysiące ludzi dzięki Ojcu Arnoldowi i jego duchowym synom i córkom, osiągnęło przeznaczony sobie cel - Boga. Ale wśród zdrowych owiec znajdą się także parszywe. Podobnie, jak wśród dwunastu Apostołów Chrystusa znalazł się zdrajca, tak ze Zgromadzenia Misyjnego w Steyl niektórzy odeszli, stracili powołanie i wiarę. Odnosi się to szczególnie do niektórych kapłanów. Złe skłonności i popędy zmysłowe były zazwyczaj przyczyną tych smutnych wypadków.

Także niejeden z uczniów, niestety, nie zachował dla Zgromadzenia wdzięczności czy dobrego o nim wspomnienia. Byli tacy, którzy agresywnie występowali przeciwko Zgromadzeniu, jak np. ów proboszcz w Ameryce Północnej, który z ambony zakazał kolportażu i czytania czasopism steylowskich. A mieli przecież niejednokrotnie wszelkie podstawy ku temu, by okazać wdzięczność Zgromadzeniu ze Steyl. Ale podobnie, jak Kościół Chrystusowy często doświadczał

tego, że jego własne dzieci okazywały się jego największymi wrogami, tak również rodzina Ojca Janssena musiała tego doświadczyć.

V. Dowcip i humor

Misjonarz nie może się zniechęcać. Tej zasady przestrzegano od początku w Zgromadzeniu. Niewinne poczucie humoru i dowcip były dobrze widziane i pielęgnowane, przeciwstawiając się skutecznie melancholii. Jeśli zaobserwowano u kogoś objawy przygnębienia, a po zwróceniu mu uwagi nie było poprawy, wówczas zdecydowanie usuwano go ze Zgromadzenia. Czasu rekreacji musieli wszyscy przestrzegać, nikt nie mógł się od niej wymówić. Jeżeli odbywała się na boisku, nikt nie mógł pozostać w Domu. Ojciec prefekt przeprowadzał czasami „rewizję", aby wszystkich piecuchów wyprowadzić na świeże powietrze. Muzykowanie, a nawet nauka były w tym czasie surowo zabronione. Pewien uczeń, któremu trudno było rozstać się ze swoimi skrzypcami, przekroczył ten zakaz i podzielił się tą wiadomością stenograficznie na pocztówce ze swoim przyjacielem. Ten zaś, zgodnie z przepisami, przekazał ją o. Prefektowi. Ponieważ Prefekt nie znał stenografi, kazał sobie tekst odczytać, i w ten sposób dowiedział się o niesubordynacji wirtuoza. Jeszcze tego samego dnia musiał on opuścić Dom.

Dowcipem i humorem wyróżniali się wychowankowie: Johannes Buis, wtedy jeszcze mały Holender, Theodor Janssen i Johann Bodems, którzy wyrośli na wielkich ludzi. Buis jest obecnie misjonarzem w Chinach. Kiedyś odwiedził go jego biskup, Anzer. W tym czasie sąsiednia rzeka Hoango potężnie wylała i zalała całą okolicę. Biskup musiał koniecznie przeprawić się przez rzekę, a nie było żadnej łodzi. Buis znalazł jednak wyjście. Do dwóch długich żerdzi przymocował na środku dwa kamienne kubły. Do jednego wsiadł biskup, w drugim ulokował się on sam, przejmując jednocześnie rolę sternika. To niebezpieczne przedsięwzięcie powiodło się. Biskup przeprawił się szczęśliwie na drugą stronę, a Buis zadowolony wrócił tą samą drogą do swojej stacji. Także Karlowi Petry, obecnie również misjonarzowi w Chinach, me brakowało poczucia humoru. Jego nauczycielem wielu przedmiotów był ks. Adams, znany żartowniś. Często między nimi dochodziło do komicznych scenek, o których nie mógł jednak dowiedzieć się o. Prefekt.

Kuchnię Domu Misyjnego prowadziły w tym czasie Siostry Opatrzności. Odważna mała siostra Thekla pełniła służbę przy okienku (szaltrze). Nieraz uczniowie chytrze wyłudzali od niej jabłka, a ona za swoją dobroć musiała ponosić pokutę nadaną przez Ojca Arnolda.

Do grona dowcipnisiów należał także Anton Ernst, który nigdy nie traci! humoru. Jedynie matematyka była przyczyną jego zmartwień. Ojciec Arnold pocieszył go pewnego dnia, poklepał po ramieniu i powiedział: Ależ Ernst, chociaż nie idzie ci matematyka, to możesz zostać solidnym misjonarzem. I tak się też stało. Przed sześciu laty świętował on w Buenos Aires swój srebrny jubileusz kapłaństwa, wciąż jest krzepki i wesoły. Do dzisiaj jest jednym z najlepszych misjonarzy w Argentynie.

Muzyka i śpiew łączy się bezsprzecznie z humorem. Wydaje się, że jest on dla nich elementem życia. Jakaż była radość, kiedy pewnego dnia przyszła z Techny beczka miodu, przeznaczona dla śpiewającej młodzieży. Odświeżyło to nastrój, głosy nabrały nowej barwy. Nawet pielęgniarz, brat Hubertus, nie mógł się oprzeć działaniu słodkiego napoju. Ponieważ dar spotkał się z tak dobrym przyjęciem, wkrótce nadesłano drugą beczkę.

W Techny była wówczas pasieka licząca 135 uli, w których pracowicie gromadzono miód; dzięki temu od czasu do czasu jakaś wielka kropla mogła trafić również do Holandii.

U podłoża różnorodnych świąt, zarówno kościelnych, jak i świeckich, leży ciągle ta sama myśl. Ze przy obchodach świąt kościelnych dochodzi do rozwinięcia sztuk pięknych, jest rzeczą zrozumiałą, przecież mają one ciągle przypominać o niebieskiej ojczyźnie, w której zgodnie z Pismem świętym trwa bez końca świętowanie.

Do nich dołączają święta państwowe, które w zasadzie mają ten sam cel. Przecież człowiek został przez Stwórcę, praźródło wszelkiej

radości i błogosławieństwa, powołany do wiecznej szczęśliwości. Nie powinien się skłaniać ku melancholii, ale odwrotnie, radość powinna przemieniać jego ziemskie bytowanie, przypominając o jego nieskończonym przeznaczeniu, o oceanie nieskończonej radości.

Stąd od początku istniały różnego rodzaju okazje do świętowania, które bądź to jednostce, bądź całej społeczności winny sprawiać radość. Taką okazją były imieniny Ojca Arnolda i nauczycieli, które jednak później, ze względu na powiększającą się ich liczbę, łączono w jedno święto rodzinne w dniu 18 lipca, w święto świętego Arnolda lub w pobliżu tej daty, i wtedy każdemu solenizantowi poświęcono trochę uwagi.

Gdy świętowano imieniny Ojca Arnolda, zdarzało się, że przesadnie podkreślano jego zasługi; on zaś stanowczo przeciwstawiał się takim pochwałom.

Łatwo można zrozumieć, że dużą radość wywoływało przybycie nowych współbraci, czy to uczniów czy braci misyjnych. Świętowano: obłóczyny i profesję zakonną, koniec semestru, dni święceń, zwłaszcza kapłańskich, podczas których charakter świecki ograniczał się jedynie do agape w połączeniu z muzyką i śpiewem.

Świętem były również dni wręczenia krzyży misyjnych i wyjazdów na misje, przy czym zbliżające się trudy i niebezpieczeństwa nie były w stanie zakłócić strumieni radości.

Wszystke te uroczystości uświetniane były muzyką i śpiewem, poezją i prozą, dowcipem i humorem, a do tego wzbogacane obfitością stołu, tak że często nie wiadomo było, co stawiać na pierwszym miejscu. Wszystko to miało służyć podtrzymaniu radości z powołania lub ponownego jej ożywienia, do dodania odwagi, umacniania idei misyjnej oraz uświadamiania sobie owych wielkich celów, dla których Pan wszechświata, Największy spośród wszystkich misjonarzy, łączył ich razem i pozwolił im się spotkać. Jemu, Frazasadzie wszelkiej radości, niech będzie za to wieczna chwała i cześć.

VI. Śpiew

Śpiew, ze względu na to, że należał do nieodzownego elementu powołania misyjnego, był od samego początku istnienia Domu, na ile tylko było to możliwe, stale pielęgnowany. Ćwiczeniom kościelnego śpiewu, zwłaszcza chórowi, śp. o. Wegener nie szczędził wysiłku i czasu. Każda sobota przed południem była poświęcona na lekcję śpiewu dla wszystkich uczniów, której podstawą był *„Magister Choralis"* Haberlego. Była to bardzo sucha lekcja, podporządkowana wymogom podręcznika, na którym pracowicie ćwiczono tony psalmów na najbliższe nieszpory. To, ze stopień ze śpiewu uzależniony był od znajomości tonów psalmu i finale, było prywatnym poglądem mistrza. Dla śpiewu na glosy nie miało to żadnego znaczenia. Za chór wielogłosowy odpowiedzialny był początkowo Theo Biicker, który wcześniej był nauczycielem w szkole podstawowej. Próby chóru były bardzo ciężką pracą, zwłaszcza że śpiewający nie posiadali często żadnych podstaw lub byli słabo muzycznie uzdolnieni. Dodatkową trudnością było to, że próby musiały się odbywać zawsze w wolnym czasie; nie można było na nie przeznaczać ani kwadransa z godzin lekcyjnych. Ponieważ chórzyści nie znali prawie nut, a co za tym idzie, nic umieli ich czytać, mistrz musiał uczyć ich śpiewania bez partytur. Ci, którzy nie mieli dobrej pamięci, pomagali sobie nutkami-cyframi. Były to trudne czasy, wystawiające zarówno mistrza, jak i uczniów na ciężką próbą. Tak było na początku. Później szło już lepiej. Zwłaszcza kiedy wszyscy śpiewający nauczyli się czytać nuty. Jakaż to była radość dla chóru i dyrygenta, kiedy udało się zaśpiewać bez poprawek. Pewnego razu podczas próby śpiewu „Gloria" na cztery głosy cały chór po kilku taktach, mimo gestykulacji dyrygenta, zamilkł. Ten ze złością rzucił pałeczkę na podłogę.

Niedługo cieszono się w Steyl chórem na cztery głosy pod batutą jego założyciela i pierwszego dyrygenta. Dość nagle wysłano go na misje do Chin i musiał pożegnać Steyl. Batutę po nim przejął uczeń i chórzysta z pierwszego basu, Augustin Henninghaus, obecnie wikariusz apostolski w Południowym Szantungu. Jego czas pracy z chórem także był krótki. Wraz ze swoim współbratem, Josefem Webe-

rem, musiał podjąć naukę w uniwersytecie w Bonn. Studiował tani tylko rok, a następnie został wysiany na misje do Chin. Po jego wyjeździe dyrygentami chóru byli: niemiecki nauczyciel Gnielinsky[1], kolejno paru alumnów, wśród których jako śpiewak i muzyk szczególnie wsławił się Edmund Kreusch, który niechlubnie zakończył swój pobyt w Zgromadzeniu. Po Kreuschu batutę objął o. Wilhelm Schmidt, który jako mistrz muzyki i śpiewu dokonał rzeczy niezwykłych i powinien zostać w tej sztuce uznany za najznakomitszego. Niestety, ze względu na wadę serca musiał dosyć prędko przekazać pałeczkę następnemu, a swój talent wykazać w pisaniu pism apologetycznych.

"Wyżej wspomniani dyrygenci oprócz śpiewów kościelnych pielęgnowali także śpiew świecki. Ojciec Biicker wystawił „Oratorium Bożonarodzeniowe", Mullera, które odniosło olbrzymi sukces, i było często wystawiane. Wielu alumnów wykazało także duże zdolności poetyckie i kompozytorskie. Przy czym idea misyjna i entuzjazm dla powołania misyjnego wyraźnie przebijały w ich utworach.

Powracające święta kościelne i świeckie, będące także okazją do goszczenia jakiegoś dostojnika - biskupa lub wyższego urzędnika państwowego - stawały się wciąż od nowa impulsem dla rozśpiewanej gromadki. Tak więc to, co miało bardzo skromny i niezbyt obiecujący początek, rozwinęło się do wielkiej rangi i uznania, nie musząc się wstydzić ani ustępować swoim kolegom po fachu.

(Za: *„Nova et Vetera",* 1974, 201-214)

Tłumaczył Bogusław Spurgjasz

[1] Pisownię nazwiska poprawiono za F. Bornemann, *Noch einige der ersten Bewohner...,* „Yerbum" 1963, 194.

Fritz Bornemann SVD

8 WRZEŚNIA: ZAŁOŻENIE DOMU MISYJNEGO

Na początku sierpnia 1875 r. Arnold Janssen, ks. Peter Bill i Franz Xaver Reichart postanowili, że święto Narodzenia Najświętszej Maryi Panny ma się stać dniem oficjalnego otwarcia niewielkiego Domu Misyjnego w Steyl, a także dniem poświęcenia Domu. I tak to zostało podane do wiadomości biskupom, jak również prasie holenderskiej i niemieckiej.

Program dnia

W poprzedzający wieczór dzwony parafialne rozdzwoniły się jak w wigilie największych świąt. Podobnie było rankiem 8 września, chociaż był to dzień powszedni. O godzinie 10.00 prałat dr von Essen, proboszcz z Neuwerk, odprawiał sumę z asystą. Kościół był pełen wiernych. Organista i chór kościelny robili wszystko, na co tylko było ich stać. Po Ewangelii kazanie głosił Arnold Janssen. Trwało ono godzinę i kwadrans. Brat Juniperus odnotował ten fakt i dodał: „Trwało to za długo, suma i kazanie". On sam zaraz po kazaniu wyszedł. Spieszył do kuchni, gdzie czekała go jeszcze wielka praca.

Po sumie wierni zwiedzali nieliczne i puste pomieszczenia Domu Misyjnego i ogród, który liczył dwie morgi. Następnie były oficjalne fotografie - Domu, jego mieszkańców i zaproszonych gości. Fotograf przybył z Kempen i wykonał zadanie gratis. Ale też chyba z tego powodu, jak się potem okazało, nie udało się ani jedno zdjęcie.

Potem wszyscy zasiedli do świątecznego stołu. Było już po godzinie pierwszej. O to, by starczyło na 26 nakryć, postarał się brat Juniperus. Zachował się nawet zapis menu z tego dnia. Dokładnie wylicza się kluski w zupie, musztardę i ogórki. Odnotowano również wiernie, na czyją cześć wznoszono toasty.

O godzinie 16.00 byio nabożeństwo, po którym śpiewano Litanię do Wszystkich Świętych. Następnie dziekan z Venlo, w asyście Arnolda Janssena, poświęci! Dom. „Odbyło się to szybko" - zanotował brat Juniperus. Dopiero około godziny 18.00, kiedy prawdopodobnie większość gości opuściła już Dom Misyjny, nadszedł telegram z błogosławieństwem papieskim. Założyciel, który juz 5 września zamówił to błogosławieństwo, promieniował przez cały dzień radością, jakiej dotąd u niego nie było widać. Prawdopodobnie od rana czekał na tę depeszę. Niewykluczone, ze po tym telegramie udano się jeszcze raz do kościoła, by na jego podziękowanie odśpiewać *Te Deum.*

Wkrótce nastała cisza na zewnątrz i wewnątrz Domu. Odmówiono modlitwy wieczorne i ogłoszono „Porządek". Być może był to juz swego rodzaju „Porządek Dzienny". Postanowiono również (o czym wiemy z późniejszego listu Arnolda Janssena) zachowywać regułę III zakonu św. Dominika. Wieczór 8 września był zatem „początkiem życia w modlitwie, pracy i samozaparciu, jakie powinny być prowadzone w tym Domu". Przez kogo realizowane? Przez czterech mieszkańców! Przez rektora. Przez studenta teologii Reicharta. Przez czeladnika stolarskiego Henryka Erlemanna, który był równocześnie pierwszym uczniem, i u którego na warsztacie stolarskim leżała gramatyka łacińska. Przez kucharza, brata kapucyńskiego Jumperusa, który zamiast habitu nosił cywilne ubranie, a przy tym długą brodę. Temu ostatniemu „klasztor bez modlitwy chórowej" wydawał się co najmniej dziwny, a wielkie ubóstwo prawie niezrozumiałe.

Niektóre myśli przewodnie Rektora

„Chciałbym jeszcze zwrócić uwagę na treść niektórych napisów rozmieszczonych w Domu i kościele" - pisał Założyciel w sprawozdaniu z uroczystości w „Posłańcu Serca Jezusowego".

Nad naszymi drzwiami umieściliśmy cytat: „Jeżeli Pan domu nie zbuduje, na próżno się trudzą ci, którzy jego wznoszą" (Ps 127).

Nakaz ewangeliczny: „Idźcie na cały świat!" jest wyzwaniem dla katolickich narodów do udziału w wielkim dziele misyjnym (w Domu Misyjnym nie było nacjonalizmu).

Na chórze kościoła znajdował się napis: „Proście Pana żniwa, aby posiał robotników..." Pomoc Pana jest potrzebna do wykonania najważniejszego zadania, mianowicie, do budzenia powołań, do skierowania do naszego Domu odpowiednich ludzi.

W sali przyjęć nad krzyżem zawieszono słowa: „To jest zwycięstwo, które zwycięża świat, wiara nasza"(l J 5,4). Misjonarz musi czynić wszystko, co mu dyktuje ludzka roztropność. Nie może jednak zaufać środkom ludzkim, ale nadprzyrodzonej pomocy Bożej i wewnętrznej sile samej wiary. To nic zewnętrzne urządzenia Domu są najważniejsze, ale przede wszystkim dobry duch, z którego będzie czerpał podstawową siłę i moc.

Kończąc wyjaśnienie znaczeń tych napisów Założyciel pisał: Niech nam tego użyczy Najwyższy, którego pomocy z pokorą wzywaliśmy.

„W pokorze"

W pokorze prosili Najwyższego o Jego boskie wsparcie; nie był to pusty frazes. Z pokorą głosił rano Arnold Janssen kazanie. Poprosił go o to chorujący rektor wiejskiego kościoła.

Zachowało się pięć stron manuskryptu, na których pełno jest skreśleń, uzupełnień, dopisków na marginesie i znowu przekreśleń. Całość nie jest arcydziełem retoryki. Owego ranka kaznodzieja zasypywał swoich słuchaczy cyframi, statystykami zaludnienia różnych części ziemi, krajów i statystykami religijnymi. Nawet w tych lepszych, bardziej przemyślanych i dopracowanych pod względem językowym fragmentach kazania znalazły się sformułowania, których doświadczony kaznodzieja wiedzący, czym można porwać słuchaczy, nigdy by nie powiedział. Jednakże Arnold Janssen nie chciał wystąpić w roli wielkiego kaznodziei. Nigdy nim nie był, nawet w późniejszym okresie, kiedy Steyl stanowił wielką wspólnotę. Podobnie więc było w ów uroczysty poranek. Z wykształcenia i z dwunastoletniej praktyki był nauczycielem matematyki, a od pewnego czasu również redaktorem małego czasopisma. Nie dawno, bo dopiero od roku uświadomił sobie po raz pierwszy, że być może to właśnie on jest

powołany do założenia Domu Misyjnego; od tego czasu krok po kroku utrwalało się w nim to przekonanie. Powołanie do tak wielkiego dzieła Arnold Janssen traktował jako wezwanie Boze. Kiedy zatem głosił kazanie o Domu Misyjnym, nie mówił jak o jakimś przedsięwzięciu, ale jako o zadaniu zleconym mu przez Boga.

Zabiegał i w końcu uzyskał dla tego Domu aprobatę wielu biskupów. Prasa katolicka w różnych krajach informowana przez niego osobiście, zamieszczała okolicznościowe sprawozdania. Arnold Janssen w czasie uroczystego kazania powiedział o Domu Misyjnym: „Co z tego Domu będzie, jeszcze nie wiemy. Nie wszystko, co się zamierza, osiąga swój cel". To prawda, zarówno od strony teoretycznej, jak i teologicznej. Jednakże takie teologiczne stwierdzenie w inauguracyjnym kazaniu, które miało zagrzać i porwać słuchaczy dla idei Domu, nie bardzo było na miejscu. Arnold Janssen nie zwracał jednak na to uwagi. Powiedział to, co było wynikiem jego przemyśleń, a przede wszystkim to, co w czasie modlitwy poznał jako prawdziwe i słuszne. Ta prostolinijność i rzeczowość sprawiały, że w późniejszych kontaktach z wyższymi władzami kościelnymi i państwowymi miewał liczne kłopoty. Równocześnie ta cecha charakteru przysparzała mu wielu Bożych przyjaciół jako współpracowników i dobroczyńców dzieła. Trka bowiem postawa musi zauroczyć każdego głęboko religijnego człowieka.

Pod koniec kazania Arnold Janssen jeszcze raz powrócił do tego tematu, jak gdyby ten był główną troską kaznodziei, a którego nikt nie powinien przeoczyć: „Dobry Bóg pomaga! (mianowicie jemu, Arnoldowi Janssenowi, który zapoczątkował sprawę Domu Misyjnego) i po wielu zabiegach i troskach udzieli! mu koniecznego wsparcia na skromny początek. Czy z tego Domu coś będzie, sam Bóg to wie... Świadomi bowiem jesteśmy, że siłami, jakie obecnie mamy, nie będziemy mogli wywiązać się z naszego zadania, ale ufamy, że dobry Bóg dostarczy wszystkiego, czego będzie mu potrzeba. Niech Bóg z nami czyni, co Mu się podoba. Jeżeli będzie coś z tego Domu, podziękujemy łaskawości Bożej, a jeżeli nie będzie, to z pokorą uderzymy się w pierś i wyznamy: Nie byliśmy godni tej laski".

Tak kończyło się nieco przydługie kazanie. Nawet gdybyśmy się czuli wówczas zmęczeni, z pewnością podnieślibyśmy głowy spod ambony w wiejskim kościele w Steyl na tego, który przemawiał. Jak może ktoś tak mówić? Ten człowiek musi być niezwykle rzeczowy. Nie jest żadnym fantastą. Nic szuka siebie. Nie pracuje dla siebie, ale dla sprawy. Wypowiada się niezgodnie z regułami sztuki: nawet gdyby wzbudził w swych słuchaczach jakiś entuzjazm dla Domu Misyjnego, natychmiast studzi go mówiąc: być może z tego Domu nic nie będzie. I stanie się to z naszej winy. Będziemy musieli wówczas powiedzieć, nie byliśmy warci Łaski.

Taki był Arnold Janssen. Odznaczał się pobożnością, która z teologicznego punktu widzenia była bez zarzutu. Bóg ponad wszystko. Jemu jednak nie chodziło tylko o poprawność teologiczną, ale o linię postępowania. Bóg, Chrystus, Kościół były dla niego rzeczywistościami, które ocenia! trzeźwo, tak trzeźwo jak sprawy dnia codziennego. Stawia! na nie, jak na pieniądze i inne rzeczy. Nie przymykał na nie oczu po to, by osiągnąć efekty swego kazania. Wielkie rzeczywistości, takie jak Opatrzność, powołanie Boże i odwaga, związane z wezwaniem Bożym, działanie wszechmocnego Boga i współdziałanie stworzenia: te rzeczywistości wiary są dla tego matematyka, stojącego na ambonie, faktami, z którymi dzieli się ze słuchaczami w trzeźwej, realistycznej, pełnej wiary refleksji. Każdy, kto nazywał siebie chrześcijaninem, musiał czuć się poruszony wiarą kaznodziei, a może nawet nieco zawstydzony.

Powtórzenie kazania

Dwadzieścia pięć lat później, gdy Arnold Janssen w St. Gabriel czuwał nad powstawaniem księgi pamiątkowej, i w zasadzie ją dyktował, chociaż za jej autora uchodzi ojciec H. auf der Heide, kazał sobie - między innymi - przysłać ze Steyl manuskrypt wyżej wspomnianego kazania. Teraz po 25 latach przekazywał do zecerni skrócony jego tekst. Liczna rzesza kapłanów, braci i sióstr w domach misyjnych w ojczyźnie i w rozwijających się misjach otrzyma tę księgę pamiątkową i będzie z podziwem czytała pierwsze podsumowanie,

mówiące o imponującym wzroście i bogactwie osiągnięć dzieła misyjnego ze Steyl, któremu poświęcili swe życie. Dla tych wszystkich, swoich synów i córek, pragnął Założyciel jeszcze raz powtórzyć kazanie, które wówczas wygłosił w steylowskim, wiejskim kościele. Głosi je nam również dziś.

Tak musicie pracować i ryzykować dla Królestwa Bożego. Nie bądźcie małoduszni, ale porywajcie się na wielkie przedsięwzięcia. Nie miejcie zaufania do własnych sił, ale liczcie na pomoc Bożą. Możecie i powinniście się trudzić do granic możliwości, jednak ciągle ze wzrokiem utkwionym w najłaskawszego Boga, który jest źródłem wszelkiego dobra. Jeśli coś z tego wyniknie, z waszej odwagi i z waszej pokornej pracy, wówczas podziękujemy łasce Bożej, jeśli jednak niczego nie osiągniemy, wtedy uderzymy się z pokorą w pierś i wyznamy: Nie byliśmy godni tej łaski.

(Za: *„Nova et Vetera"* 1962, 981-984)

Tłumaczył Alfons Labudda SVD

Fritz Bornemann SVD

PIERWSZE STATUTY I UROCZYSTA PROFESJA 1876

Pierwsze osiem miesięcy w Steyl przyniosły Ojcu Arnoldowi Janssenowi głębokie cierpienie. Tak wspominał je również później, kiedy dzieło to już wspaniale się rozwinęło. Proboszcz A.L. von Essen, który razem zakładał Seminarium Misyjne, w marcu 1876 r. rozstał się z Ojcem Janssenem, 22 kwietnia opuścił Steyl proboszcz Peter Bill, zaś 20 minorysta Franz Xaver Reichart. Jako jedyny towarzysz pozostał przy nim minorysta Johann Baptist Anzer i nieliczni uczniowie. Wszystko to ojciec Herman Fischer przedstawił w biografii błogosławionego Założyciela.

1. Dwaj redaktorzy

Nieporozumienia powstałe w pierwszych miesiącach dotyczyły Statutów Domu Misyjnego w Steyl.Czy Steyl ma być w przyszłości Seminarium Misyjnym w przyjętym tego słowa znaczeniu dla kapłanów, ewentualnie jeszcze dla teologów, przygotowujących się bezpośrednio do służby misyjnej, czy gimnazjum (szkołą apostolską)? Czy wszyscy członkowie tego Domu mają się przygotować na misje, czy ma też być osobna grupa nauczycieli i uczonych? Czy dzieło ma być Instytutem Księży Diecezjalnych, albo instytutem zakonnym, np. dominikańskim? Dyskutowano również nad porządkiem dziennym i praktykami modlitewnymi. Kiedy nieporozumienia przybrały ostrą formę, sprawę rozstrzygnął 17 marca biskup z Roermond, który na zażalenie ks. Billa odpowiedział: należy opracować reguły i statuty, aby każdy wiedział, czego się trzymać.

Tak więc pozostał jedynie Johann Baptist Anzer. Ale i on zamyślał odejść. Kiedy jednak biskup przekazał mu wiadomość, że w Ratysbonie może jedynie dalej studiować pod warunkiem, że na stale

pozostanie w diecezji, czyli zrezygnuje z pracy misyjnej, pozostał w Steyl; chciał za wszelką cenę wyjechać na misje.

Dnia 20 marca wręczył rektorowi Arnoldowi Janssenowi pismo. Czytanw w nim: „Wyartykułowane otwarcie ostatnio różnice między nami, istnieją już od dawna. Kto ponosi za to winę, tego nie chcę tu dochodzić; być może na każdego z nas przypadłaby odpowiednia porcja". Nie można również po prostu powiedzieć: „Wielkie dzieła muszą napotkać na wielkie trudności", ale każdy powinien uważnie przebadać swoje sumienie, czy przypadkiem z własnej winy nie stal się przyczyną zaistniałych trudności. „Również i ja nie byłem wolny całkowicie od tych różnic, a główna przyczyna tego leży w nastawieniu, z jakim się przyłączyłem do Księdza i tego dzieła. Moje myśli i oczekiwania były zbyt idealistyczne. Jeszcze raz mogłem się przekonać, że nawet w obliczu najświętszych dzieł ludzie pozostają ludźmi, bo działają czasem zbyt po ludzku".

Dnia 7 kwietnia Anzer wręczył Rektorowi drugie pismo. Pisał tam między innymi: „Jeśli błądzę, proszę mi natychmiast zwrócić uwagę. Wprawdzie postanowiłem realizować najwierniejsze i radosne posłuszeństwo, nawet wtedy, gdy zlecone zostaną mi sprawy, które będą mi się wydawały przeciwne moim przekonaniom czy memu stanowi; ale slaby człowiek potrzebuje zbyt często wsparcia. Doskonale rozumiem konieczność zdobycia przynajmniej pewnego stopnia doskonałości, zanim wyruszę na misje, aby nie stać się nieużytecznym i niezdolnym sługą w winnicy Pańskiej". Dodaje jednak także: „Należy jak najszybciej ułożyć Statuty, i to wspólnie, zgodnie z obietnicą Księdza i tak, jak tego wymaga natura sprawy... Gdyby znalazły się punkty, co do których nie będziemy mogli dojść do zgody, pozostawimy je do rozstrzygnięcia władzy kościelnej, która i tak będzie musiała Statuty przejrzeć i zatwierdzić".

Oto atmosfera, w jakiej Arnold Janssen i Anzer na początku maja 1876 r. zasiedli do stołu, by spisać Statuty. Pierwszy podpis pod nimi nosi datę 8 maja, ostatni 5 czerwca.

Arnold Janssen liczył wówczas 39 lat, Anzer nie ukończył jeszcze 25 lat i miał tylko niższe święcenia. Statuty nie stanowią dyktatu

Arnolda Janssena, ale są dziełem wspólnej pracy. Jesteśmy moralnie pewni, że wiele sformułowań jest wynikiem kompromisu. Zebrane Statuty wypełniają sześć stron luźno pisanego maszynopisu. Do tego dochodzi dwustronicowy dodatek: O duchu naszego Stowarzyszenia.

2. Z treści Statutów

Tytuł: „Statuty Domu Misyjnego pod wezwaniem świętego Michała Archanioła". Mimo wciąż niejasnej sytuacji obydwaj myślami wybiegają daleko poza aktualny stan Domu Misyjnego, marząc o Stowarzyszeniu, któremu chcieliby nadać nazwę: „Stowarzyszenia Słowa Bożego w służbie Króla i Królowej Aniołów". Liczą na nowe kolegia misyjne.

Zadaniem Stowarzyszenia ma być praca ewangelizacyjna wśród ludów niekatolickich, szczególnie wśród pogan. Powinno się pracować tam, gdzie działalność taka okaże się najbardziej opłacalna.

Stowarzyszenie będzie przygotowywało młodych ludzi do kapłaństwa, będzie ich wysyłało i wspierało finansowo, tak by mogli pracować. W ojczyźnie położy się duchowe fundamenty przez modlitwę, umartwienia, ofiarowanie dobrych uczynków i przyjmowanie sakramentów. Dla idei misyjnej będzie się usiłowało zdobyć lud chrześcijański, by rodzice byli gotowi oddać swe dzieci dla tego dzieła, a wszyscy chrześcijanie wspierali misje przez modlitwę i jałmużnę.

Podczas gdy Arnold Janssen początkowo myślał o dwóch grupach członków, mianowicie o misjonarzach i nauczycielach-uczonych, zaproponował kompromisowe sformułowanie. Praca misjonarzy powinna mieć podwójny charakter: duszpasterski i nauczycielski. Każdy wstępujący powinien być gotów do podjęcia obydwu rodzajów prac. Gdyby jednak ktoś uważał, że jest powołany jedynie do jednego z tych zadań, mógłby również być przyjęty, na przykład, gdyby w przyszłości chciał pracować tylko jako misjonarz.

Intelektualne i duchowe podstawy całego przedsięwzięcia zostały zawarte w paragrafie 5: Rozstrzygającą sprawą jest Bóg i człowiek,

który czuje swą całkowitą zależność od Boga. Człowiek, który uznaje Boga za absolutnego Stworzyciela - i tylko taki - nadaje się do przyjęcia do Stowarzyszenia misyjnego. „Stowarzyszenie jako fundament swego istnienia i swej działalności zakłada poznanie własnej nicości, i uznanie wielkości, miłości i łaski Boga". A zatem nie tylko poszczególny członek, ale cała wspólnota jako taka - sformułowanie jakiego zazwyczaj się nie spotyka.

Paragraf 6 podkreślał cześć dla Trójcy Przenajświętszej: Stowarzyszenie nie może się powstrzymać od tego, aby nie złożyć bezpośrednio należnej czci samej Trójcy Świętej, w jedności z aniołami. Szczególnie czci ono Słowo Przedwieczne, i cierpiącego Pana. Szczególną uwagą obdarza aniołów. Uzasadnia się także wybór Patronów głównych i drugorzędnych.

W uwagach na temat ubioru dochodzi do głosu różnica poglądów między Arnoldem Janssenem i Johannem Baptistą Anzerem. Nie można ustalić niczego wiążącego na przyszłość, jeśli me uzyska się zgody obydwu podpisanych.

Na temat przyjęcia do Stowarzyszenia, wprowadzenia i nowicjatu oraz wyboru przełożonych będzie jeszcze mowa.

3. Lista profesów

Całkiem na końcu znajduje się na jednej stronie własnoręcznie dopisana przez Arnolda Janssena lista imion i dat pod tytułem: „Na powyższą regułę profesję złożyli"[1]. Jest to jeden z najbardziej wzruszających dokumentów z czasów powstania Domu. Te suche zapisy i daty są wyrazem ciągle rosnącej liczby osób, najczęściej młodych ludzi, którzy oddawali się do dyspozycji idei misyjnej, tak jak jest realizowana przez dzieło misyjne ze Steyl. Jeśli jakieś zgromadzenie jest tak silne, jak osobowości, które dobrowolnie się do mego przyłączają, i są gotowe mu się podporządkować i przyporządkować, wtedy

[1] Por. J.Tyczka, *Śluby w Konstytucjach SVD* (seria: Zeszyty Werbistowskie, nr 3), Warszawa 1996, s. 24, gdzie wymieniona jest pełna Usta nazwisk.

lista ta wyraża podsumowanie energii, jaka koncentrowała się w małym steylowskim Domu dla Królestwa Bożego.

Pod datą 16 czerwca 1876 r., zatem 14 dni po sporządzeniu Statutów, wpisano dwa nazwiska z uwagą „na zawsze". Są to Arnold Janssen i Jan Chrzciciel Anzer.

Po nich wymienione są nazwiska 20 kleryków i 2 braci, brata Franciszka i brata Czesława, którzy związali się na 9 lat i pojechali do Chin. - Wśród kleryków znajdujemy: Johannesa Janssena i Hermanna Josef a Wegenera, którzy w 1877 r. ślubowali na 3 lata, a w 1880 r. na zawsze. A zatem łącznie z Arnoldem Janssenem i Janem Chrzcicielem Anzerem na te Statuty wieczystą profesję złożyły cztery osoby. Pozostali klerycy ślubowali na 3 lub 5 lat. Ojciec Freinademetz złożył profesję w 1879 r. na 5 lat i zaraz potem wyjechał do Chin. Po pięciu latach, w 1884 r., zwrócił się do Steyl z zapytaniem, czy może się temu dziełu poświęcić na zawsze. Założyciel prosił go, by poczekał do uchwalenia nowych Reguł. W 1885 r. ojciec Freinademetz złożył śluby wieczyste na nową Regułę.

Na liście Arnolda Janssena czytamy znane nazwiska: ojciec Heinrich Muller, ojciec Holthausen, ojciec Wewel, ojciec Blum, ojciec Biicker, ojciec Erlemann, ojciec Limbrock, ojciec Weber, ojciec Niess, ojciec Henninghaus.

Na osobistym, wspartym łaską Bożą oddaniu tych mężów i ich silnemu zaangażowaniu, powstawało dzieło misyjne ze Steyl.

4. Pierwsza profesja wieczysta

Początek stanowi godna pamięci data 16 czerwca 1876 r., dzień wieczystej profesji Ojca Arnolda Janssena i Johanna Baptisty Anzera. Rankiem tego dnia po raz pierwszy odprawiono w małej kaplicy w Steyl Ofiarę Mszy św. i rozpoczęto przechowywanie Najświętszego Sakramentu w tabernakulum. Po południu odbyła się uroczystość złożenia ślubów.

Gdyby zapytać, kto spośród obu klęczących złożył większą ofiarę, pomyślelibyśmy słusznie o podwładnym J.B. Anzerze. Przez akt po-

święcenia, tak jak Arnold Janssen - oddał się Bogu i służbie misyjnej; jednocześnie na płaszczyźnie ludzkiej podporządkowywał się klęczącemu obok mego Arnoldowi Janssenowi. Dla Anzera to poświęcenie było ostateczną i osobistą decyzją; było ofiarą serca.

Dla Arnolda Janssena natomiast poświęcenie to oznaczało - po wielu miesiącach zmagań - pierwszą konsolidację jego dzieła, pierwszą spokojną przerwę, cezurę w jego rozwoju. Osobistą decyzję podjął Arnold Janssen już wcześniej w 1 874 r., kiedy postanowił aktywnie włączyć się w powstanie Domu Misyjnego: kiedy przekroczy! granicę holenderską w celu znalezienia Domu; kiedy swoje nazwisko umieścił w czasopiśmie, by zdobyć dla planowanej fundacji ludzi i środki; kiedy udał się w podróż do biskupów niemieckich, austriackich i holenderskich. Od tego momentu szedł dalej, często w ciemnościach. Dnia 16 czerwca 1875 r. - w setną rocznicę objawień Serca Jezusowego Małgorzacie Marii Alacoque - poświęcił się wraz z ks. Billem i J.B. Anzerem dziełu misyjnemu. Potem powstały w tym małym Domu miesiące kryzysu. Obecnie, przez wspólne poświęcenie siebie i Anzera, poczuł grunt pod nogami i nieco odetchnął.

Anzer uczynił tego popołudnia decydujący krok, związał bowiem swój los z losem Arnolda Janssena. Arnold Janssen zyskał towarzysza i podwładnego. J.B. Anzer przez poświęcenie podporządkował się Bogu i sprawie Królestwa Bożego, ale także drugiemu człowiekowi. To podporządkowanie Arnoldowi Janssenowi było pierwszym wielkim wkładem Anzera do powstania dzieła misyjnego ze Steyl.

5. Anzer - rzecznik miłości

Jak wielka była subiektywnie ofiara Anzera, wynika z pisma, które 20 marca skierował do Arnolda Janssena: „Wierzyłem, że znajdę tu braci albo jeśli Ksiądz woli, ojców, a ledwo znalazłem przyjaciół, którzy szczerze i uczciwie ze mną postępują. Jeśli w odniesieniu do osoby Księdza, jestem w błędzie, proszę pokornie o wybaczenie, a nawet o pokutę. Ale mówiąc szczerze, sposób postępowania Księdza doprowadził mnie do takiej nieufności (...) Proszę nic mówić, że postępował Ksiądz w ten sposób z pobudek ascetycznych; gdyż moje

pytania były tego rodzaju, że nawet w najsurowszym klasztorze otrzymuje się już przy wstąpieniu pełną informację. Tymczasem nie jestem tu w klasztorze, ale jestem tu po to, co Ksiądz często powtarzał, aby stać się współzałożycielem niemieckiego Domu Misyjnego (...) Poszukujemy ducha, który powinien panować w tym Domu. Ale o jakiego ducha chodzi? Czy ma to być duch posłuszeństwa? Wierzę, że nic brakuje nam posłuszeństwa, ale punktualności i radości w słuchaniu. Czy ma to być duch pokory? Zaparcia? Z pewnością mogłoby tu być jeszcze lepiej. Ale właściwy duch, jaki tu powinien panować (który obejmuje także posłuszeństwo, pokorę, zaparcie) to duch braterskiej miłości, duch wspólnotowego działania, duch miłości do świętego Kościoła, żarliwe pragnienie, by w ratowaniu dusz nie szczędzić potu i krwi. Takim duchem, takim ogniem miłości mają płonąć serca w tym Domu (...) Lubię otwartość i prawdę, a nienawidzę skrytości i zakłamania. Dążę do osiągnięcia miłości braterskiej, gdyż tylko miłość tworzy wielkie rzeczy. Proszę to robić (...) Gdybym się tej miłości przeciwstawiał, niech mnie Ksiądz wydali z tego Domu. Chętnie stanę się ofiarą, aby tylko dzieło to się udało".

Była to wyraźna mowa, a ponieważ list był skierowany bezpośrednio do Arnolda Janssena, możemy przypuszczać, że w owym początkowym okresie w Steyl uprzejmość nie była cechą dominującą u Arnolda Janssena. Jego siła polegała na czymś innym.

6. Duch Zgromadzenia

Młody Arnold Janssen był mężem Bożym, ogarniętym duchem Bożym. Jego myśli krążyły wokół: wielkości Boga a małości człowieka; absolutnego Boga i zależnego całkowicie człowieka; Boga Stworzyciela i stworzonego człowieka.

Te myśli stanowią podstawę dla wywodów końcowego rozdziału Statutów 1876 r., mianowicie wspomnianego już dodatku pod tytułem: „Duch naszego Stowarzyszenia". Rozpoczyna się on słowami: „Ma on być duchem oddania, duchem wiary i zaufania, duchem pokory i samozaparcia". „Stowarzyszenie tylko wtedy może coś dobrego zdziałać, kiedy się stanie bezwolnym narzędziem w ręku Boga".

Potem następują dalsze gruntowne i praktyczne wywody. Wszystkie jednak dotyczą zasadniczo stosunków między przełożonym i poddanym. Zwróćmy uwagę na jedno zdanie: „Jakkolwiek przełożony nie może kierować się przeświadczeniem, że każdy wydany przez niego rozkaz, jest zgodny z wolą Bożą, to w każdym razie wolą Bożą jest, aby podwładni byli posłuszni. Bóg zaś nie pozwoli, aby na drodze posłuszeństwa i utożsamienia woli swej z wolą przełożonych cośkolwiek ucierpieli".

Arnold Janssen żądał ducha posłuszeństwa, pokory, samozaparcia. Są to dokładnie te punkty, które dosłownie wymienia w swoim piśmie Anzer, podkreślając dodatkowo ducha miłości. Jednakże 0 miłości braterskiej lub ojcowskiej rozdział ten nie wspomina. Jest to zrozumiałe. Arnold Janssen, po doświadczeniach pierwszego półrocza w Steyl, chciał do młodego Domu wprowadzić dyscyplinę 1 jedność. Musiał bronić swojej pozycji przełożonego. W tym celu wybrał najkrótszą drogę, drogę posłuszeństwa, pokory, samozaparcia. Są to konsekwencje wynikające z jego myślenia o Bogu, konsekwencje jego pobożności, opartej na stosunku człowieka do Boga, mające charakter wertykalny. Taki tez charakter, według niego, miał cechować autorytet przełożonego wobec poddanego. Nie wspomina jednak o konsekwencjach o charakterze horyzontalnym w odniesieniu do poszczególnego człowieka, do braterstwa, do braterskiej miłości, a więc tych cech, których jako podwładny oczekiwał Anzer. Fakt, że rozdział ten został przez Anzera „przyjęty", jest równocześnie dowodem, że - mimo iż Statuty przygotowywało dwóch ludzi - to Arnold Janssen był przełożonym, zarówno w sensie prawnym, jak i faktycznie mającym decydujący wpływ.

7. Idem est Spiritus - Ten sam duch

Kto zatem z nich obydwóch jest bardziej głęboki i bardziej prawdziwy? Obydwaj są autentyczni. Jest pewne, że żądania Arnolda Janssena są konsekwencją jego własnej wizji Boga. Był człowiekiem Bożym i dlatego był rzecznikiem autorytetu i podporządkowania.

Z latami Arnold Janssen stał się bardziej ojcowski i dobrotliwy. Pokazuje to wyraźnie korespondencja z lat 1900. Ale ta ojcowskość i dobroć były, wydaje się, cnotami wypracowanymi.

Jeśli zatem J.B. Anzer, ów spragniony miłości młody człowiek, złożył w czerwcu 1876 r. mimo wszystko śluby wieczyste na Statuty, tak mocno podkreślające podporządkowanie się przełożonemu (którym dla niego był Arnold Janssen), możemy powiedzieć, że złożył z głębi swej duszy ofiarę serca, i że ofiara ta miała charakter religijny, ze chodziło o „sprawy Królestwa Bożego".

Mamy więc przed sobą dwóch zupełnie różnych ludzi, którzy 16 czerwca 1876 r. złożyli profesję wieczystą na Statuty dzieła misyjnego ze Steyl. Dwie całkowicie odmienne osobowości, które, każda na swój sposób, ukazują strony nieskończenie doskonałego Boga, obydwie w radości i cierpieniu obiektywnie uzupełniały się razem w służbie dla Królestwa Bożego.

(Za: *„Nova et Vetera"* 1961, 869-874).

Tłumaczył Alfons Labudda SVD

Brat Eugeniusz SVD

OSTATNIA SERENADA DLA OJCA ARNOLDA

W notatkach ojca Fischera, biografa Ojca Arnolda, znaleziono rękopis, który jak się okazało, jest wspomnienniem brata Eugeniusza, dyrygenta orkiestry braci z 1908 r. Zawiera on relaję ostatniego publicznego spotkania z Ojcem Założycielem.

Na krótko przed Bożym Narodzeniem 1908 r. umówiłem się z bratem Damianem, pielęgniarzem O. Arnolda, by się dowiedzieć czegoś w sprawie zorganizowania małego występu muzycznego dla całego Generalatu; miałem na uwadze przede wszystkim Ojca Arnolda. Brat Damian uważał, że sprawiłoby to Ojcu Arnoldowi wiele radości. Aby jednak się upewnić, czy się nie myli, brat Damian w pierwsze święto Bożego Narodzenia zapytał Założyciela o jego zdanie. Ojciec Arnold wyraził chęć spotkania się z nami.

Po obiedzie razem z innymi braćmi byłem w parafii Tegelcn, aby grać na organach. W tym dniu bowiem odbywała się tam wieczna adoracja. Tak więc dopiero w drugie święto Bożego Narodzenia około godz. 14.00 poszliśmy do Generalatu i w sieni zagraliśmy: „Cicha noc, święta noc". Przedtem jednak uchyliłem lekko drzwi, prowadzące na korytarz, gdzie mieszkał Założyciel. W czasie naszego muzykowania, wyszedł ze swego pokoju Ojciec Arnold i laską, którą się podpierał, otworzył na oścież drzwi od korytarza i poszedł prosto na pierwsze piętro przywołać brata Jakuba do swego pokoju. Po zagraniu trzech zwrotek tej pieśni, a także następnej „Rozkwitła różdżka Jessego" [Es ist ein Ros' entsprungen], Założyciel przyszedł do nas. Przeszedł się między muzykantami i wygłosi! małe przemówienie - wykład. Zauważy! przy tym, ze pieśni, które przed chwilą wykonaliśmy, wywołują w nim podniosłe uczucia. Zastanawiał się także nad bliskością swojej śmierci. Rozważając teksty owych pieśni, życzył

nam tego tego, co one wyrażają, byśmy grając na cześć Bożą, myśleli również o ich treści. Dalej życzył nam, abyśmy to, co czynimy teraz na ziemi, mianowicie muzykowanie na cześć Bożą, kontynuowali w wieczności. Następnie powiedział: bardzo to ładnie z waszej strony, żeście przyszli zagrać parę pieśni. Dziękuję wam serdecznie za to. 1 jeszcze jedno. Jest tu pewien stary brat, ma 85 lat i akurat dzisiaj obchodzi urodziny. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby to był tylko jeden ze starszych braci, których tu jest wielu. Ale jest to najstarszy brat. Musicie więc zagrać coś i dla niego. Przyszliście przecież także i do brata Jakuba, gdyż jego to miałem na myśli (Ojciec Arnold nie wymienił dotychczas imienia tego brata i poniekąd trzymał nas wszystkich w napięciu, kto to może być).

Brat Maternus odparł: „Ależ, proszę Ojca Superiora, przyszliśmy tylko z powodu Ojca". Po tych słowach Ojciec Arnold bardzo się ożywił i rzekł: „Już dobrze, ale przyszliście też ze względu na brata Jakuba, musicie więc i jemu coś zagrać".

Podczas tej rozmowy dłużyło się widocznie bratu Jakubowi w pokoju Ojca Arnolda i wrócił do siebie na górę.

Ojciec Arnold wtedy odszedł, a myśmy zagrali „Ave Maria" Fr. Abta. Nagle zobaczyliśmy Ojca Arnolda i brata Jakuba trzymających się pod rękę. Założyciel drugą ręką opierał się na lasce. Wyglądali jak dzieci, które nie dość pewnie trzymają się na własnych nogach, a usiłują znaleźć się szybko tam, gdzie spodziewają się jakiejś radości. Założyciel nie czul się przecież jeszcze zupełnie dobrze, a brat Jakub tym bardziej. Teraz jednak Ojciec Założyciel pociągał za sobą brata Jakuba (Ojciec Arnold po raz drugi sprowadził brata Jakuba z pierwszego pietra).

Kiedy doszli do miejsca, gdzie stała orkiestra, myślałem, że się zatrzymają. Chciałem bowiem jeszcze raz stanąć na krześle i rozpocząć nowy utwór. Ale Ojciec Założyciel z bratem Jakubem szli z trudem dalej. Tak więc cofnąłem się i zrobiłem miejsce, odstawiając na bok stojak z nutami. Kiedy doszli do grających, Ojciec Arnold powiedział: „A teraz musicie zagrać coś na cześć naszego dobrego brata Jakuba, który dzisiaj obchodzi swoje 85 urodziny" - uśmiechnął się

serdecznie i dodał: „Chciałbym mieć lata brata Jakuba. Najlepsze życzenia z okazji osiemdziesicciopięciolecia. Nasz dobry brat Jakub niech żyje, niech żyje, niech żyje"! W czasie składania życzeń brat Jakub uśmiecha! się potrząsając głową. Stali tak jeszcze chwilę, trzymając się pod rękę az w końcu odeszli. Po słowach „niech żyje" Ojciec Założyciel zaproponował, byśmy znowu coś zagrali. Zapytałem, czy moze teraz być coś wesołego, na przykład marsz. Na to Ojciec Arnold: „Tak, tak, zagrajcie teraz marsza".

Zagraliśmy więc marsza procesyjnego St. Hcnnette'go. Po wykonaniu go brat Jakub powiedział: „Juz dosyć nagraliście się, gdybym tak jeszcze był w świecie, to bym was poczęstował beczułką wina". Zapanowała wtedy ogólna wesołość, a Ojciec Arnold śmiał się tak serdecznie, jak może nigdy przedtem. Kiedy trzymając się pod rękę odeszli, graliśmy część koncertową z „La roche de la verite". I na tym skończyliśmy.

Brat Eugeniusz dodał na koniec:

Ojciec Założyciel słuchając naszego muzykowania przez cały czas był uśmiechnięty jak niewinne dziecko. Radość malowała się na jego twarzy.

Nie od rzeczy będzie przy okazji zwrócić uwagę na parę szczegółów, np.:

1. *Orkiestra.* Jeszcze przed 1900 r. próbowano utworzyć orkiestrę braci, jednak bezskutecznie. Druga próba około 1900 r., udała się. Do pierwszej czwórki muzyków należeli: bracia Eugeniusz Heil, Maternus Porten, Leopold Schacht (ur. na Warmii) i Remigiusz Bitsch. W 1906 r. było juz 18 grających, 1908 r. - 23, a w 1909 r. juz 28. Przed pierwszą wojną światową w orkiestrze stale grało 26 osób. Brali oni udział w procesjach Bożego Ciała (po raz pierwszy w 1903 r.) i w uroczystościach domowych. Dyrygentem do 1914 r. był brat Eugeniusz, po nim brat Oswinus (1915-1925), następnie brat Gilbert (1926-1939). W tym ostatnim okresie bardzo często dyrygował któryś z ojców - aktualny wykładowca muzyki w Domu (przedtem zdarzało się to bardzo rzadko). Po drugiej wojnie światowej orkiestrę braci zorganizowano na nowo, ale była juz mniej liczna.

2. *Brat Damian* - pielęgniarz Ojca Arnolda. Opiekował się Ojcem Arnoldem okoto 6 lat. Byl jego gońcem i pielęgniarzem. W czasie ostatniej choroby Założyciela został przydzielony całkowicie do jego dyspozycji. Kiedy Założycielowi po pierwszym porażeniu odrobinę się poprawiło, brat Damian podpierał go ramieniem, gdy ten wychodził do ogrodu, kaplicy lub odprawiał Drogę Krzyżową. P>rat Damian byl jednym z pierwszych braci w Zgromadzeniu. Jego nazwisko figuruje w wykazie osób sporządzonym przez Ojca Arnolda. Przez 7 lat był górnikiem w kopalni rudy, a przez 3 lata w kopalni węgla kamiennego. Następnie pracował jako robotnik budowlany. Do Zgromadzenia został przyjęty w 1878 r. (3 lata po założeniu Zgromadzenia SVD). Do nowicjatu dopuszczony jako 7 z rzędu. W pierwszym półroczu po wstąpieniu był oficjalnym pucyburem, przez 8 lat posłańcem, załatwiającym sprawy w Kaldenkirchen. Na początku miał do dyspozycji ręczny wózek, potem małego kucyka. Pracował także przy budowie, w ogrodzie, w warsztacie blacharskim i w młynie. W niedzielę i święta doił krowy. Od 1891-1895 pracował w ogrodzie, ponadto codziennie rano od godz. 6.30 do godz. 7.15 wydawał naftę do lamp. W niedzielę i święta pomiędzy godziną 1 1-12 rozlewał piwo. Zmarł w 1915 r. w Steyl w wieku 66 lat. Ojciec Blum, ówczesny przełożony generalny, wystawił mu w swoim pamiętniku bardzo chwalebne świadectwo. Napisał o nim: „Czynił wysiłki, aby sprostać powierzonym sobie obowiązkom".

3. *Brat Jakub Schiirmeyer.* We wczesnej młodości pracował w polu i ogrodzie. Do Steyl wstąpił mając 48 lat (1881). Przez dwa pierwsze lata ciężko pracował w drukarni - obracał kołem zamachowym maszyny drukarskiej. Potem był zatrudniony w pakowni - przy wysyłce czasopism, a następnie był bratem podróżującym. W wieku 66 lat, jako emeryt dostał zajęcie w bibliotece domowej. Przede wszystkim jednak był cenionym przewodnikiem - z natury uprzejmym i spokojnym. Ostatnia Gwiazdka Założyciela była i dla niego ostatnią: zmarł w lipcu 1909 r. w wieku 75 lar. Ojciec Arnold w swoim przemówieniu na Boże Narodzenie mówił o 85 latach. Widocznie musiał się pomylić. Ojciec Blum zanotował w swoim pamiętniku na temat brata Jakuba: „Służył wiernie Zgromadzeniu i toczył dobre boje".

4. W 1905 r. Ojciec Założyciel opuścił swój dotychczasowy pokój w Domu Misyjnym i przeniósł się do Domu św. Grzegorza na parter. Tam też umarł. Radcy generalni pozostali w Domu Misyjnym aż do 1907 r.

5. Tegelen wraz z kościołem św. Marcina było wtedy (i długo jeszcze potem) parafią, do której należał kościół rektoralny w Steyl. Kościół w Tegelen oddalony jest od Domu Misyjnego o 1,7 km. W czasie świąt Bożego Naro-

dzenia odprawiane jest tam zawsze czterdziestogodzinne nabożeństwo przed wystawionym Najświętszym Sakramentem. Od dziesiątków lat w pierwsze święto bracia (w liczbie 100-200) z Domu Misyjnego chodzili do Tegelen na adorację.

(Za: *„Verbum"* 1963, s. 87-90).

Tłumaczy! Józef Tyczka SVD

DEKRET O HEROICZNOSCI CNÓT SŁUGI BOŻEGO ARNOLDA JANSSENA ZAŁOŻYCIELA

1. Zgromadzenia Słowa Bożego
2. Misyjnej Kongregacji Służebnic Ducha Świętego
3. Kongregacji Służebnic Ducha Świętego od Wieczystej Adoracji

„Żniwo wprawdzie wielkie, ale robotników mało. Proście więc Pana żniwa, żeby wyprawił robotników na swoje żniwo" (M 9,37-38, Ł 10,2). Wielką troską Sługi Bożego Arnolda Janssena było: modlić się, ale także szkolić mężczyzn i kobiety dla winnicy Pańskiej, tj. dla misji zagranicznych.

Sługa Boży urodził się 5 listopad 1837 r. w Goch, diecezji monasterskiej i następnego dnia na chrzcie św. otrzymał imię Arnold. Po skończeniu nauk w niższym seminarium w Gaesdonck studiował w Munster, dzięki pozwoleniu swego biskupa, matematykę i nauki przyrodnicze, a potem teologię. Tam też (w Mtinstr) 15 sierpnia 1861 r. otrzymał święcenia kapłańskie.

Następnie biskup posłał go jako nauczyciela do szkoły miejskiej w Bocholt.

Od 1865 r. poświęcał się Apostolstwu Modlitwy, zostając jego dyrektorem diecezjalnym. Ze wzrastającym z dnia na dzień zapałem oddawał się sprawie Chrystusa i Jego Kościoła. Zbierał też fundusze na misje w Afryce Centralnej oraz na codzienną Mszę św. przy grobie św. Bonifacego w intencji zjednoczenia z odłączonymi braćmi, aby mogli „przybliżyć się do tej pełni jedności, jakiej chce Jezus Chrystus" (DE 1,4).

W październiku 1873 r., po dwunastu latach pracy nauczycielskiej, założył popularne czasopismo misyjne, pragnąc dostarczać rzeczowych informacji o misjach i popierać potrzebę modlitwy w tych intencjach. Był przekonany, że jeżeli ktoś modli się za misje, gotów jest też misje wspierać. Przecież „wszyscy wierni zobowiązani są do współpracy w szerzeniu i Jego rozwoju (tzn. Chrystusowego Ciała, DM 1,36).

Po dojrzałem namyśle postanowił założyć w Holandii, blisko granicy niemieckiej, seminarium misyjne, ponieważ w samych Niemczech założenie takiego uniemożliwiały ówczesne ustawy Kulturkampfu. Zapewniwszy sobie błogosławieństwo Ojca świętego, mógł 8 września 1875 r., otworzyć w Steyl seminarium misyjne, przeznaczone dla Niemiec, Holandii i Austrii. Chociaż Sługa Boży bardzo surowo oceniał zgłaszających się kandydatów i wcześniej zwalniał takich, którzy się nic nadawali, to liczba alumnów stale wzrastała. Od wszystkich wymagał ducha modlitwy, którego autentyczność musiała się ujawniać przez pokorę i nienaganne życie; rzetelną pracę, popartą dobrymi wynikami; gotowość przyjęcia skierowania do pracy w ramach posłuszeństwa; życie w duchu ewangelicznego ubóstwa, gotowego do wszelkich ofiar; a więc takiej właśnie formacji religijnej, jakiej w naszych czasach wymaga Sobór Watykański II (DFK 25).

W 1879 r. wystał pierwszych misjonarzy do Chin; w 1892 r. do Togo; w 1896 r. do Nowej Gwinei; w 1905 r. dla ludności murzyńskiej Północnej Ameryki, w 1906 r. do Japonii, w 1908 r. do Indian w Paragwaju. Od 1889 r. kapłani i bracia byli do dyspozycji parafii, szkól i seminariów w krajach Ameryki Południowej, ubogich w księży; i tak pierwsi werbiści osiedlili się w 1889 r. w Argentynie, w 1 893 r. w Ekwadorze, w 1895 r. w Brazylii, w 1900 r. w Chile. Na krótko przed śmiercią wszczął pertraktacje w sprawie wysłania kapłanów na Filipiny.

Do kapłanów dołączyli bracia i siostry misyjne. Po długim przygotowaniu założył w 1889 r. zgromadzenie sióstr misyjnych, Służebnic Ducha Świętego. W 1896 r. powstało w ich wspólnocie odgałęzienie sióstr klauzurowych od Wieczystej Adoracji, które od 1917 r. tworzy samodzielne Zgromadzenie. Poza tym założył kilka domów misyjnych w Niemczech i Austrii, a także kolegium w Rzymie, zaś w 1908 r. pierwszy dom misyjny w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Ponieważ Sługa Boży wysyłał misjonarzy do wszystkich części świata, popierał wielkodusznie badania naukowe, dotyczące obcych języków i kultur. Przyszli misjonarze uczyli się doceniać inne kultury oraz ich znaczenie dla ducha jakiegoś narodu, a także zwracali uwagę na ziarna Bożej prawdy, tkwiące w religiach narodów, które jeszcze nie znają Chrystusowej drogi zbawienia. Pielęgnując w ten sposób etnologię, socjologię i religiologię, Sługa Boży włożył zasadniczy wkład w wyszkolenie misjonarzy, wprowadzając działalność misyjną Kościoła na nowe tory, wyprzedzając tym samym wymagania ostatniego Soboru (por. DM 26 i 34; KK).

Tak w tej sprawie, jak i w dziedzinie apostolstwa prasy byl człowiekiem postępowym. Tę dziedzinę działalności specjalnie powierzał braciom, zabiegając o ich techniczne i handlowe wykształcenie; był to Jego wkład w kształtowanie nowego typu brata. Bracia ci „zdobywali" tysiące gotowych do współpracy ludzi świeckich, którzy roznosili czasopisma do setek tysięcy rodzin, podtrzymując tym samym zrozumienie dla dzieła misyjnego. Dzięki temu Sługa Boży zyskał armię modlących się ludzi oraz dusz ofiarnych dla sprawy misyjnej, którzy w poczuciu odpowiedzialności popierali pracę misyjną Kościoła, do czego współcześnie zachęcał Sobór Watykański II (por. DA 3, 10, 33).

Z otwarciem się na prawdziwy postęp łączył Sługa Boży silną i szczerą miłość do Kościoła, wywodzącą się z niewzruszonej wiary. Bóg, Chrystus, Kościół, łaska, sakramenty święte, aniołowie i święci byli dla niego rzeczywistością, w łączności z którymi stale żył. Po każdym wybiciu kwadransa na zegarze, skupiał się na moment na modlitwie. Jego hasłem było: „Niech żyje Trójjedyny Bóg w sercach naszych". Wcielonemu Słowu Bożemu poświęcił swą pierwszą fundację. Ilekroć przyszło mu mówić o osobowej miłości Boga, tj. o Duchu Świętym, któremu poświęcił nowo założone Zgromadzenie

Sióstr, błyszczały mu oczy. Stała łączność z Bogiem sprawiała, ze Sługa Boży - mimo niezwykłych dokonań - pozostał zawsze skromny i prosty; wiedział, że jest tylko narzędziem w ręku Boga.

Kierując swym dziełem, starał się o to, by pozostawać zawsze sprawiedliwym i bezstronnym, pamiętając o zasadzie: „Trzeba wysłuchać także stronę przeciwną". W sprawach zasadniczych i istotnych byl surowy, w mniej ważnych życzliwie uwzględniał osobowość drugiego człowieka. Przy rozwiązywaniu trudnych zagadnień okazywał się zawsze mężem prostolinijnym i szczerym, stroniącym od dyplomatycznej dwulicowości.

Upominał nic tylko skromnego, prostego współbrata, ale także osoby piastujące wysoką rangę w hierarchii kościelnej. Upomnienia jego miały przy tym zawsze znamię szacunku dla drugiego człowieka i szczerej, nadprzyrodzonej miłości.

Nie wahał się pytać o radę także młodszych współbraci, a także mianować ich swoimi konsultorami. Wszystkie trudności starał się rozwiązywać w zgodzie ż wolą Bożą, zdając się na Opatrzność Bożą.

Przez trzydzieści lat pokazywał swym współbraciom, ze przy całej zewnętrznej aktywności trzeba ciągle od nowa szukać wewnętrznej łączności z Bogiem i modlitwy, by znajdować siły i Bożą pomoc dla swej pracy.

Kiedy pojawiły się u mego objawy zbliżającej się śmierci, założone przez niego dzieło mogło rocznie dostarczać misjom około 50 kapłanów i tyleż braci i sióstr, których Jego słowo i przykład uczył, ze źródłem wszelkiej pracy apostolskiej jest życie wewnętrzne i łączność z Bogiem. Liczba członków we wszystkich trzech założonych przez Sługę Bożego Kongregacjach wynosi obecnie więcej niż 10 000.

Ponad siedemdziesięcioletni Sługa Bozy oczekiwał śmierci ze spokojem, znosząc przez dwa miesiące dolegliwości choroby. Dnia 15 stycznia 1909 r. ten, który bez reszty poświęci! się pracy nad rozszerzaniem Królestwa Bożego, wszedł do radości Pana.

Opinia świętości towarzyszyła Słudze Bożemu już za życia. Wzmogła się ona jeszcze bardziej po jego śmierci. Wydawało się, że Bóg jakby ją potwierdzał nadzwyczajnymi wysłuchaniami modlitewnymi. Powoli dojrzewała myśl, by Go wynieść na ołtarze. Gdy tylko spełniono wymagane ku temu warunki, biskup z Roermond zgodnie z wymogami prawa kanonicznego, przeprowadzi! proces informacyjny. Równocześnie przebiegały procesy uzupełniające w Rzymie, Wiedniu, Buenos Aires, Chicago i Yenchowfu. Wszystkie akta wysłano następnie do Rzymu. Po zbadaniu pism Sługi Bożego Kongregacja Rytów zezwoliła dnia 22 listopada 1939 r. na dalsze prowadzenie procesu. Dnia 10 lipca 1942 r. na polecenie Ojca Świętego Piusa XII i z uwzględnieniem przepisów prawa kanonicznego rozpoczęto proces beatyfikacyjny. Po ukończeniu apostolskich procesów dotyczących cnót i cudów ukazał się 15 października 1954 r. dekret o ważności wszystkich dotychczasowych procesów. Dnia 6 czerwca 1967 r. św. Kongregacja Rytów omawiała w pierwszej instancji heroiczność cnót teologicznych, cnót kardynalnych i cnót pokrewnych Sługi Bożego. Dla przyspieszenia sprawy beatyfikacji i kanonizacji sekcja historyczna nowo utworzonej Kongregacji przeprowadziła wiele wnikliwych badań historycznych, związanych z życiem Stugi Bożego oraz pytaniami stawianymi przez konsultorów. Ich wyniki ogłoszono w 1971 r. Następnie po specjalnym posiedzeniu omówiono jeszcze raz sprawę heroiczności Jego cnót.

Dnia 28 listopada 1972 r. zebrało się plenarne posiedzenie kardynałów, podczas którego funkcje kardynała referenta pełnił Jego Eminencja Kardynał Angelo Rossi. Orzeczenie Kardynałów brzmiało jednogłośnie: zgodnie z ich wiedzą i rozpoznaniem Sługa Boży osiągnął heroiczny stopień cnót chrześcijańskich.

Ojciec św. Paweł VI, któremu ówczesny prefekt Kongregacji, Kardynał Bertoli, zdał 16 grudnia 1972 r. sprawę z dotychczasowego przebiegu procesu, ratyfikował orzeczenie Kardynałów i polecił wygotowanie dekretu o heroiczności cnót Sługi Bożego.

W dniu dzisiejszym Ojciec święty, w obecności Kardynała Prefekta, Kardynała Referenta Angelo Rossi, Sekretarza Kongregacji i in-

nych w tym udział biorących, oświadczył: Udowodnione zostało, ze Sługa Bozy Arnold Janssen, praktykował teologiczne cnoty wiary, nadziei, miłości Boga i bliźniego w stopniu heroicznym, podobnie jak kardynalne cnoty mądrości, sprawiedliwości, umiarkowania i męstwa, oraz pozostałe cnoty.

Ponadto Ojciec Święty dał polecenie, by dekret opublikować i dołączyć do akt Kongregacji.

Rzym, dnia 10 maja 1973 r.

Aloisius Kardynał Raimondi, prefekt
Josephus Casoria,
biskup tytularny Vescovu, sekretarz

Tłumaczyła Maria Suchocka

Zastosowane skróty:

DA - Dekret o apostolstwie świeckich

DE - Dekret o ekumenizmie

DFK - Dekret o formacji kapłanów

DM - Dekret o działalności misyjnej Kościoła

KK - Konstytucja dogmatyczna o Kościele

Kard. Angelo Rossi

SPRAWOZDANIE WYGŁOSZONE NA POSIEDZENIU PLENARNYM KARDYNAŁÓW

28 listopada 1972 r.

Postać kapłana i Sługi Bożego Arnolda Janssena, jednego z najwybitniejszych krzewicieli misji w nowszych czasach, zostaje przedstawiona niniejszej świętej Kongregacji w 63 lata po jego śmierci, w nadziei, że uzna ona heroiczny stopień jego cnót, dając tym samym podstawę do uznania go za błogosławionego i świętego. Jego duchowa rodzina liczy dziś ponad 10 000 synów i córek, rozsianych po całym świecie.

I. Życiorys

Sługa Boży urodził się 5 listopada 1837 r. w Goch, w diecezji monasterskiej, jako drugie z 11 dzieci małżonków Gerharda Janssena i Anny Katarzyny Wellesem

Rodzina ta odznaczała się religijnością i surowymi zasadami moralnymi. Arnold Janssen był dzieckiem uzdolnionym. Po skończeniu szkoły podstawowej i rektorskiej oraz po ukończeniu gimnazjum wstąpił w 1855 r. do Borromeum w Munster, gdzie podjął studia filozofii w Królewskiej Akademii; chętnie studiował dzieła św. Tomasza z Akwinu. Następnie poszedł na uniwersytet w Bonn, gdzie zdobył kilka uprawniających do zawodu nauczycielskiego dyplomów, zwłaszcza z dziedziny nauk przyrodniczych. W 1859 r. wstąpił do biskupiego Seminarium Duchownego w Munster, aby rozpocząć studia teologiczne. Dnia 15 sierpnia 1861 r., w uroczystość Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, przyjął święcenia kapłańskie.

Następnie biskup posłał go do Bocholt, gdzie przez 12 lat wykładał nauki przyrodnicze w miejskim gimnazjum. Poza tym oddawał się pracy apostolskiej. W 1873 r. zrezygnował z pracy w szkolnictwie i przez okres dwu lat poświęcił się jako kapelan Sióstr Urszulanek w Kempen bezpośredniej pracy kapłańskiej i duszpasterskiej. Ponieważ leżały mu na sercu jedność chrześcijan i naracanie pogan, rozpoczął na te tematy pisać i propagować ideę misyjną. Dnia 8 września 1875 r. otworzył Seminarium Misyjne św. Michała Archanioła, umieszczając je - ze względu na trudną sytuację w Niemczech wywołaną Kulturkampfem - w Steyl, w diecezji Roermond.

Seminarium to stało się domem macierzystym Zgromadzenia Słowa Bożego. W styczniu następnego roku założył drukarnię misyjną.

Nie zabrakło mu poważnych trudności, które jednak krok po kroku przezwyciężał. Jego dzieło się rozrastało i z małego Domu Misyjnego rozwinęło się zgromadzenie zakonne i misyjne o dużym znaczeniu. Dnia 23 lutego 1885 r. razem ze swymi towarzyszami złożył śluby zakonne, został wybrany dożywotnim przełożonym generalnym nowego Zgromadzenia.

W 1889 r. Zgromadzenie otrzymało aprobatę biskupią, a 25 stycznia 1901 r. aprobatę papieską. Nadto założył dwie kongregacje żeńskie, jedną czynną: Sióstr Misyjnych Służebnic Ducha Świętego, a drugą klauzurową: Służebnic Ducha Świętego od Wieczystej Adoracji.

Jeszcze za życia Sługi Bożego jego misjonarze wyjechali do Chin (1879), do Argentyny (1889), do Togo w Afryce (1891), do Ekwadoru (1893), Brazylii (1895), Nowej Gwinei (1896), Chile (1900), a także do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, gdzie przejęli jedną placówkę wśród Murzynów (1905) oraz do Japonii (1906), do Paragwaju do pracy wśród Indian (1908) i na Filipiny. Poza Steyl dokonał jeszcze otwarcia kolegium św. Rafała w Rzymie, przeznaczonego dla kapłanów przebywających na wyższych studiach, następnie w 1889 r. założył znane seminarium misyjne St. Gabriel w Wiedniu, następnie Domy Misyjne Świętego Krzyża na Śląsku, św. Wendelina

w diecezji trewirskiej, św. Ruperta pod Salzburgiem oraz St. Mary w Techny (USA). Popiera! też czasopismo „Anthropos", które dzięki współpracy misjonarzy ze wszystkich zakonów służyło lingwistyce i etnologii.

Dokonawszy tak niezwykłych czynów - po wzorowym pełnym wiary życiu i bogatym w dobre uczynki - zmarł spokojnie w Panu dnia 15 stycznia 1909 r. Zgromadzenie Słowa Bożego liczyło wtedy sześć domów formacyjnych, około 430 kapłanów, 600 braci, 450 sióstr misyjnych i klauzurowych i ponad 1000 uczniów misyjnych.

II. Proces

Po tych krótkich wzmiankach dotyczących zewnętrznego życia Sługi Bożego, zmarłego w opinii wybitnej świętości, przychodzimy teraz do procesu diecezjalnego, otwartego od 15 stycznia 1935, pod przewodnictwem biskupa roermondskiego, J. Eksc. Lemmensa, a zamkniętego w 1938 r. W tym samym czasie odbył się w Trewirze pod przewodnictwem biskupa Bornewassera proces diecezjalny, badający kilka cudownych wysłuchań modlitewnych, oraz dwa przypadki uleczenia chorych nóg, jakie zdarzyły się w diecezji trewirskiej. Akta tych procesów przekazano dnia 7 kwietnia 1936 r. do Kongregacji Rytów w Rzymie.

Ocenę obfitego materiału ukończono 7 lipca 1942 r. Dnia 10 lipca papież Pius XII słowami: *„Placet Eugenio"* wyraził zgodę na rozpoczęcie procesu apostolskiego; został on otwarty 5 listopada 1943 r. przez delegowanego do tego biskupa roermondskiego J. Eksc. Lemmensa. Ze względu na trwanie wojny trzeba było rozpocząć siedem procesów uzupełniających (w Akwizgranie, Chicago, Rzymie, Bazylei, Fryburgu Szwajcarskim, Buenos Aires i New Delhi). Cały opracowany materiał dostarczono do Rzymu w 1952 r. W 1954 r. nastąpiło uznanie ważności wszystkich do tego czasu prowadzonych procesów. 4.12.1961 r. przedłożono „Uwagi krytyczne", a 1.9.1 964 r. odpowiedzi na nie. 6 czerwca 1967 r. odbyło się posiedzenie wstępne *[Congregatio antepraeparatoria],* dotyczące stopnia jego cnót. W łączności ze sprawozdaniem, które tejże Kongregacji

przedłożył kardynał Larraona, Ojciec Święty udzielił swej zgody na dalsze prowadzenie procesu.

Następnie zestawiono „Dalsze uwagi krytyczne", tzn. zarzuty konsultorów. Ukazały się one 12 czerwca 1969 r. W odpowiedzi przedłożono Świętej Kongregacji następujące dokumenty:

1. Przez Sekcję Historyczną tejże Kongregacji *„Inquisitio histońca de gmbusdam animadversionibus in Servi Dei viam ex officio concinnata" (Nova Positio super uirtutibus, Vol. II),* opracowaną przez dra Fritza Bornemanna SVD, która na 508 stronach przedłożyła 300 dokumentów po przeprowadzeniu kwerendy w 84 archiwach.

2. Przez adwokata Giulio Dante: *„Responsio ad novas animadversiones" (Nova Positio super iírtutibus, Vol. I).*

III. Trudności i ich pokonywanie

Powagę, z jaką proces ten otwarto i przeprowadzono, zrozumie się wtedy, kiedy uwzględni się liczne i ważkie zarzuty, podnoszone przeciwko heroiczności cnót Sługi Bożego, a które można ująć następująco:

1. Brak wyczerpujących informacji dotyczących pierwszych 40 lat życia Sługi Bożego; dość rzadki przypadek, gdy chodzi o kandydata na ołtarze...

2. Trudności, jakie wynikły pomiędzy Sługą Bożym a jego pierwszymi współpracownikami, i tak proboszczem Ludwikiem von Essen i proboszczem Billem; klerykiem Reichartem i późniejszym wikariuszem apostolskim Anzerem. W stosunku do tych ludzi Janssen okazywał się człowiekiem upartym, przywiązanym do swego zdania, itp.;

3. Stosunek Sługi Bożego do Kongregacji Sióstr Służebnic Ducha Świętego założonych i kierowanych przez niego, a które miały cierpieć z powodu dyskryminacji...

4. Jego ustosunkowanie się do zjawisk mistycznych i pseudomistycznych, jak np. w przypadku pani Leitner (= Matka Gregona) i Katarzyny Emmerich; okoliczność, która wzbudzała podejrzenie, ze Słudze Bożemu brakło umiejętności rozeznania duchowego;

5. Przypadek wikariusza apostolskiego Johanna Baptistę Anzera, którego Sługa Boży, mimo znanych mu jego błędów, zaproponował na biskupa misyjnego, a który tyle sprawił mu kłopotów;

6. Postawa Sługi Bożego wobec o. Kóstersa, wysłanego z zemsty na misje do Chin...

7. Wątpliwości w sprawie historycznej wartości biografii Sługi Bożego napisanej przez o. Fischera, w której dostrzeżono niedokładności i niejasności...

   W tych przypadkach powstały wątpliwości co do heroiczności cnót Sługi Bożego, jego miłości, roztropności, sprawiedliwości i umiarkowania, co do jego posłuszeństwa, czystości, ubóstwa, pokory...

Nad wyjaśnieniem tych zastrzeżeń pracowała Sekcja Historyczna. W siedmiu rozdziałach dała ona zadowalającą, moim zdaniem, odpowiedź. I tak w pierwszym rozdziale przedkłada ona 30 dokumentów dotyczących pierwszych 40 lat życia Sługi Bożego; w drugim wyjaśnia na podstawie 63 dokumentów relacje Janssena z jego pierwszymi współpracownikami; w trzecim w oparem o 23 dodatkowe dokumenty przedstawia powstanie i rozwój obu przez niego założonych zgromadzeń żeńskich; w czwartym na podstawie 55 dokumentów wykazuje nastawienie Sługi Bożego do zjawisk mistycznych i pseudomistycznych; w piątym zestawia 113 dokumentów naświetlających sprawę wikariusza apostolskiego Jana Chrzciciela Anzera; w szóstym znajdujemy w 16 dokumentach wyjaśnienie postawy Sługi Bożego wobec o. Kóstersa; w siódmym wreszcie zostaje zbadana biografia napisana przez o. Fischera.

Oczywiście me możemy tutaj powtarzać odpowiedzi na powyższe zastrzeżenia, nie z powodu braku czasu lub by niniejsze sprawozdanie nadmiernie rozszerzać, lecz z tej prostej przyczyny, ze materiał

ten został już wyczerpująco przestudiowany i przebadany na posiedzeniu Komisji Ekspertów 10 października br., na którym wszyscy konsultorzy jednogłośnie wypowiedzieli swe zadowolenie z tej na wskroś rzetelnej pracy Sekcji Historycznej.

IV. Sylwetka duchowa

Znacznie ważniejszym wydaje mi się jednak przedstawienie sylwetki duchowej Sługi Bożego. Chodzi przy tym o to, by przedstawić jego wzorowe życic wewnętrzne, uwzględniając szczególnie stopień heroiczny jego cnót, owej siły napędowej jego wielkiego dzieła oraz inicjatywę w zakresie misjonarskim. Jak już często podkreślano podczas naszych konferencji, święci nie są aniołami, tylko ludźmi. Człowiek święty może wykazywać zewnętrzne błędy charakteru czy braki wychowania; może też miewać słabości i popełniać grzechy; potem jednak postępuje na drodze doskonałości coraz bardziej naprzód; w końcu zaczyna praktykować cnoty Boskie i moralne w stopniu heroicznym. I tak zasługuje, by całemu ludowi Bożemu ukazać go jako wzór.

Studiując życie Sługi Bożego, zauważa się najpierw także cienie, mające swe źródło raczej w środowisku, w charakterze narodowym lub w wychowaniu, aniżeli w zawinionej osobistej postawie. Skoro jednak spróbujemy dotrzeć do wnętrza Janssena, musimy stwierdzić, że byl on prawdziwym mężem Bożym o głębokim, poważnym życiu wewnętrznym; był dobrym i wiernym Sługą Boga, który w swej Opatrzności powołał go do założenia dzieła, jakie Kościołowi wyświadczyło tyle dobra i jeszcze dziś wyświadcza; przypomina to wypowiedź Boskiego Mistrza o drzewie, które poznaje się po jego owocach. W całościowym podsumowaniu cienie te znikają, a wyraziście rysuje się przed nami heroiczna postać tego nowoczesnego apostoła.

Od wczesnego dzieciństwa odznaczał się on przykładnym życiem. Mimo pewnych luk w dokumentach z jego pierwszych czterdziestu lat życia można uczciwie powiedzieć, że stale praktykował cnoty ludzkie, chrześcijańskie i kapłańskie w stopniu niezwykłym i - naglony wewnętrzną łaską - osiągnął autentyczną osobistą, wewnętrzną i zewnętrzną świętość. Zawsze uważano go za męża wielkiej wiary, którą okazywał zarówno wśród trudności i przeciwieństw na jakie napotykał podczas zakładania swej fundacji, jak i w stosunkach do swych pierwszych współpracowników i współbraci, wykazując stałe moc ducha, który swoją siłę i źródło znajdował jedynie w wierze i miłości do Boga. Całe swe zaufanie oparł na Opatrzności Ojca. Tę samą wiarę, która była źródłem siły i motorem jego życia zwróconego ku Bogu, pragnął przenieść na ludzi. W pierwszych latach swego kapłaństwa przekazywał ją za pomocą pism, a później poprzez swoje fundacje misyjne na wszystkich kontynentach. Jego pobożność oraz miłość do Boga w Trójcy Jedynego, do Wcielonego Słowa, do Ducha Świętego i do Najświętszego Sakramentu nie są niczym innym, jak tylko wyrazem jego głębokiego życia z wiary.

Chrześcijańska nadzieja Sługi Bożego jest wynikiem Jego nadzwyczajnego zaufania wierności Tego, który obiecał być bliskim tym wszystkim, którzy Go szukają. Dlatego nie dał się zwachwiać, choćby w najgorszych trudnościach, ponieważ powierzał się Bogu. Nawet Jego śmierć była - na wzór św. Pawia - wyraźnym aktem chrześcijańskiej nadziei wyrażonej w słowach: ‚W dobrych zawodach wystąpiłem, wiarę ustrzegłem..." (2 Tym 4,7).

Także Jego miłość do Boga jest wyraźnie poświadczona dokumentami. Ponieważ miłość jest prawdziwym wniknięciem w Boga, który jest miłością, dlatego starał się tę tajemniczą łączność z Bogiem coraz bardziej pogłębiać. Jego pobożność, którą podziwiali współcześni, świadczy wymownie - gdyby już inne przykłady nie wystarczały - o miłości, która płonęła w sercu Janssena do Boga, któremu przypisywał wszelkie dobro, jakie czynił. Jeśli miłość do Boga łączy się najściślej z miłością bliźniego, staje się zrozumiałe, że Sługa Boży, mimo poważnego z natury i z wychowania nieco surowego charakteru, umiał się poświęcić po ojcowsku biednym i współbraciom, troszcząc się także o potrzeby misji.

Nie brakło mu roztropności, która daje równowagę wszystkim innym cnotom. W swoich przedsięwzięciach przez modlitwę pełną ufności stara! się odkryć wolę Bożą. Unika! decyzji pochopnych.

Rządził Zgromadzeniem, kierując się dobrem całej wspólnoty, uwzględniając także racje jednostki. Często pytał współbraci o radę i polecał się modlitwom wszystkich, by zawsze i we wszystkim spełniał wolę Bożą.

Był mężem sprawiedliwym i uznawał, że wszelkie dobro pochodzi od Boga „... Ojca Światłości". Dlatego pokornie szedł za wolą Bożą i dziękował Bogu za Jego miłościwą Opatrzność. Był sprawiedliwym także dla swoich synów duchowych. Oczywiście, opowiadał się za dyscypliną i pragnął, by każdy był gotów do służby dla Królestwa Bożego; potem powierzał im zadania i urzędy zgodnie z ich usposobieniem i zdolnościami.

W ten sam sposób praktykował cnotę umiarkowania. Był łagodny i spokojny w swojej postawie wobec innych, opanowany i cierpliwy w krzyżach czy niepowodzeniu. W stopniu heroicznym pielęgnował ducha umartwienia i ofiary, szczególnie opanowania siebie i ducha ubóstwa. Ponadto w stopniu nadzwyczajnym posiadał ducha męstwa; dlatego rozpoczynał realizowanie swoich dzieł, które były wyrazem woli Bożej, bez względu na pojawiające się przeciwności i niepowodzenia. Był odważnym w działalności apostolskiej i dzielnym w przeciwnościach codziennego życia, jakie wyłaniały się we własnym Zgromadzeniu.

Co dotyczy Jego cnót moralnych, to wydaje mi się, ze wystarczy nam tylko kilka wskazań, bo praktycznie przebijały one z wszystkich tekstów; przede wszystkim Jego nienaganna czystość, której przeżywania niepodzielnym sercem domaga! się także od swoich najbliższych. Następnie ubóstwo w stroju i mieszkaniu, w prostym stylu życia. Posłuszeństwo było mu rozkazem, który należy wiernie wykonać. Sam praktykował je przez to, że zachowywał Konstytucje jak nowicjusz. Był posłuszny także biskupowi, papieżowi i władzom państwowym. Był pokorny i uważał się za grzesznika, był wrogiem pochwal i honorów, niechętny wyjątkom odnoszącym się do jego osoby; uznając siebie za nikle narzędzie w ręku Boga, powtarzał za psalmistą: „Nie nam, Panie, lecz Imieniu Twemu daj chwalę!"

Mogłoby się wydawać, że cnoty Sługi Bożego - jakkolwiek były autentyczne i solidne - nie osiągnęły stopnia heroicznego, ponieważ był „nadzwyczajny w zwyczajnym". Trzeba jednak podkreślić, że tej stałej i systematycznej praktyki cnót nie można inaczej wytłumaczyć; tylko człowiek płonący miłością do Boga może pośród wielkich trudności i nieustannej pracy do końca dawać wytrwały przykład życia, poświęconego w stopniu heroicznym chwale Bożej oraz ratowaniu i uświęcaniu dusz.

V. Oryginalność Apostolstwa misyjnego Sługi Bożego

Postać Arnolda Janssena jest wymownym i bardzo odpowiednim wzorem dla ludzi współczesnych, którzy zaangażowali się w zadania i problemy swoich czasów. W rzeczy samej, ten człowiek więcej niż 80 lat temu dał się poznać jako:

- pionier nowoczesnego ruchu misyjnego w Niemczech,
- przełożony Zgromadzenia, które nauki o człowieku (etnologię i lingwistykę) włączyło do programu kształcenia przyszłych misjonarzy,
- gorliwy apostoł pojednania podzielonych chrześcijan,
- krzewiciel ruchu rekolekcyjnego
- odważny inicjator katolickiego apostolstwa prasy,
- niestrudzony bojownik apostolstwa świeckich.

Te sprecyzowane cele dzieła Arnolda Janssena, jego naprawdę na tamte czasy niezwykłe idee i plany, znalazły w podstawowych zasadach Soboru Watykańskiego II uroczyste potwierdzenie i uzasadnienie, otwierając tym samym dziełu misyjnemu nowe horyzonty.

Biskupi niemieccy w skierowanej do Ojca Świętego prośbie z 1965 r. przypomnieli, że ten skromny, przez wielu nawet za nieudolnego uważany człowiek, w zadziwiający sposób stal się „Ojcem wielu narodów". Nadzwyczajna Kapituła Generalna Zgromadzenia Sło-

wa Bożego oddając w 1968 r. cześć swemu „Ojcu - Wodzowi - Założycielowi", i przypominając prośby biskupów Filipin, Indii, Nowej Gwinei i Indonezji wyraziła nadzieję, że wyniesienie do chwały ołtarz.)' Sługi Bożego wyjedna dziełu misyjnemu wiele łask Bożych.

Jako Prefekt Świętej Kongregacji dla Ewangelizacji Ludów, a także z okazji 350-łecia powstania Kongregacji Rozkrzewiania Wiary, kończąc chciałbym zaznaczyć, żc akceptuję powyższe oczekiwania i popieram proces Kapłana i Sługi Bożego Arnolda Janssena.

Arnold Janssen jest w Kościele Misyjnym podobny do drzewa przebogatego w owoce.

Angelo Kard. Rossi

(Za: *Dekret über den heroischen Tugendgrad des Dieners Gottes P. Arnold Janssen,* Steyl 1973)

Tłumaczyła Maria Suchocka

Spis treści

1. Od Wydawcy 8
2. Arnold Janssen, *Krótka autobiografia do roku 1874* 9
3. Karl Josef Rivinius SVD, *Arnold Janssen i sytuacja religijna jego czasów* 13
4. August Arand SVD, *Moje spojrzenie na Ojca Arnolda* 31
5. Karl Bude SVD, *Mały przyczynek do uhonorowania naszego Założyciela* 41
6. Victor Conzemius, *Strateg Królestwa Bożego* 47
7. Anton Llilger SVD, *Pięćdziesięciolecie Zgromadzenia Słowa Bożego* 56
8. Anton Hilger SVD, *W stulecie urodzin Arnolda Janssena (1937)* . . . 68
9. Margoretti Fiichtenhans SSpS, *Arnold Janssen człowiekiem modlitwy* 86
10. Fritz Bornemann SVD, *Portret Założyciela - różnie widziany* 96
11. Fritz Bornemann SVD, *Stałe i zmienne rysy w obrazie naszego Założyciela* 119
12. Johann B. Peil SVD, *Plewy i pszenica. Migawki z początków Zgromadzenia Słowa Bożego* 130
13. Fritz Bornemann SVD, *8 września: założenie Domu Misyjnego* 157
14. Fritz Bornemann SVD, *Pierwsze'Statuty i uroczysta profesja 1876* 163
15. Brat Eugeniusz SVD, *Ostatnia serenada dla Ojca Arnolda* 172
16. *Dekret o heroiczności cnót sługi Bożego Arnolda Janssena* 177
17. Kardynał Angelo Rossi, *Sprawozdanie wygłoszone na posiedzeniu plenarnym Kardynałów 28 listopada 1972 r.* 183